tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 31 (1282)
29.07-4.08.2024
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

Wojna z **Dudą** o ambasadorów

Kamala Harris Ostra i ofensywna

Polscy kierowcy Głupota podgrzewana słońcem

Jacek Pałkiewicz Pustynia Atakama

Kto odpowiada za śmierć 200 tysięcy cywilów

80.

ROCZNICA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

eprasa.pl 23ffd6e8db

MUZYCZNY KAZIMIERZ

KAMIENIOŁOMY, KAZIMIERZ DOLNY

2-24 SIERPNIA 2024

2.08 BAJM · VIDEO · BAIKA

3.08 KULT · DARMOZJADY · ZIEMBUL

8.08 DARIA ZAWIAŁOW · JACKO BRANGO · VHS

9.08 T.LOVE · KASIA KOWALSKA · BRUDNO

10.08 NOSOWSKA · KASIA LINS
KĘPIŃSKI >|< KOWALONEK

16.08 IRA · HAPPYSAD · KATARZYNA PIETRAS

17.08 MYSLOVITZ · KOBRANOCKA · ŻURKOWSKI

23.08 LADY PANK · DZIWNA WIOSNA · THE FREUDERS

24.08 DŻEM · OLD BREAKOUT
SŁAWEK WIERZCHOLSKI I NOCNA ZMIANA BLUESA

BILETY: TICKETCLUB.PL

eprasa.pl 23ffd6e8db

Jerzy Domański

Rezygnacja przed czy po czasie?

Wystarczyło zrezygnować z kandydowania, by niemały chór ogłosił, że prezydent Joe Biden jest najwybitniejszym prezydentem USA od niepamiętnych czasów. Bardzo to ryzykowne. Takie oceny, zwłaszcza gdy są przedstawione na gorąco, rzadko trafiają na karty podręczników. Wielu ludziom prezydent Biden będzie się kojarzył z Afganistanem. I obrazkami panicznej ucieczki najpotężniejszego mocarstwa przed talibami. Amerykanie postawili wtedy sojuszników przed faktem dokonanym. A ludności, która z nimi, w tym także z nami, współpracowała, zgotowali paskudny los. Czy ktoś by chciał być kobietą w kraju rządzonym przez talibów? Jeśli taki był stosunek władz amerykańskich do sojuszników w Afganistanie, gdzie żołnierze z NATO służyli ramię w ramię, to jaki może być wobec innych państw? W innych okolicznościach, ale też wobec zagrożenia wojną.

Relacje USA z Ukrainą, zwłaszcza po 2014 r., i składane Ukraińcom deklaracje, też nie wystawiają administracji amerykańskiej, a w ostatnich latach Bidenowi, oceny partnera poważnego i odpowiedzialnego za własne deklaracje. Co obiecywano Ukrainie przed wybuchem wojny z Rosją? A co później zrobiono? Owszem, wsparcie militarne jest na skalę gigantyczną, choć niewystarczającą do obrony całego terytorium tego państwa. Ukraina bardziej wygląda jak poligon niż państwo, za które Amerykanie będą umierać. Słowa o wolności, tak jak słowa o demokracji, mają niestety coraz mniejszą wartość.

Każdy profesjonalny polityk, a mąż stanu obowiązkowo, musi dbać o sukcesję. Nikt przecież nie jest wieczny. Biden nie przygotował dobrze swojej rezygnacji. Rozumiem, jak trudno było mu się rozstać z przekonaniem, że skoro już raz pokonał Trumpa, to teraz może wygraną powtórzyć. Taki był główny argument, by trwać przy decyzji o kandydowaniu. Czy zrezygnował minutę przed czy minutę po czasie? Dowiemy się w listopadzie. A do wyborów Amerykanów i zależny od USA świat czeka bezwzględna, brutalna wojna dwóch obozów, które różnią się między sobą prawie wszystkim. Jak w tej sytuacji realizować pobożne życzenie naszych polityków, by w relacjach ze Stanami grać na dwóch fortepianach? Takich wirtuozów w dyplomacji to my niestety nie mamy. Kolejne ekipy skutecznie, pod różnymi pretekstami, wyeliminowały profesjonalistów.

A prezydent Duda jaki jest, każdy widzi. Do Kamali Harris będzie pasował jak lakierki do trampek. Dla niego wymarzonym prezydentem byłby Trump. Bo któż inny może mu zaproponować dobrą robotę?

Chcących wspomóc PRZEGLĄD proszę o wpłaty na konto:
Fundacja Oratio Recta
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

BĄKOWSKI

Ukazał się nowy numer
ZDANIA (2/2024)

„Troje na jednego"
z **ANDRZEJEM WERBLANEM**
„Liberalizację uważałem za wystarczającą"
(dokończenie rozmowy z numeru poprzedniego)

W wersji elektronicznej dostępny
na **sklep.tygodnikprzeglad.pl**

eprasa.pl 23ffd6e8db

W NUMERZE

KRAJ
8 **Wojna o ambasadorów. Duda mówi „nie”**
Czystka czy aksamitne rozwiązanie
12 **Gierki z immunitetem**
Co Romanowski zgłaszał w Radzie Europy
14 **Wakacyjna śmierć za kółkiem**
Wypadki na prostej drodze
18 **Gazety skażone PiS (cz. 1)**
Jak PiS przejęło koncern Polska Press
28 **Czy Hindus płakał, jak zamykał?**
Upadek produkcji stali

HISTORIA
22 **Powstanie warszawskie – prawdziwy koniec II Rzeczypospolitej**
27 Na powstańczych barykadach
Fotografie Sylwestra „Krisa” Brauna

ZAGRANICA
30 **Partia bez wiedzy**
Kamala Harris i co dalej?

IGRZYSKA
34 **Kulturalni olimpijczycy**
Igrzyska czas zacząć

OPINIE
36 **Marek Książek**
Sąd nie jest twierdzą (cd.)
37 **Paweł Dybicz**
Wulgaryzmy Lempart

SYLWETKI
38 **Krzysztof Teodor Toeplitz – obserwator życia**

KULTURA
42 **Na pierwszym planie – rozmowa z Małgorzatą Hajewską-Krzysztofik**
46 **Olga Tokarczuk i Góry Literatury**
Czytelnictwo i równość promują Dolny Śląsk
48 **Qulturalia**
66 **Malarstwo Józefa Wilkonia**

ZDROWIE
50 **Choroba nie taka jak kiedyś**
– rozmowa z prof. Marią Majdan

OBSERWACJE
54 **Tygrysie wdowy**
Konflikt tygrysów i ludzi
59 **Wyprawy Jacka Pałkiewicza**
Pustynia Atakama

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Rezygnacja przed czy po czasie?
17 **Jan Widacki**
Przychodzimy, odchodzimy
21 **Stanisław Filipowicz**
Obecność tajemnicy
45 **Roman Kurkiewicz**
Ustawa o wychowaniu w patriotyzmie i przeciwdziałaniu rewolucjom
49 **Tomasz Jastrun**
Zdechł mit, nie pies
58 **Wojciech Kuczok**
Wykoleiły się rzeczy Erysiowi

30
ZAGRANICA

PARTIA BEZ WIEDZY
Kamala Harris i co dalej?

42
KULTURA

NA PIERWSZYM PLANIE
– rozmowa z Małgorzatą Hajewską-Krzysztofik

54
OBSERWACJE

TYGRYSIE WDOWY
Konflikt tygrysów i ludzi

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. EUGENIUSZ LOKAJSKI „BROK”/ MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

eprasa.pl 23ffd6e8db

Refleksje pesymisty
Andrzej Romanowski
W Europie zaraza

W Europie zaraza

Nie ma większego znaczenia, kto będzie rządził w USA, bo z góry wiadomo, że nie będzie gołąbkiem pokoju. Każdy prezydent USA zostaje wybrany w demokratycznych wyborach, ale ta demokracja działa tylko w USA. Poza USA obowiązuje już inna zasada: wszystkich trzeba trzymać mocną ręką. Interesy USA są rozległe, a temu wszystko jest podporządkowane. Kto w poszczególnych państwach rządzi, jest prawie bez znaczenia. Z każdym się dogadają, tak jak dogadywali się w naszym kraju.

Andrzej Kościański

Geopolityka budowana na kłamstwie

„Żal wielki, że z tylu problemów, jakie były i są na Ukrainie, tylko apologia ludobójczej formacji rozwinęła się na tak ogromną skalę", pisze w komentarzu red. Jerzy Domański. Niestety, ten groźny nowotwór wyhodowali także polscy politycy, w dużej mierze z formacji lewicowych. Obecna lewica poszła nawet o krok dalej, tworząc niemal religię pod hasłem „wsparcie Ukrainy". Jakakolwiek krytyka wspierania Ukrainy przez obecną władzę jest uznawana za zdradę naszych interesów. To jest niebezpieczne szaleństwo, które źle dla nas się skończy.

MÓJ PRZEGLĄD
Jerzy Domański
Geopolityka budowana na kłamstwie

Rafał Gonicki

Wiara w naukę jest niewygodna dla władzy

Wiara w naukę jest niewygodna dla władzy

Samochody elektryczne w dzisiejszej postaci są ślepą uliczką. To się nie uda, twierdzi prof. Łukasz Turski. Zgadzam się. Paliwa kopalne nie są rozwiązaniem, ale tego, jak się produkuje samochody spalinowe, uczyliśmy się ok. 100 lat. Jeśli ktoś myśli, że w 15-20 lat uda to się powtórzyć z elektrycznymi, to jest w błędzie.

Bartłomiej Bednarz

•

Na Uniwersytecie w Adelajdzie uznano, że energia jądrowa w skali globalnej nie może z wielu powodów zaspokoić światowego zapotrzenia w energię. Ponadto zwiększanie liczby reaktorów podnosi prawdopodobieństwo katastrof, takich jak Czarnobyl i Fukushima.

Dorota Kaczmarek

Odbudujcie szachy plenerowe we Wrocławiu

Pamiętam, jak w latach 80. razem z ojcem całymi godzinami, a nawet dniami kibicowaliśmy rozgrywkom szachów plenerowych na placu Wolności we Wrocławiu. Matka narzekała, że ciągle siedzimy na tych szachach. Ale to były najszczęśliwsze chwile i dni w życiu. Tak samo odczuwały to setki i tysiące innych mieszkańców Wrocławia, szczególnie emeryci. Atmosfera była niepowtarzalna. Niewątpliwie miała terapeutyczny wpływ na samopoczucie i zdrowie psychiczne mieszkańców. A stan psychiczny ma duży wpływ także na kondycję fizyczną, czyli ogólny stan zdrowia społeczeństwa. O to właśnie chodzi w tych wielkogabarytowych szachach, a nie tylko o samą grę, jak na małych planszach. Dlatego od roku 2015 proszę o ich odbudowę, a teraz apeluję o to do Rady Miejskiej Wrocławia.

Ryszard Remer, Wrocław

ZDJĘCIE TYGODNIA

W piątek rozpoczęły się igrzyska olimpijskie w Paryżu. Na zdjęciu pierwsza w rankingu światowym Iga Świątek trenuje przed pierwszym meczem na kortach Rolanda Garrosa.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 23ffd6e8db

Meta ma PKB większy niż ponad 140 państw świata. **PKB Polski jest pięciokrotnie mniejszy od wyceny Apple'a.**

•

Sejmowa komisja śledcza badająca wybory korespondencyjne przygotowała raport końcowy. Zapowiedziano złożenie do prokuratury **zawiadomienia o możliwości popełnienia przestępstwa** przez polityków PiS, m.in. **Kaczyńskiego, Morawieckiego, Witek, Sasina, Kamińskiego i Dworczyka.**

•

Zmarł Andrzej Milczanowski, działacz opozycji demokratycznej. Uczestnik Okrągłego Stołu. Były szef UOP, minister spraw wewnętrznych. Państwowiec w słowach i czynach. Wycofał się z życia publicznego po tzw. sprawie „Olina". Po wyborach wygranych przez PiS w 2015 r. brał udział w demonstracjach w obronie demokracji i niezawisłości sądów. Stawał w obronie byłych pracowników PRL-owskich służb, którym obniżono emerytury. Swoją pracą i służbą dobrze zasłużył się Polsce.

•

Ks. Adam Boniecki, redaktor senior „Tygodnika Powszechnego", obchodzi jubileusz 90-lecia urodzin. Jubilat jest w polskich mediach postacią wyjątkową. Człowiekiem dialogu i porozumienia. Otwarty na różnorodność poglądów. Umie i chce słuchać innych.

•

Serial „Reset" emitowany w TVP między czerwcem a październikiem 2023 r. jest szczytowym osiągnięciem propagandy PiS w nagromadzeniu łgarstw i paszkwili. Jego celem było wsparcie dojnej zmiany w wyborach. Brudną robotę wykonali **Michał Rachoń i Sławomir Cenckiewicz**. Zarobili na tym po około pół miliona złotych. Nie tylko oni, bo choć serial kosztował 5,57 mln zł, prawie połowa poszła na honoraria autorskie i producenckie. Za taką kasę to może obrzydzenie było mniejsze od tego, które ogarniało widzów tego horrendum **(„Gazeta Wyborcza")**.

•

Opieszałość w orzekaniu to ciągle zmora polskich sądów. W 2023 r. złożono 11 tys. skarg. Średni czas przewlekłości w sprawach karnych wynosi prawie trzy lata.

•

Prof. Adam Bodnar, minister sprawiedliwości i prokurator generalny, odwołał prezesa i czterech wiceprezesów Sądu Okręgowego w Warszawie oraz kierownictwa podległych sądów rejonowych. Łącznie 14 osób.

•

Stanisław Pawlak (Nowa Lewica) został senatorem w wyborach uzupełniających w okręgu obejmującym Włocławek oraz powiaty aleksandrowski, lipnowski, radziejowski i włocławski. Były naczelnik miasta i gminy Lubraniec (1982-1990) i poseł (1993-2021) zdobył 9888 głosów (46,3%).

•

Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego obchodzi 40-lecie działalności. **Dyrektorowi Januszowi Gmitrukowi** gratulujemy konsekwencji w prezentowaniu bogatego dorobku ludowców.

•

80 tys. razy rodzice odmówili podania szczepionki ochronnej swoim dzieciom w 2023 r. W 2022 r. takich odmów było 72 tys.

•

1,127 mln cudzoziemców było zgłoszonych do ubezpieczeń emerytalnych i rentowych w 2023 r.

PRZEBŁYSKI

Zajęcza odwaga Nawrockiego

Jako prezes IPN Karol Nawrocki to ponura rzeczywistość. A jako umizgujący się do prezesa Kaczyńskiego, by wystawił go w wyborach prezydenckich, Nawrocki jest tylko nieśmiesznym dowcipem. Ktoś pompuje ambicje Nawrockiego, wiedząc, że ten gość ma ego rozdęte jak największy balon. A odwagę zająca na miedzy. Pogromca kolejnych pomników z PRL nigdy nie pojechał na Wołyń, by zacząć ekshumacje ofiar ludobójstwa. Nie pojechał, więc nie wstąpił do pierwszej lepszej ukraińskiej chałupy z okolic miejsc zbrodni. Nie zobaczył sprzętów po zamordowanych Polakach. I żyjących jeszcze sprawców ludobójstwa. Walka z nimi nie jest bezpieczna. Wolał więc Nawrocki wywieźć dawny pomnik Braterstwo Broni, który od 1972 r. stał na placu Wolności w Nowogardzie. Widać, że IPN i Nawrockiemu bardzo się nie podobają ślady przyłączania do Polski Ziem Zachodnich i Północnych. Dla zniszczenie pomników jest ważniejsze od kości 120 tys. Polaków.

Interwencje Boże według Czaputowicza

Czytamy felietony Jacka Czaputowicza w „Rzeczpospolitej". Tak, tego, który był nieudanym eksperymentem Kaczyńskiego. Czytamy po trosze z masochizmu. Ale też z powodu niewyszukanej rozrywki, jakiej dostarczają jego wynurzenia. Kontakt z nim jest jak spotkanie z kosmitami. Musi mieć Czaputowicz jakieś chody, że mu drukują takie coś jak „Interwencja Boża w wybory w Ameryce". Wiernie cytujemy słowa Czaputowicza: „Na pewno to Bóg wskazał Bidenowi Kamalę Harris jako następnego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Nikt inny by tego nie wymyślił".

O Trumpie: „To przecież oczywisty dowód interwencji Bożej. Przecież Bóg nie będzie interweniował nadaremno".

Lewizna Lewego?

Cezary Kucharski, były menedżer Roberta Lewandowskiego, podzielił się (portal Goniec.pl), swoją wiedzą o studiach piłkarza w Łodzi „Jestem w stu procentach pewny, że Lewy tego dyplomu nie robił w tamtych latach. Na pewno byśmy o tym wiedzieli. Zajmowaliśmy się układaniem jego kalendarza pobytów w Polsce. Pamiętam, że były problemy, żeby Lewy spotkał się ze sponsorami, z którymi miał podpisane kontrakty. Jego mama narzekała mi, że Robert nie miał dla niej czasu. Nie sądzę więc, by w tym czasie jeździł do Łodzi i studiował".

Mamy więc aferę Collegium Humanum i aferę zlikwidowanej już Wyższej Szkoły Edukacji Zdrowotnej i Nauk Społecznych. Od 2019 r., gdy zaczęto śledztwo przeciwko Zbigniewowi D., który był w tej szkole kanclerzem, śledczy odkryli w jego telefonie, że często kontaktował się z żoną piłkarza Anną Lewandowską i innymi znanymi sportowcami. Wyszło przy okazji na jaw, że Lewandowski ma licencjat z WSEZiNS, a magisterium z pedagogiki z drugiej łódzkiej uczelni, gdzie Zbigniew D. też był rektorem. Dyplom magistra podpisała Lewandowskiemu żona Zbigniewa D.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (2), SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 23ffd6e8db

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Dlaczego tragedia powstania warszawskiego została przerobiona na radosne święto?

DR PAWEŁ SĘKOWSKI,
historyk, adiunkt w Pracowni Historii Polski Najnowszej Instytutu Historii UJ, prezes Stowarzyszenia „Kuźnica"

W moim przekonaniu – jest to może teza nieco kontrowersyjna – radosne świętowanie rocznicy wybuchu czy w ogóle powstania warszawskiego jest próbą „unowocześnienia" paradygmatu martyrologicznego. To znaczy, że cały czas pozostajemy w logice świętowania wielkich przegranych, ale ten tradycyjny przekaz w duchu *gloria victis* próbuje się uatrakcyjnić, kreując narrację o duchowym czy też moralnym zwycięstwie. W ten sposób próbuje się dziś rozpowszechniać „pedagogikę martyrologiczną" i popularyzować ją w tych kręgach, do których nie trafia tradycyjna narodowo-katolicka pompa. Jest to zatem próba uatrakcyjnienia siermiężnego dla wielu przekazu, ale bez rezygnacji z jego podstawowych założeń.

Drugi element, jaki można dostrzec w radosnym świętowaniu tej wielkiej tragedii, to próba „zakrzyczenia" rzeczywistości i odwrócenia uwagi od dyskusji nad sensem wybuchu powstania warszawskiego i od wszelkich kontrowersji związanych z tym tematem. Świętując „moralne zwycięstwo" i „wielki narodowy zryw wolnościowy", przestajemy się zastanawiać, czy ta klęska była sensowna i potrzebna, odsuwamy od siebie myśl o tym, czy nie należałoby krytycznie ocenić polskich wojskowych i politycznych decydentów. Bo jakże oceniać tych, którzy stali u źródła katastrofy, skoro mamy do czynienia z „moralnym zwycięstwem", w dodatku przyczyniającym się do spowolnienia marszu Armii Czerwonej na Berlin? A ten ostatni element wiąże się z kolejnym spostrzeżeniem: można zauważyć, że w świętowaniu powstania warszawskiego następuje pewne niebezpieczne – z punktu widzenia prawdy historycznej – skrzywienie. Coraz mniej mówi się o Niemcach, którzy mordowali mieszkanki i mieszkańców Warszawy, coraz więcej zaś o Sowietach, którzy stali na drugim brzegu Wisły i nie interweniowali. Widać więc wychylenie antykomunistyczne i antyrosyjskie w świętowaniu wydarzenia, które było polskim zrywem przeciw Niemcom i przez Niemców krwawo zduszonym.

Reasumując, radosne świętowanie rocznicy wybuchu powstania warszawskiego doskonale wpisuje się w logikę fantazmatów polskiej politycznej i ideologicznej prawicy (tej spod znaku PiS oraz pokrewnych formacji ideowych), przyczyniając się do tworzenia „nowego Polaka" na podstawie uatrakcyjnionej pedagogiki martyrologicznej, połączonej z budowaniem bezkrytycznej „narodowej dumy".

Ciąg dalszy na s. 26

eprasa.pl 23ffd6e8db

Wojna o ambasadorów. Duda mówi „nie”

Czystka czy aksamitne rozwiązanie? Gorszące sceny

Jacek Czaputowicz przekazuje MSZ w ręce Zbigniewa Raua (po prawej), sierpień 2020 r.

Robert Walenciak

Marek Magierowski, którego PiS mianowało ambasadorem w Stanach Zjednoczonych, za swoją dymisję zażądał pieniędzy. Jak podała Wirtualna Polska, oczekuje od MSZ „rekompensaty” w wysokości 346 470 zł i 137 340 dol. I to z góry. Wtedy zgodzi się na dymisję. Jak wyliczył Magierowski, ta suma to równowartość wynagrodzenia i wszystkich możliwych dodatków do pensji, które otrzymywałby od 1 sierpnia 2024 do 23 listopada 2025 r., czyli do końca swojej „kadencji”, choć nic takiego w MSZ nie istnieje. W ten sposób dowiedzieliśmy się o tym, że ambasador RP zarabia niezłe pieniądze, oraz o tym, co tak naprawdę ważne jest dla Magierowskiego.

MSZ pojawiło się także na marginesie sprawy byłego ziobrowego wiceministra sprawiedliwości Marcina Romanowskiego. Otóż Polska ma swoją ambasadę przy Radzie Europy. Gdy sprawa Romanowskiego nabierała tempa, można było się spodziewać, że placówka prześle do centrali informację dotyczącą immunitetu europosła. Nic takiego się nie stało, ambasada milczała. Za to po zatrzymaniu Romanowskiego zastępczyni ambasadora (on sam był w tych dniach poza placówką) Magdalena Marcinkowska natychmiast zaalarmowała… Sekretariat Generalny Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. Tam, przy współudziale przewodniczącego Zgromadzenia Theodorosa Rousopoulosa

eprasa.pl 23ffd6e8db

sporządzono list chroniący Romanowskiego. „Wysłano go do marszałka Sejmu Szymona Hołowni. Ten przekazał dokument prokuraturze, która musiała o liście powiadomić sąd", podała „Gazeta Wyborcza".

Dodajmy, że Magdalena Marcinkowska trafiła do dyplomacji z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, gdzie była bliską współpracowniczką min. Piotra Glińskiego. I dodajmy też, że kierownictwo MSZ o sprawie immunitetu Romanowskiego dowiedziało się tak jak cały rząd – gdy list przewodniczącego Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy dotarł do Hołowni.

Przykład trzeci to ciągnąca się od miesięcy sprawa ambasadora RP przy NATO Tomasza Szatkowskiego. Prezydent Duda broni go tak bardzo, że w pewnym momencie premier Donald Tusk rzucił przysłowiowe kwity na stół. I poinformował w Sejmie, że w czasach rządów PiS Służba Kontrwywiadu Wojskowego zarzuciła Szatkowskiemu m.in. nieprawidłowe obchodzenie się z dokumentami niejawnymi, kontakty z zagranicznymi służbami specjalnymi oraz uzyskiwanie nieuprawnionych korzyści majątkowych. Dowiedzieliśmy się też, że SKW ukryła te informacje przed Agencją Bezpieczeństwa Wewnętrznego. A o wszystkim wiedział prezydent Andrzej Duda, czyli Szatkowskiego krył.

Na początku lipca ABW wszczęła kontrolne postępowanie sprawdzające wobec Szatkowskiego, co jest równoznaczne z odebraniem mu dostępu do informacji niejawnych.

Można rzec – sam tego chciałeś, Grzegorzu Dyndało.

•

PiS rządziło przez osiem lat i przez ten czas dokonało w MSZ kadrowej rzezi. Już przejmując MSZ, pierwszych ambasadorów zaczął odwoływać ówczesny minister Witold Waszczykowski. Argumentował, że „stanowisko ambasadora nie jest stanowiskiem pracy chronionej" i że potrzebuje ambasadorów, którzy broniliby polityki PiS i prowadzili w tej dziedzinie aktywne działania.

Jego następca Jacek Czaputowicz głośno chwalił się z kolei, że to on wyrzucił z MSZ ostatnich absolwentów MGIMO, czyli radzieckiej uczelni kształcącej kadry dyplomatyczne nie tylko dla ZSRR. Czaputowicz sprawy kadrowe w MSZ oddał w ręce dyrektora generalnego Andrzeja Papierza, działacza NZS, Ligi Republikańskiej, oficera UOP. Waszczykowski mówił o nim Rasputin. A Zbigniew Rau zdjął Papierza ze stanowiska, a potem wysłał na ambasadora do Czarnogóry.

Po odejściu z MSZ Raua, pisaliśmy już o tym, zawodowi dyplomaci kierowali ledwie 45 ze 103 polskich ambasad i przedstawicielstw. Podobne czystki, gdy na miejsce zawodowych dyplomatów przychodzili ludzie PiS, odbywały się też na niższych szczeblach.

•

Radosław Sikorski, przejmując w grudniu MSZ, miał nadzieję, że dogada się z Andrzejem Dudą, tak jak w latach 2007-2010 dogadywał się z Lechem Kaczyńskim, kiedy prezydent podpisywał nominacje wskazane przez ministra, ale i minister uwzględniał od czasu do czasu jego sugestie kadrowe, dzięki czemu ludzie popierani przez prezydenta wyjeżdżali za granicę. Dziś Sikorski mówi, że liczył na „aksamitną" współpracę z Dudą, i że nawet dwukrotnie w sprawie ambasadorów doszli do porozumienia. Ale ono okazało się puste.

To można było przewidzieć. Dziś Duda nie ma interesu, by w jakichś sprawach współpracować z rządem, dziś buduje swoją polityczną pozycję jako obrońca ludzi PiS, obrońca państwa PiS i główny hamulcowy koalicji rządzącej. Nie jest zaskoczeniem, że wybrał taką drogę. Zaskoczeniem jest, że zaskoczony tym został Sikorski, który uznał, że będzie przeprowadzał „aksamitne" zmiany na placówkach, eleganckie. I że uprzedzi ambasadorów kilka miesięcy wcześniej w taki sposób, by nie dostało się to do mediów, co spotka się z wdzięcznością.

Niektórzy z odwołanych pewnie tak pomyśleli. Ale ilu stwierdziło, że nie mają już nic do stracenia i że im gorzej, tym lepiej? Na ilu placówkach nastał stan tymczasowości, oczekiwania na zmianę?

•

Mamy więc sytuację, że Sikorski wysłał parę miesięcy temu ok. 40 ambasadorom informację, że będą odwołani, a Duda na odwołania się nie zgadza. Pełna obstrukcja. Duda broni Szatkowskiego i Magierowskiego, zapowiedział, że nie podpisze ich odwołania, nie podpisze też nominacji Bogdanowi Klichowi, który ma być ambasadorem w USA, bo w chwili katastrofy smoleńskiej był ministrem obrony, więc jest za nią odpowiedzialny. Pomińmy ten argument dla niezorientowanych. Prezydent nie podpisuje też nominacji zawodowym dyplomatom, którzy przeszli przez wszystkie sita, których zatwierdziła sejmowa Komisja Spraw Zagranicznych i którzy mają jechać na placówki od dawna nieobsadzone.

O obsesji prezydenta niech świadczy kazus Michała Łabendy, który ma jechać do Kazachstanu, gdzie Polska nie ma ambasadora od roku. W świetle wydarzeń za wschodnią granicą bez wątpienia jest to jedna z najważniejszych polskich placówek, wymagająca jak najlepszej obsady. I tak się dzieje – chyba nie ma w całym MSZ osoby, która byłaby lepszym kandydatem. Łabenda to zawodowy dyplomata,

PiS rządziło przez osiem lat i przez ten czas dokonało w MSZ kadrowej rzezi.

Prezydent nie podpisuje nominacji zawodowym dyplomatom, których zatwierdziła sejmowa Komisja Spraw Zagranicznych, i którzy mają jechać na placówki od dawna nieobsadzone.

eprasa.pl 23ffd6e8db

był już ambasadorem w Azerbejdżanie, Mongolii i Egipcie i zbierał najwyższe oceny – także od dyplomatów, z którymi przyszło mu pracować. Zna miejscowe języki – kazachski, karakałpacki, uzbecki (oprócz tych banalnych typu rosyjski, angielski, francuski), skończył uniwersytet w Astanie. Cud, że mamy takiego człowieka.

Ale Duda nie chce mu podpisać nominacji, przynajmniej nie zrobił tego do 26 lipca. Choć, co warto przypomnieć, podpisał temu samemu Łabendzie nominację w roku 2018 na ambasadora do Egiptu. Wtedy był dobry, dziś jest niedobry? Gdzie tu logika?

•

Sikorski nie powinien robić sobie złudzeń, jeśli chodzi o Dudę, także z innego powodu. Otóż w czasach rządów PiS decyzję o nominacjach ambasadorskich podejmowano w gronie prezydent, premier, szef MSZ, Nowogrodzka. I to grono, jednolite przecież, nie potrafiło się dogadać miesiącami.

Rok temu Onet zamieścił listę miejsc, gdzie Polska nie miała ambasadora, i to nie przez dwa-trzy miesiące, ale przez rok lub dłużej.

Nie mieliśmy więc ambasadora w:

- **Czechach** (od września 2020 r. do listopada 2021 r.),
- **Irlandii** (od lipca 2018 r. do września 2019 r.),
- **Kanadzie** (od lipca 2016 r. do września 2017 r.),
- **Rumunii** (od sierpnia 2019 r. do lipca 2020 r.),
- **Portugalii** (od sierpnia 2020 r. do sierpnia 2021 r.),
- **Francji** (od września 2016 r. do sierpnia 2017 r.),
- **Hiszpanii** (od września 2021 r. do czerwca 2022 r.),
- **Danii** (od września 2020 r. do marca 2022 r.),
- **Holandii** (od maja 2022 r. do stycznia 2023 r.),
- **Niemczech** (od stycznia 2022 r. do listopada 2022 r.),
- **Izraelu** (od lipca 2021, a w zasadzie od lutego 2022, kiedy Yacov Livne przyjechał do Warszawy – do dziś),
- **Norwegii** (od sierpnia 2016 r. do lutego 2018 r.),
- **Szwecji** (od czerwca 2018 r. do marca 2020 r.),
- **Brazylii** (w latach 2017-2020).

Dziś też mamy podobną sytuację, kilkanaście ambasad jest nieobsadzonych, kierują nimi chargé d'affaires. I to jest wybór, przed którym stoi Sikorski. Albo podda się Dudzie i zgodzi na to, by prezydent dyktował mu politykę zagraniczną i wyznaczał ambasadorów, albo musi pogodzić się z tym, że zamiast nich będzie miał przez najbliższy rok chargé d'affaires na placówkach.

Marek Magierowski za swoją dymisję ze stanowiska ambasadora Polski w USA żąda pieniędzy.

Sprawa ambasadora RP przy NATO, Tomasza Szatkowskiego, ciągnie się już od miesięcy.

•

Czy to duża różnica? Jaka jest rola ambasadora w dzisiejszych czasach? Przede wszystkim ambasador kieruje placówką. Więc to on prowadzi zebrania (planowania) przynajmniej raz w tygodniu, przeważnie w poniedziałek albo w piątek. Podczas tych zebrań sumowana jest praca poszczególnych wydziałów i wyznaczane kolejne zadania. To przez jego ręce przechodzą depesze do kraju i on je podpisuje. To on decyduje, czy w danej sprawie placówka pracuje pełną parą, czy na przysłowiowe alibi. Oczywiście w przypadku zawodowych dyplomatów ich zaangażowanie jest raczej stabilne – oni są oceniani przez MSZ. Ta coroczna ocena może brzmieć: praca ambasady zgodnie z oczekiwaniami, poniżej oczekiwań, powyżej oczekiwań. Na tej ostatniej zależy zawodowcom. Ale ambasadorowie z politycznego rozdania mają innych panów i inny punkt odniesienia.

Nie dziwmy się więc premierowi Tuskowi, że pragnie mieć w Stanach Zjednoczonych szefa placówki, któremu ufa, bo chce, by ambasada realizowała zadania wychodzące z rządu i by Andrzej Duda i jego ludzie nie ingerowali w jego politykę.

A że zamiast ambasadora tę politykę będzie realizował chargé d'affaires? Ludzie MSZ uważają, że to duża różnica, że na tym stanowisku trudniej jest działać. Banalny przykład – gdy ambasador zamierza przekazać coś ważnego, w MSZ przyjmuje go wiceminister. Gdy chargé d'affaires – zastępca dyrektora departamentu. Również podczas ważnych uroczystości, stosownie do zasady precedencji, jest ulokowany gdzieś z tyłu. Grono ambasadorów też niechętnie dopuszcza do siebie chargé d'affaires…

Ale – z drugiej strony – państwa przyjmujące doskonale się orientują, kto w jakiej ambasadzie ile waży. Klich w Stanach Zjednoczonych byłby więc traktowany jako „towarzysz broni" Donalda Tuska. Każdy wiedziałby, że rozmawia z człowiekiem premiera, a nie z outsiderem.

•

Dlaczego więc Sikorski przez ponad pół roku nie mógł tego zrozumieć? Sporo na ten temat mówi Rafał Wiśniewski, dyrektor generalny i szef Służby Zagranicznej w jednej osobie, główny kadrowy MSZ. Podkreśla on, że ministrowi zależało, żeby wymiana ambasadorów odbyła się w cywilizowany sposób. To są miłe słowa, choć warto przypomnieć inną historię, z przełomu lat 2005-2006. W tamtym czasie, po wyborach, mieliśmy rząd PiS-LPR-Samoobrona, w którym ministrem obrony był Radosław Sikorski,

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER (2)

eprasa.pl 23ffd6e8db

ministrem spraw zagranicznych Stefan Meller, a wiceministrem spraw zagranicznych Rafał Wiśniewski. I wówczas z MSZ wyszedł oficjalny komunikat, że minister odwołuje siedmiu ambasadorów, a to dlatego, że byli związani z aparatem PZPR i ze służbami specjalnymi PRL, więc utracili zaufanie rządu. Podano do publicznej wiadomości ich nazwiska.

Po odejściu z MSZ Raua zawodowi dyplomaci kierowali ledwie 45 ze 103 polskich ambasad i przedstawicielstw.

Czy autorzy tego komunikatu mieli na uwadze, jak bardzo jest on podły i niemądry? Wierzyli, że w III RP nie przychodzą już do MSZ ludzie z różnych partii lub ze służb specjalnych? Nie rozumieli, że w ten sposób poniżają siedmiu kompetentnych dyplomatów, którzy i dziś byliby w czołówce polskich ambasadorów? I że – przy okazji – ośmieszają Polskę?

Wiśniewski był przy tym, Sikorski się przyglądał. Dlaczego nie reagowali? Dlaczego wtedy był lincz, a dziś ma być aksamit? Można odpowiedzieć, że dlatego, iż dojrzeli. Ale to chyba nie byłaby cała prawda.

A jest inna? Trop podaje sam Wiśniewski. Otóż pisze on w „Rzeczpospolitej": „Sam nie wstydzę się ani swego dorobku zawodowego po 1989 r., ani tego, co robiłem wcześniej, jako licealista i student, w podziemiu, w samizdacie, w niezależnych mediach katolickich, w nieoficjalnej komunikacji pomiędzy antykomunistycznymi środowiskami w Polsce i na Węgrzech". I w ten sposób zapisał się do grona solidarnościowych kombatantów. Nie bez powodu – gdy przychodził do MSZ, dawało mu to handicap, przewagę nad innymi, zwłaszcza tymi, którzy zaczynali w PRL. Coś na ten temat może powiedzieć też Jacek Czaputowicz – wtedy dyrektor departamentu konsularnego, a później człowiek, z którym nie wiadomo było co robić, więc przerzucano go ze stażu na staż.

Oto więc myślenie skażone partyjniactwem – najpierw ci z Solidarności mogli czuć się lepsi (bo dobre pochodzenie). Gdy więc wyrzucali tych, którzy zaczynali w Polsce Ludowej, uważali to za coś słusznego, nie czuli wstydu. Potem sami między sobą się pokłócili i podzielili. A teraz, gdy trzeba odwołać swoich, to może jest im trudniej? I może to jest cała tajemnica „aksamitu"?

•

A nie byłoby prościej, zamiast zaglądać ludziom w życiorysy, pytać, skąd przyszli, sprawdzać, co potrafią? Rafał Wiśniewski jako przedstawiciel ekipy Sikorskiego zapowiada, że tak właśnie będzie, że chce sprofesjonalizować MSZ. Że kryteria, zasady, konkursy itd. Piękne słowa, tylko po tym, co zdążył powiedzieć i zrobić, nie jest tu specjalnie wiarygodny.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 23ffd6e8db

GIERKI Z IMMUNITETEM

Co Romanowski zgłaszał w Radzie Europy?

Maciej Mikołajczyk

Rozliczanie i karanie polityków Zjednoczonej Prawicy za przestępstwa i łajdactwa, jakich się dopuścili w czasie dobrej zmiany, to sztandarowe hasło koalicji 15 października. Na razie urobek rozliczeniowy jest jednak skromny – za kratami przebywają ksiądz Olszewski i dwie urzędniczki z ministerstwa sprawiedliwości, czyli płotki, a łapanie Marcina Romanowskiego, rybki średniego rozmiaru, wywołało międzynarodową aferę. Serial z Romanowskim w roli głównej jest przy tym wielce pouczający. Jak wiadomo sąd pierwszej instancji nie zgodził się na zastosowanie wobec niego aresztu tymczasowego, bo doszedł do wniosku, że chroni go immunitet Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy (ZPRE). Czy słusznie? Zostawmy to prawnikom.

Spróbujmy za to odpowiedzieć na pytanie, jak to się stało, że Romanowski został deputowanym zgromadzenia, zajmującego się praworządnością, ochroną mniejszości etnicznych i seksualnych, wolnością słowa i szeroko pojętymi prawami człowieka? (Z materiału źródłowego: „celem ZPRE jest ochrona demokracji pluralistycznej oraz rządów prawa, poszukiwanie rozwiązań problemów nurtujących społeczeństwa, walka z nietolerancją, z dyskryminacją mniejszości, ksenofobią, ochrona środowiska, walka z korupcją i przestępczością zorganizowaną oraz działanie na rzecz jedności europejskiej”).

Lisy w kurniku

Do Rady Europy należy 47 państw, każde wyznacza delegatów do zgromadzenia parlamentarnego oraz ich zastępców spośród parlamentarzystów krajowych. Polska ma prawo do 12 przedstawicieli i 12 zastępców – dziewięciu delegatów i dziewięciu zmienników wyłania Sejm, trzech delegatów i trzech zastępców wyznacza Senat. W obu przypadkach mianowanie odbywa się w drodze głosowania prezydiów nad kandydaturami zgłoszonymi przez kluby parlamentarne. 18 stycznia br. prezydium Sejmu jednogłośnie zatwierdziło skład polskiej delegacji, w tym mianowanie wszystkich kandydatów zgłoszonych przez Klub Parlamentarny PiS. Dzięki temu delegatami, mającymi w imieniu Polski walczyć z ksenofobią i przestępczością zorganizowaną, zostało siedmiu posłów od Kaczyńskiego, w tym Arkadiusz Mularczyk, Paweł Jabłoński i Marcin Romanowski – w charakterze zastępcy członka. Ergo: w trosce o prawa kur lisy wpuszczono do kurnika.

Romanowski w momencie głosowania był już na celowniku organów ścigania z powodu podejrzenia o działalność w zorganizowanej grupie. Delegowanie go do zgromadzenia, zajmującego się zwalczaniem przestępczości zorganizowanej, było więc poniekąd zrozumiałe, bo chłop zna się na robocie i ma doświadczenie. Tyle że wnet okazało się, iż trafił do Rady Europy wyłącznie po to, by pluć na tych, którzy go tam delegowali. ZPRE obraduje cztery razy w roku w Pałacu Europy w Strasburgu. Wiceminister sprawiedliwości w rządzie Morawieckiego i zawiadowca funduszu o tej samej nazwie co resort, wziął udział w jednej sesji i cała jego aktywność intelektualna i polityczna sprowadziła się do poparcia trzech projektów uchwał. Nade wszystko był orędownikiem zbadania przez Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy „przypadków naruszeń praworządności w Polsce”.

W uzasadnieniu czytamy: „W ostatnich tygodniach w Polsce wielokrotnie dochodziło do łamania praworządności. Największym naruszeniem było aresztowanie posłów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, którzy pełniąc mandaty poselskie i korzystając z immunitetu poselskiego, zostali na mocy postanowienia władz pozbawieni wolności i umieszczeni w zakładach karnych. Do zdarzenia doszło, pomimo że Prezydent RP Andrzej Duda, korzystając z prerogatyw prezydenckich, zastosował wobec ww. osób akt łaski. Zasadność postępowania Prezydenta potwierdziły trzy orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego – orzeczenia, które mają w Polsce moc powszechnie obowiązującą i są ostateczne”.

Drugi projekt, którego zwolennikiem był Romanowski, zatytułowano „Pluralizm mediów w Polsce zagrożony”. Uzasadnienie: „Rząd Donalda Tuska tworzy środowisko medialne, w którym nie będzie spotykał się z żadnymi krytycznymi mediami. Aby uniemożliwić nadawanie telewizji publicznej i informowanie obywateli Polski, rząd sięgnął po metody niestosowane od czasów komunizmu i stanu wojennego. Prezydent Duda stwierdził, że rząd Donalda Tuska łamie Konstytucję. Zgromadzenie Parlamentarne musi w możliwie najostrzejszy sposób potępić działania polskiego rządu i wezwać do zaprzestania wszelkiej ingerencji rządu w media publiczne”.

Trzeci projekt natomiast dotyczył „łamania prawa przez Adama Bodnara, ministra sprawiedliwości”. „Ochrona praworządności wymaga zapewnienia organom egzekwowania prawa odpowiednich warunków do skutecznego wypełniania obowiązku ścigania przestępstw. Dlatego głęboko niepokoi fakt, że w Polsce Adam Bodnar – minister sprawiedliwości i prokurator generalny – atakuje instytucję prokuratury. Minister Bodnar wbrew brzmieniu ustawy zadeklarował powrót do czynnego statusu

eprasa.pl 23ffd6e8db

prokuratura Dariusza Barskiego. Następnie wbrew prawu powołał Jacka Bilewicza na nieistniejące w prawie polskim stanowisko pełniącego obowiązki prokuratora. Fakt, że minister Bodnar złamał prawo i naruszył praworządność, stanowi poważne zagrożenie dla Polski i narusza standardy demokratyczne" – stoi w uzasadnieniu.

Dwa pierwsze projekty uchwał były autorstwa posła Arkadiusza Mularczyka, trzeci wyszedł spod pióra Marcina Romanowskiego, więc trudno się dziwić, że Romanowski poparł samego siebie. Zgromadzenie nie dało się nabrać – ani jeden z projektów nie był dyskutowany na forum ogólnym, bo poza parlamentarzystami z PiS, sygnatariuszami była garstka ultrakonserwatystów z deputowanymi Alternatywy dla Niemiec na czele. AfD ma zresztą z Prawem i Sprawiedliwością wiele wspólnego, bo owszem, dzieli je stosunek do SS, ale łączy niechęć wobec imigrantów. Z tym że Alternatywa wrogo jest nastawiona wobec przybyszów z Polski, czego o partii Jarosława Kaczyńskiego powiedzieć nie można (wyjąwszy Polaków gorszego sortu).

Doprowadzenie na posiedzenie aresztowe posła Suwerennej Polski i byłego wiceministra sprawiedliwości Marcina Romanowskiego.

Do kosza

Kancelaria Sejmu tłumaczy, że delegowanie Romanowskiego do ZPRE było zgodne ze zwyczajem parlamentarnym. „Akceptacja przez Prezydium Sejmu składów delegacji wyznaczonych przez kluby parlamentarne odbywa się według ustalonego przez Prezydium parytetu. W dotychczasowej historii uczestnictwa polskiej delegacji w pracach Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy nie zdarzył się przypadek zakwestionowania przez Prezydium Sejmu proponowanego członka delegacji. Wśród zastępców członka delegacji do Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy wskazanych przez KP PiS znalazł się poseł Marcin Romanowski".

Znalazł się i dzięki temu schował się za immunitetem, który przysługuje także deputowanym o statusie zastępcy. Wykonywanie mandatu przez Romanowskiego polegało na zastąpieniu Pawła Jabłońskiego i udziale w sesji zimowej zgromadzenia, sygnowaniu dwóch projektów uchwał i napisaniu jednego. Wszystkie wylądowały tam, gdzie ich miejsce, czyli w koszu na śmieci, bo zawierały urojenia, fałszywe oskarżenia i prostackie tricki propagandowe.

W istocie immunitet Romanowskiemu zafundowała obecna większość sejmowa, a ściślej prezydium Sejmu w składzie z marszałkiem Hołownią i pięcioma wicemarszałkami.

PiS nie ma swojego wicemarszałka i tym samym przedstawiciela w prezydium, co jest niezgodne z obyczajem parlamentarnym. Zarazem każe się wierzyć publice, że w imię parlamentarnych obyczajów prezydium unisono głosowało za Romanowskim i pozostałymi kandydatami partii Kaczyńskiego. Triumf i kontrofensywa wypuszczonego przez sąd na wolność posła to skutek tego, że „miękiszony i fujary", by sięgnąć do słownika Zbigniewa Ziobry, grają w szachy z troglodytami, mylącymi szachownicę z wychodkiem.

Bo prawda jest taka, że delegowanie homofobów i nacjonalistów do pracy w zgromadzeniu zajmującym się ochroną praw mniejszości seksualnych i narodowych, to skandal, a fakt, że obrońcy praw człowieka pokroju Romanowskiego korzystają z immunitetu, to skandal do potęgi dziesiątej.

Mina Benita

Strach pomyśleć o tym, co będzie, gdy organa ścigania zabiorą się za pisowców z Parlamentu Europejskiego. Kandytami na więźniów na dobry początek są Daniel Obajtek, Mariusz Kamiński, Maciej Wąsik, Michał Dworczyk, Joachim Brudziński i Adam Bielan – politycy wywołujący większy rezonans niż Romanowski. Próba pociągnięcia ich do odpowiedzialności może więc doprowadzić do niepokojów społecznych, ćwiczonych już przy okazji aresztowania księdza Olszewskiego. A przecież za kraty winny też trafić figury pierwszorzędne, czyli Kaczyński i Ziobro, co bez zeznań polityków skromniejszych formatów nie ma prawa się udać.

Żeby stworzyć realną szansę na to, że ręka sprawiedliwości dosięgnie przywódców pisowskiej rewolucji, należy opracować strategię postępowania wobec polityków podejrzewanych o popełnianie przestępstw. Sytuacja jest skomplikowana i delikatna, bo z jednej strony są chronieni immunitetami, a z drugiej na straży ich interesów stoi Andrzej Duda. Nie ma co się łudzić: prezydent jest pozbawiony wstydu i ułaskawi każdego przestępcę z miłym jego sercu rodowodem, na dokładkę czyniąc go ofiarą reżimu i czasowym lokatorem pałacu. Czy warto wszczynać postępowania, a potem procesy sądowe i uruchamiać całą machinę państwa tylko po to, żeby Duda z miną Benita Mussoliniego oświadczył, że korzysta z prawa łaski? Pytanie tym bardziej istotne, że po raz drugi skazać za to samo przestępstwo nie można. ■

FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 23ffd6e8db

Wakacyjna śmierć za kółkiem

Tylko od początku lipca na polskich drogach zginęło ponad 200 osób

Kornel Wawrzyniak

Od sześciu lat w każde wakacje polska policja uruchamia specjalną stronę internetową z mapą wypadków śmiertelnych. Portal aktualizowany jest codziennie. Kiedy zaczynam pisać ten tekst, na mapie Polski widnieje napis „Wakacje 2024 – 199" (zob. ilustracja). Liczba wyświetla się na czerwono. To aktualne dane na temat ofiar śmiertelnych. Na mapę nanoszone są kropki w trzech kolorach. Żółto-czerwono migają wypadki z ostatniej doby; kolorem czarnym zaznaczona jest liczba ofiar od początku wakacji; kolorem brązowym zaś liczba zgonów w następstwie wypadku w ciągu 30 dni od zdarzenia drogowego. To ostatnie kryterium, jeśli chodzi o statystykę, stanowi ok. 25% wszystkich zdarzeń wyszczególnionych na mapie.

„Bieżąca aktualizacja mapy, w tym wizualizacja, ma na celu zwrócenie uwagi na skalę tragedii, do jakich dochodzi na polskich drogach, ma skłonić do refleksji użytkowników dróg, jak również zachęcić media do dyskusji na temat bezpieczeństwa ruchu drogowego" – czytamy pod mapką policyjną. „Należy mieć na uwadze, że za każdym punktem zaznaczonym na tej mapie kryje się ludzka tragedia. Każde, nawet z pozoru błahe zignorowanie przepisów, brawura, zlekceważenie senności czy zmęczenia mogą być przyczyną tragedii na drodze".

Długa prosta droga z jedną jezdnią i dwoma kierunkami jazdy jest najbardziej zabójcza. Wypadek w Magnicach na Dolnym Śląsku, 5 lipca 2024 r.

Beztroska letnich dni

Jest połowa wakacji. Internet obiegają właśnie memy, jak cwaniaczek w wielkim audi wjechał na plażę w okolicach Mielna i nie mógł już z niej wyjechać. Kierowca SUV-a Q7 postanowił pokazać wszystkim, jaki fantastyczny ma samochód i że da radę wyciągnąć nim skuter wodny. Samochód zaczął jednak odpływać, porwany przez wody Bałtyku. Do akcji wkroczyli ratownicy, którzy na miejsce przyjechali terenówką z gatunku tych prawdziwych, którymi rzeczywiście można jeździć po plaży. Wszystko skończyło się na viralowym filmiku w internecie i paru kąśliwych komentarzach. Co ciekawe, co roku dochodzi do kilu takich sytuacji. To jednak tylko obrazek skrajnej głupoty ludzi, których roboczo można nazwać członkami partii kierowców. Są nimi osoby, które wjadą wszędzie, bo w przeciwieństwie do gminu poruszającego się na piechotę wszystko im wolno.

Według danych policji w Polsce co roku w okresie wakacyjnym ginie na drogach ok. 400 osób. W 2023 r. policjanci odnotowali 4993 wypadki drogowe, w których zginęło 445 osób. W stosunku do 2022 r. wypadków było o 273 mniej. Nie przyniosło to jednak zauważalnych zmian, skoro mieliśmy zaledwie osiem ofiar śmiertelnych mniej niż w 2022 r. Patrząc na tegoroczne świecące się 199, możemy przypuszczać, że na koniec wakacji znów pojawi się liczba ok. 400 zabitych. Co roku policja wymienia też te same powody, jeśli chodzi o zatrważającą liczbę ofiar wypadków drogowych. Wśród najczęstszych są przede wszystkim nadmierna prędkość i lekceważenie podstawowych przepisów ruchu drogowego. Widać to było już na samym początku wakacji w miejscowości Mierzynów pod Łodzią. 1 lipca 22-latek jadący bmw nie zastosował się do znaku STOP i wjechał

Kierujący wielkim audi wjechał na plażę w okolicach Mielna i nie mógł już z niej wyjechać. Samochód zaczął odpływać, porwany przez wody Bałtyku.

eprasa.pl 23ffd6e8db

wprost pod ciężarówkę. Mężczyzna zginął na miejscu.

Nie lepiej jest na Śląsku. W ciągu pierwszych dwóch tygodni lipca zginęło tam 12 osób, policjanci odnotowali 2 tys. kolizji (stan z 16 lipca). Śląscy funkcjonariusze apelowali w mediach: „Liczby wskazują na to, że musimy zadbać o swoje bezpieczeństwo. Każda chwila zmniejszonej uwagi, rozkojarzenie, stres, alkohol czy substancje zabronione to właśnie czynniki, które przyczyniają się do występujących na naszych drogach tragedii. To od nas zależy, czy będzie dochodziło do niebezpiecznych zdarzeń, czy będziemy w stanie im zapobiec".

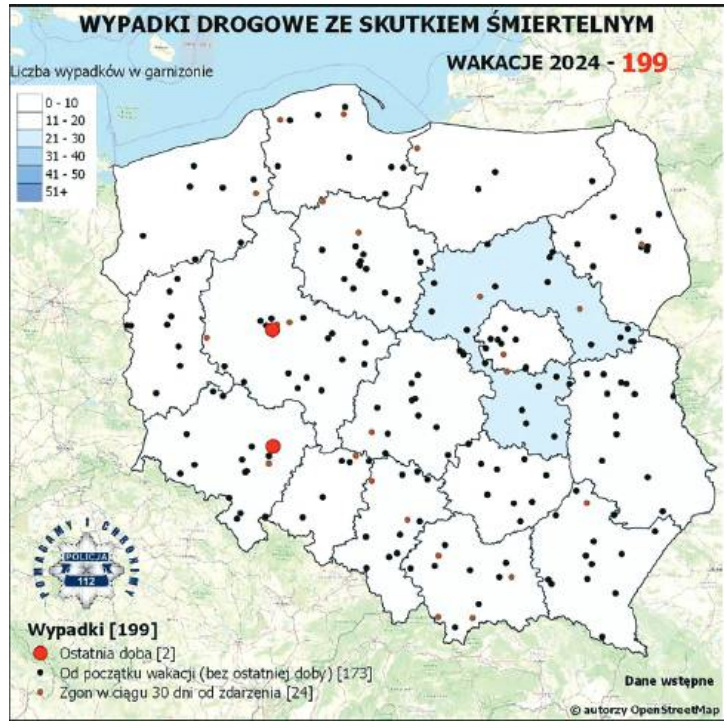

Uwaga! Dzieci na pokładzie

– Oczywiście, że można narzekać na wakacyjnych kierowców, przeklinać tzw. Januszy wlokących się bez potrzeby lewym pasem w starym kombiaku. Jednak punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Jako tata wiem, że nawet najlepszy kierowca, który na co dzień dużo jeździ, kiedy wsiada z dwójką dzieci do auta, pod wieloma względami zmienia styl jazdy – opowiada Tomek, przedstawiciel handlowy firmy farmaceutycznej, dla którego pokonywanie kilometrów to część pracy.

Zmiana w zachowaniu kierowcy, o której wspomina Tomek, bierze się z kilku czynników. Oczywiste jest zdjęcie nogi z gazu, by zadbać o bezpieczeństwo najbliższych. Ale wielu kierowców doświadcza dodatkowego przebodźcowania tym, co się dzieje w samochodzie w trakcie jazdy z rodziną. Dzieci bardzo często siedzą na tylnym siedzeniu z komórką lub tabletem, które wydają dodatkowe dźwięki. W grę wchodzą też zachowania naturalne podczas rodzinnej jazdy, jak rozmowy, pytania o drogę, kłótnie itd. Stan, w którym kierowca nie jest w aucie za kółkiem sam, to w dzisiejszych czasach duże odstępstwo od normy i zdarza się raczej kilka razy w roku. Warszawskie Badanie Ruchu wyliczyło, że przeciętnie jednym samochodem po ulicach stolicy jeździ 1,3 osoby.

– Do pracy i podczas niej jeżdżę sam. Robię rocznie ok. 50 tys. km. Oczywiście podwożę dzieciaki na różne zajęcia, ale nijak ma się taka jazda po mieście z dłuższą trasą, kiedy z tyłu siedzi dwójka dzieci, bo to i mimowolny stres, żeby nic im się nie stało, jak również dodatkowe komunikaty w kabinie. A to żona w klimie grzebie i czegoś nie rozumie, a potem jest: „Tato, przełącz piosenkę". I tak ta trasa leci – opowiada Tomek.

Na to, że polscy kierowcy jeżdżą głównie sami, może też wskazywać średnia liczba samochodów na mieszkańca. W 2020 r. na tysiąc mieszkańców przypadało nad Wisłą 656 samochodów, czyli 0,66 samochodu na mieszkańca. Uplasowało to Polskę na drugim miejscu w Europie, tuż za Luksemburgiem (0,68). Są w Polsce powiaty takie jak wałbrzyski, gdzie na mieszkańca mamy aż 0,99 samochodu. To jednak czysta statystyka, wynikająca raczej z faktu, że Wałbrzych znajduje się niedaleko granicy, a w takich miejscach łatwo o nagromadzenie handlarzy autami. A to z kolei więcej zarejestrowanych samochodów w jednym miejscu, co znacznie podbija średnią, lecz niekoniecznie oznacza, że każdy w Wałbrzychu posiada auto.

Nie zmienia to jednak faktu, że w Polsce bardzo dużo osób ma prawo jazdy. Z danych Centralnej Ewidencji Pojazdów i Kierowców wynika, że dokument uprawniający do kierowania pojazdami wydano obecnie ponad 22 mln osób, a nad Wisłą mamy 38 mln obywateli.

Jest jeszcze jeden czynnik wpływający na jazdę, o którym często się zapomina, a jest istotny podczas wyjazdów z rodziną. Mowa o chorobie lokomocyjnej. Szacuje się, że niektóre jej objawy odczuwa nawet 30% populacji, przy czym 5% wyjątkowo źle znosi podróż. Najczęściej choroba lokomocyjna dotyczy dzieci w wieku 10-12 lat. Wśród najczęstszych objawów choroby lokomocyjnej wymienia się m.in. wahania nastroju oraz nudności i wymioty. Takie czynniki jako dodatkowe bodźce ze strony pasażerów mogą mieć wpływ na to, co się dzieje w samochodzie.

To jednak nie rodziny z dziećmi stanowią zagrożenie na drodze. Chodzi o fakt, że zapominamy nawet

Dwaj motocykliści zabili się na parkingu, uderzając o stojący samochód. Obaj jeździli bez kasków.

FOT. JAROSŁAW JAKUBCZAK/POLSKA PRESS/EAST NEWS, POLICJA.PL

eprasa.pl 23ffd6e8db

na co dzień o zwykłej życzliwości za kółkiem. Widząc, że ktoś zmaga się z jazdą, mając wypakowane po brzegi auto, trzeba mieć na uwadze, że to dla niego trudny i stresujący dzień, zamiast myśleć, że przez moment musimy jechać po autostradzie 30 km na godzinę wolniej, niż jechaliśmy do tej pory.

Głupota podgrzewana słońcem

Czytamy kolejny wakacyjny nagłówek z kategorii wypadki w jednym z portali internetowych. Ten jest o dwóch braciach motocyklistach, którzy zabili się na parkingu, uderzając o stojący samochód. Oczywiście można twierdzić, że wypadki chodzą po ludziach. Jednak po pierwsze, policja ustaliła prawie natychmiast, że obaj mężczyźni, po trzydziestce, jechali bez kasków. Po drugie, warto zadać sobie pytanie, ile trzeba mieć na liczniku, żeby skasować motocyklem stojące auto, i to jeżdżąc po parkingu.

Na portalu o bezpieczeństwie BRD24.PL można zaś znaleźć absurdalny, a jednak prawdziwy tytuł: „Kotek skoczył na kierowcę. Ten wypadł z drogi i uderzył w latarnię". 20-latek na trasie Przełęk-Nysa wypadł z drogi, ponieważ przewoził kociaka bez odpowiedniego transportera. Zwierzak wskoczył w pewnym momencie na kierującego, a ten stracił nie tylko zimną krew, ale i panowanie nad pojazdem. Zdjęcie z wypadku mrozi krew w żyłach. Samochód wygląda na wrak, a obok w rowie leży przewrócona latarnia.

„To zdarza się jeszcze bardzo często. Pokazują to nawet celebryci. Wożenie zwierząt w samochodzie bez transportera lub co gorsza na kolanach", piszą autorzy BRD24.PL. Na szczęście ta sytuacja skończyła się o tyle szczęśliwie, że nie ucierpiał ani 20-letni kierowca, ani kotek.

Policja apeluje przede wszystkim o zdejmowanie nogi z gazu. Wakacje to też okres, kiedy najmłodsi poruszają się po drogach i ścieżkach rowerowych na hulajnogach czy wychodzą na wspólne pedałowanie. Kierowcy niestety często zapominają, że nie są sami na drogach. Śmierci cudem uniknął chłopiec z Pobłocia. Trójka młodych rowerzystów zatrzymała się zgodnie z przepisami na przejściu i zeszła z rowerów. Kierowca nadjeżdżający z ich prawej strony zatrzymał się przed przejściem, aby ich puścić. Dwaj chłopcy weszli na pasy, trzeci wchodził tuż za nimi. Kiedy spóźnialski zaczął wpychać rower na przejście, po sekundzie został tylko z rączkami od kierownicy w zaciśniętych dłoniach. Kierujący skodą, który nadjeżdżał z drugiej strony, wjechał z całą mocą na przejście, uderzając w rower i cudem nie zabijając dwóch pozostałych chłopców, którzy schodzili w tym czasie z przejścia. Bezczelny pirat twierdził, że dzieci wbiegły mu pod koła. Został ukarany 17 pkt i mandatem na 6,5 tys. zł.

Ojciec chłopca opublikował w internecie nagranie ze zdarzenia i komentarz: „Policjant, który przybył na miejsce, trzy razy powtarzał: Pana dzieci wygrały dziś życie… Uczcie dzieci odpowiedniego zachowania, a takich ludzi oby jak najmniej". Wiadomo, że kierowca skody tymczasowo utracił możliwość kierowania pojazdami. Mieszkańcy Pobłocia piszą w komentarzach pod filmem ze zdarzenia, że przez tę wieś, jak i okoliczne miejscowości kierowcy jeżdżą bardzo szybko. I nikt nie podejmuje działań, aby ich spowolnić. „Odpowiedzialność za takie wypadki powinien ponosić nie tylko kierowca, ale również ci, którzy mają dbać o nasze bezpieczeństwo, czyli zarząd dróg wojewódzkich, bo to się w głowie nie mieści, żeby na takiej trasie nie było ani fotoradarów, ani świateł", czytamy w komentarzu jednej z mieszkanek.

W tym samym dniu takiego szczęścia jak chłopcy z Pobłocia nie mieli dwaj 12-latkowie z Borzęcina Dużego pod Warszawą. Pijak z bmw podczas wyprzedzania stracił kontrolę nad samochodem i staranował grupę rowerzystów poruszających się po chodniku. Jeden z potrąconych chłopców zmarł na miejscu. Drugi w stanie ciężkim trafił do szpitala.

Według danych Komendy Głównej Policji miesiące letnie to najniebezpieczniejszy czas na polskich drogach.

Ostatnia prosta

Policjanci prowadzą rokrocznie wzmożone kontrole trzeźwości. Tylko w okresie wakacyjnym 2023 r. zatrzymali 20 884 pijanych kierujących. W całym poprzednim roku zatrzymano ich zaś 95 tys. Według danych z raportu Komendy Głównej Policji wynika, że najwięcej wypadków pod wpływem alkoholu następuje w lipcu (12,6%) oraz w czerwcu (11,4%).

Miesiące letnie to w ogóle najbardziej niebezpieczny czas na polskich drogach w całym roku. Ze statystyk wynika, że do jednej trzeciej wszystkich wypadków w 2023 r. doszło tylko w okresie czerwiec-sierpień. Analogicznie to w tych miesiącach było najwięcej poszkodowanych, bo aż 30% ofiar z całego roku.

Dużo ciekawsza jest jednak inna informacja. Okazuje się, że do 60% wszystkich wypadków dochodzi na prostym odcinku drogi. Na zakrętach i łukach zaledwie do 13%, a na skrzyżowaniach do 27%. Okazuje się, że to długa letnia prosta droga z jedną jezdnią i dwoma kierunkami jazdy jest najbardziej zabójcza. Z drugiej strony to nic nowego. Ze statystyk wynika, że do wypadków najczęściej dochodzi przy dobrych warunkach atmosferycznych. Najczęstszymi powodami kolizji pozostają cały czas: nieustąpienie pierwszeństwa przejazdu, niedostosowanie prędkości do warunków ruchu, nieustąpienie pierwszeństwa pieszemu na przejściu, niezachowanie bezpiecznej odległości między pojazdami i nieprawidłowe wyprzedzanie. Warto więc, by kierowcy wrócili do podstaw i po prostu przestrzegali najbardziej podstawowych zasad oraz uzbroili się w drogową życzliwość. Nasz spokój może uratować komuś życie.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 23ffd6e8db

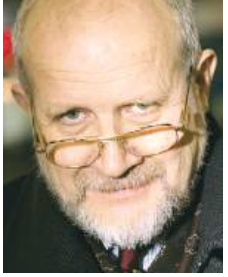

Z Galicji

Jan Widacki

Przychodzimy, odchodzimy

Wieczorem 22 lipca 2024 r. w Szczecinie zmarł Andrzej Milczanowski. Następnego dnia fakt ten odnotowały wszystkie ważniejsze serwisy informacyjne. Większości Polaków, zwłaszcza młodszego pokolenia, nazwisko to z niczym już się nie kojarzyło. Nic dziwnego. Od niemal 30 lat Andrzej Milczanowski nie był obecny ani w polityce, ani w debacie publicznej. Po odejściu w 1995 r. z funkcji ministra spraw wewnętrznych wrócił do Szczecina, gdzie najpierw prowadził wspólnie z żoną kancelarię notarialną, później, zmagając się z różnymi poważnymi chorobami, korzystał z zasłużonej emerytury. Niektórym, zwłaszcza reprezentującym starsze pokolenie, nazwisko ministra Milczanowskiego kojarzyło się najwyżej z kontrowersyjną i na dobrą sprawę do końca niewyjaśnioną aferą „Olina".

Mało kto już pamięta, jak ważną postacią początków III Rzeczypospolitej był Andrzej Milczanowski. Jak wielkie zasługi położył przy tworzeniu wywiadu i kontrwywiadu suwerennej Polski. Chodzi nie tylko o organizację tych służb, ale także, a może nawet przede wszystkim, o tworzenie ich nowej orientacji, o budowanie etosu. W ostatnich latach wielu ludzi przypisywało sobie udział w tworzeniu tych służb. Czasem tylko subiektywnie wyolbrzymiając i przeceniając swoje zasługi, co można jeszcze po ludzku zrozumieć i wybaczyć albo najwyżej skwitować uśmiechem politowania. Gorzej, gdy te zasługi przypisywano sobie, umniejszając lub zgoła ignorując osiągnięcia takich ludzi jak Milczanowski. A prawda jest taka, że to Andrzej Milczanowski był głównym twórcą, organizatorem, a później szefem Urzędu Ochrony Państwa.

Mało kto już pamięta, jak ważną postacią początków III RP był Andrzej Milczanowski.

Aby docenić to w pełni, trzeba pamiętać o historycznym kontekście jego działania. Na przełomie lat 1989/1990 w Polsce nie tylko zmienił się ustrój polityczny i gospodarczy, ale generalnie zmieniły się sojusze. Rozpadł się Układ Warszawski. Państwa traktowane dotąd jako wrogie zostawały sojusznikami. ZSRR, a po jego rozpadzie Rosja stawała się naszym potencjalnym przeciwnikiem. Mało tego, w Polsce stacjonowała jeszcze Północna Grupa Wojsk sowieckich. O ile PRL graniczyła tylko z trzema państwami, to teraz, po rozpadzie ZSRR, liczba sąsiadów się podwoiła. Na wschodzie graniczyliśmy z Rosją (obwód kaliningradzki), Litwą, Białorusią i Ukrainą. Wszystkie te państwa przechodziły gwałtowną transformację ustrojową, w tych tyglach gotowały się nacjonalizm, postkomunizm, siły demokratyczne. Nie było pewności, które w którym państwie ostatecznie zwyciężą i jakie będą ich intencje wobec Polski. Co więcej, Polska i cały region były jedną wielką niewiadomą dla mocarstw zachodnich, nic dziwnego, że ich wywiady działały tu również niezwykle aktywnie, próbując przy okazji zabezpieczyć na przyszłość swoje interesy gospodarcze, niekoniecznie zbieżne z interesami Polski. Dla polskiego wywiadu i kontrwywiadu pojawiły się zupełnie nowe zadania. A wywiad i kontrwywiad należało budować od nowa. Nie trzeba tłumaczyć, że służba wywiadowcza i kontrwywiadowcza wymaga profesjonalizmu.

Milczanowski nie miał wątpliwości, że przy budowie nowych służb musi wykorzystać funkcjonariuszy, którzy pracowali w służbach PRL. Tych, którzy przeszli weryfikację, zatrudniał bez wahania i powierzał im wysokie stanowiska. On, były więzień polityczny z czasów PRL, nie kierował się emocjami czy uprzedzeniami, ale interesem państwa. Było to zgodne z filozofią ówczesnego premiera Tadeusza Mazowieckiego, że trzeba dać wszystkim szansę służby dla dobra Rzeczypospolitej. Z tych ludzi dawnego systemu, uzupełnionych nielicznymi tylko funkcjonariuszami z nowego już naboru, Milczanowski zbudował wywiad i kontrwywiad, które szybko zdobyły uznanie nowych sojuszników, w tym Stanów Zjednoczonych. Operacja wywiadu UOP polegająca na wyprowadzeniu z Iraku funkcjonariuszy CIA przyniosła temu wywiadowi najwyższe uznanie Amerykanów, a Polsce… umorzenie części dewizowych długów. Zbudował z tych „starych" i „młodych" jeden organizm. Organizm, który dobrze służył Polsce. Milczanowski był wobec swoich podwładnych niezwykle lojalny. Bronił ich przed kolejnymi akcjami „dekomunizacyjnymi" czy „dezubekizacyjnymi", podejmowanymi przez ludzi nierozumnych i mściwych, którzy odwagi do „walki z komuną" nabrali dopiero 20 lat po upadku PRL. Funkcjonariusze, zarówno ci wywodzący się z PRL, jak i ci, którzy do UOP przyszli „z cywila", szanowali swojego szefa, „Majstra" – jak nazywali go w prywatnych rozmowach.

Teraz, zanim wiadomość o jego śmierci podały media, rozdzwoniły się telefony, rozsyłano SMS-y i mejle. To dawni przyjaciele i podwładni, ludzie różnych stopni i różnych opcji, przekazywali sobie smutną wiadomość, dowodząc tym samym, jak ważną był dla nich postacią i jak silny jest *esprit de corps,* który stworzył.

Odchodzi już pokolenie twórców III Rzeczypospolitej, a wraz z nimi pewien etos. Taka kolej rzeczy. „Przychodzimy, odchodzimy", jak śpiewano w Piwnicy pod Baranami. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 23ffd6e8db

Andrzej Sikorski

Gazety skażone PiS (część 1)

Jak PiS przejęło koncern medialny Polska Press, a partyjni nominaci wprowadzali nowe porządki? Czy spółka podniesie się po politycznej demolce i co ją czeka? Piszemy o tym w cyklu artykułów

Gdy w grudniu 2020 r. Daniel Obajtek ogłosił, że PKN Orlen ma zamiar kupić koncern prasowy Polska Press, wiele osób było w szoku, choć pogłoski o takim scenariuszu krążyły od jakiegoś czasu. Mało kto przypuszczał, że dotychczasowy właściciel – niemiecka Verlagsgruppe Passau – zdecyduje się przekazać pod kontrolę PiS jeden z ostatnich bastionów niezależnej prasy, i to w sytuacji, gdy partia rządząca systematycznie tłamsiła w Polsce wolność słowa. Alarmowały zresztą o tym organizacje broniące praw człowieka – zarówno krajowe, jak i międzynarodowe.

Informacja pod kontrolą władzy

W skład Polska Press wchodzi m.in. 20 największych dzienników regionalnych, agencja informacyjna przygotowująca codzienny serwis dla gazet regionalnych, a także niemal 150 tygodników lokalnych i mediów internetowych (23 internetowe serwisy regionalne i ponad 500 serwisów powiatowych). Łącznie media te mają 17,5 mln odbiorców. A do tego sześć drukarni: w Łodzi, Poznaniu, Sosnowcu, Bydgoszczy, Białymstoku i Koszalinie.

„Srebrami rodowymi" koncernu były dzienniki regionalne, które od wielu lat cieszyły się poczytnością: „Dziennik Polski", „Kurier Poranny", „Gazeta Współczesna", „Nowa Trybuna Opolska", „Echo Dnia", „Gazeta Codzienna Nowiny", „Gazeta Wrocławska", „Polska Metropolia Warszawska", „Express Bydgoski", „Nowości Dziennik Toruński", „Express Ilustrowany", „Kurier Lubelski", „Gazeta Pomorska", „Gazeta Lubuska", „Głos Dziennik Pomorza", „Dziennik Bałtycki", „Dziennik Łódzki", „Dziennik Zachodni", „Gazeta Krakowska", „Głos Wielkopolski".

Nikt nie wierzył w zapewnienia byłego wójta Pcimia Daniela Obajtka, że transakcja przejęcia Polska Press ma jedynie tło biznesowe, bo powszechnie znana była filozofia prezesa PiS, który nieustannie mówił o repolonizacji mediów (czyli odkupieniu ich od zagranicznych właścicieli). Poza tym wszyscy dobrze pamiętali, co Jarosław Kaczyński powiedział w 2016 r., a mianowicie, że „w Polsce za pomocą telewizji można wykreować obraz, jaki się chce, bo społeczeństwo nie analizuje tego, co tam widzi, tylko przyjmuje jako prawdziwe", że „media publiczne to »osłona medialna« władzy" oraz, że TVP to „kanał dotarcia do Polaków z własnym przekazem".

Tak więc po przejęciu władzy przez PiS i spacyfikowaniu publicznej telewizji i radia, które stały się tubami propagandowymi obozu rządowego

eprasa.pl 23ffd6e8db

W skład Polska Press wchodzi m.in. 20 największych dzienników regionalnych, agencja informacyjna i media internetowe.

Posiedzenie komisji „w sprawie okoliczności i faktycznych powodów zakupu" przez PKN Orlen spółki Polska Press prowadził Marek Suski, styczeń 2021 r.

przyszła kolej na media regionalne i lokalne. Są one głównym źródłem informacji dla elektoratu PiS – ludzi z mniejszych miast, bez wyższego wykształcenia, starszych i gorzej sytuowanych.

Kaczyński się cieszy

W styczniu 2021 r. odbyło się posiedzenie połączonych komisji sejmowych do spraw energii i klimatu, aktywów państwowych oraz kultury i środków przekazu. Temat spotkania: informacja „w sprawie okoliczności i faktycznych powodów zakupu" przez PKN Orlen spółki Polska Press i „wydawanych przez ten podmiot lub podmioty zależne i nadzorowane kilkudziesięciu tytułów prasowych oraz portali internetowych".

Posiedzenie zakończyło się karczemną awanturą. Gdy posłowie ówczesnej opozycji zadawali rzeczowe pytania, prowadzący obrady Marek Suski (PiS) wpadł w furię i krzyczał: „Czego bronicie? Demokracji? Wolności słowa? Czy dyktatury postkomunistycznej? Bronicie interesów swoich działaczy, interesów niemieckich, wpływów niemieckich!".

„To skandal. Proszę za to przeprosić. Jakim prawem pan mówi, że bronimy postkomuny i obcych interesów?", zareagowała posłanka Katarzyna Piekarska (KO).

„Ja wykonuję zadania obrony polskiego interesu. Bronicie interesów postkomuny i obcego kapitału. Kneblowanie ust, wyprzedaż polskiego majątku, oszustwa, inwigilacja, tak było za waszych rządów", bredził Suski.

Jarosław Kaczyński powiedział, że „w Polsce za pomocą telewizji można wykreować obraz, jaki się chce, bo społeczeństwo nie analizuje tego, co tam widzi, tylko przyjmuje jako prawdziwe".

Posłowie niewiele dowiedzieli się też od Daniela Obajtka (na posiedzeniu obecny był zdalnie). A pytali m.in. o transakcję, jej koszty, cel, kulisy oraz o to, jak Orlen będzie zarządzał mediami. Obajtek stwierdził jedynie, że cenzury nie będzie, bo Orlen „nie jest nastawiony na działanie polityczne".

Gdy poseł Dariusz Joński (KO) stwierdził: „Chcecie kontrolować zachowania Polaków, powiedzcie to wprost", Obajtek bardzo się zdenerwował. „Przykro mi tego słuchać, biznes ma zarobić. Stabilizujemy ceny paliw, ratujemy niektóre firmy. A wy mnie atakujecie. Co ja wam zrobiłem?! Ile w was jadu? Opamiętajcie się! Tu chodzi o biznes!", mówił wzburzony prezes Orlenu, po czym się rozłączył.

Niczego o kontrowersyjnej transakcji nie dowiedzieli się też senatorowie. Na posiedzenie połączonych senackich Komisji Kultury i Środków Przekazu oraz Praw Człowieka, Praworządności i Petycji nie pojawił się nikt z rządu, Kancelarii Prezydenta ani nawet z Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów.

W Senacie wypowiadali się zaproszeni eksperci. Prof. Tadeusz Kowalski, medioznawca z Uniwersytetu Warszawskiego, przestrzegał, że pisowska tzw. repolonizacja to przekazywanie mediów w ręce nie tylko polskie, ale przede wszystkim kontrolowane przez władze, a Orlen po przejęciu Polska Press stanie się monopolistą na rynku medialnym – będzie kontrolował zawartość i dystrybucję zarówno mediów, jak i reklam. Prof. Stanisław Jędrzejewski zwrócił natomiast uwagę, że Orlen „uzyska narzędzie wpływu na komunikację online", co jest „szalenie niebezpieczne, bo może być wykorzystane w kampanii wyborczej i da obozowi władzy ogromną przewagę nad konkurencją". W język nie gryzł się redaktor Seweryn Blumsztajn z Towarzystwa Dziennikarskiego, który stwierdził, że „Obajtek nie jest biznesmenem, jest aparatczykiem PiS, zrobi papierową wersję »Wiadomości« TVP" i „to będzie taka sama akcja propagandowa jak w mediach publicznych, bo nie ma powodu, by było inaczej".

Przejęcie Polska Press przez PKN Orlen ucieszyło za to bardzo Jarosława Kaczyńskiego. „Uważam, że

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

eprasa.pl 23ffd6e8db

to jedna z najlepszych wiadomości, którą usłyszałem w ciągu ostatnich lat. To pierwszy krok w drugą stronę. My pozbawiliśmy się w wielkiej mierze mediów na rzecz czynników pozapolskich, głównie niemieckich, z ogromną stratą dla naszej suwerenności. Już nie jako państwo, ale jako naród i z ogromnymi stratami w innych dziedzinach", powiedział prezes PiS.

Kapitulacja Marcina Wiącka

W lutym 2021 r. Tomasz Chróstny, pisowski prezes UOKiK, wydał zgodę na przejęcie spółki Polska Press, a 1 marca PKN Orlen podpisał umowę kupna. Podobno transakcja opiewała na kwotę 210 mln zł.

Jednak Rzecznik Praw Obywatelskich, którym był wówczas Adam Bodnar, zaskarżył do sądu zgodę UOKiK na kupno Polska Press przez PKN Orlen. Wniosek o wstrzymanie wykonania decyzji (w tym zakaz wykonywania przez Orlen praw udziałowych w Polska Press) uzasadnił tym, „że spółka kontrolowana przez Skarb Państwa – a za jej pośrednictwem politycy sprawujący władzę – mogą uzyskać łatwy wpływ na całokształt działalności poszczególnych redakcji. W ten sposób mogą przekształcić wolną prasę, której cechą immanentną jest rzetelny i oparty na faktach krytycyzm wobec władzy publicznej i osób sprawujących funkcje publiczne, w zależne od tej władzy biuletyny informacyjne i propagandowe". RPO zarzucił prezesowi UOKiK naruszenie przepisów m.in. ustawy o ochronie konkurencji i konsumentów i Konstytucji RP.

Rzecznik Praw Obywatelskich, którym był wówczas Adam Bodnar, zaskarżył do sądu zgodę UOKiK na kupno Polska Press przez PKN Orlen.

W kwietniu 2021 r. Sąd Okręgowy w Warszawie przychylił się do wniosku RPO i wstrzymał zgodę prezesa UOKiK na przejęcie przez PKN Orlen spółki Polska Press. Zdaniem sądu „nieuwzględnienie (…) wniosku RPO mogłoby doprowadzić do wykonania przez PKN Orlen decyzji nieostatecznej, bo zaskarżonej przez uprawniony do tego organ, (…) która w razie jej wykonania potencjalnie może wywrzeć niekorzystne skutki dla konkurencji".

Niezaskarżalna decyzja sądu nie zrobiła wrażenia na Danielu Obajtku. Protegowany prezesa PiS stwierdził, że „nabycie udziałów Polska Press dokonało się skutecznie 1 marca 2021 r., czyli przed wydaniem przez sąd postanowienia", w związku z czym jest ono bezprzedmiotowe i „nie ma wpływu na nasze działania, ani skuteczność nabycia tego podmiotu" oraz, że „postanowienie sądu nie ogranicza również PKN Orlen w wykonywaniu uprawnień właścicielskich z udziałów w Polska Press".

Wniosek Adama Bodnara o zastopowanie przejęcia Polska Press przeleżał w sądzie półtora roku. W sierpniu 2022 r. sędzia Witold Rękosiewicz nie uwzględnił argumentów RPO o konieczności ochrony wolności prasy, pluralizmu i dostępu do wolnych mediów, stwierdzając zachowawczo, że to rynek powinien zdecydować, czy konsumenci nadal będą chcieli sięgać po tytuły należące do Polska Press. Jednak następca Adama Bodnara na stanowisku RPO Marcin Wiącek, mimo apeli organizacji pozarządowych, nie wniósł apelacji, choć Helsińska Fundacja Praw Człowieka i Sieć Obywatelska Watchdog Polska alarmowały, że „przedstawiona w wyroku zawężająca wykładnia zakresu prawa konkurencji mogłaby nieść daleko idące niekorzystne skutki dla ochrony konsumentów oraz ochrony wolności mediów, prawa do informacji i ochrony pluralizmu medialnego". W wydanym oświadczeniu prof. Wiącek poinformował, że „przyjął ze zrozumieniem przedstawioną przez sąd argumentację prawną i postanowił nie wnosić apelacji".

Andrzej Sikorski

NAGRODA SAMORZĄDOWA
im. NORBERTA BARLICKIEGO

Zarząd Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska informuje, że zainaugurowana została edycja Nagrody Samorządowej im. Norberta Barlickiego w roku 2024.

Nagroda jest przyznawana osobom fizycznym i prawnym związanym z samorządem terytorialnym za działania na rzecz wspólnot samorządowych w Polsce.

Osoby fizyczne mogą otrzymać nagrodę w kategoriach:
- Samorząd miejski,
- Samorząd powiatowy,
- Samorząd województwa,
- Całokształt działań na rzecz samorządu terytorialnego.

Osoby prawne mogą otrzymać nagrodę w kategoriach:
- Jednostka samorządu terytorialnego,
- Organizacja pozarządowa,
- Firma przyjazna samorządowi terytorialnemu.

Zgłoszenia kandydatur do pierwszego etapu selekcji laureatów nagrody można składać do dnia 30 sierpnia 2024 r., pocztą, na adres: Zarząd Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska, ul. Czackiego 7/9, II piętro, 00-043 WARSZAWA lub elektronicznie na adres: zarzad@stowarzyszeniero.pl

Nagroda Samorządowa im. Norberta Barlickiego w poszczególnych kategoriach zostanie przyznana przez Kapitułę Nagrody pod przewodnictwem Prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Uroczystość wręczenia nagród odbędzie się na przełomie października i listopada 2024 r.

Więcej informacji na stronie: www.stowarzyszeniero.pl.

Stowarzyszenie Rzeczpospolita Obywatelska

Jan K. Czubak, sekretarz Zarządu Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska

eprasa.pl 23ffd6e8db

Nawiasem mówiąc

Stanisław Filipowicz

Obecność tajemnicy

Felietonistyka ma bardzo głębokie korzenie. Być może niektóre rysunki na ścianach jaskiń były felietonami. Kto wie, co jeszcze odkryją nasi uczeni. Najwybitniejszym felietonistą antyku (taka opinia panuje wśród znawców) był Lukian. Dzięki swoim miniaturom zyskał on miano wielkiego (i bezlitosnego) humorysty. Lukian pisywał też dialogi, najrozmaitsze. A więc chociażby „Rozmowy bogów", obok nich zaś „Rozmowy heter". Możemy podziwiać głębię autorskiego zaangażowania.

Na przykład taka scenka: na zgromadzeniu bogów jeden z uczestników, zwracając się do Zeusa, powiada: „Bardzo nam tajemnic potrzeba, żeby wiedzieć, że bogowie to bogowie, a pawiany to pawiany!". Intrygujące – tajemnica jako gwarancja porządku istnienia. Przeczy to upodobaniom naszych czasów nastawionych na wykarczowanie tajemnic.

Jedną z największych tajemnic wszechświata jest z pewnością wiecznotrwałość ludzkiej głupoty. Jej obecność wyczuwamy na każdym kroku, wszyscy nawzajem sobie ją przypisują. Popatrzmy na polityków, popatrzmy na rywalizujące koterie wyborców – nie mają dla siebie litości. O rywalach myślą i mówią zawsze w ten sam sposób: „Boże, jacy oni są głupi". Szeroki ogół podąża tą samą ścieżką. Jeśli uwzględnimy wszystkie opinie, nadając im tę samą wagę, będziemy musieli stwierdzić: świat składa się wyłącznie z głupców. Żyjemy więc sam na sam z własną głupotą. Rozpacz?

Nasi politycy nie rozumieją własnych czasów.

Niekoniecznie, pocieszenia poszukajmy u autora „Pochwały głupoty", Erazma z Rotterdamu, który tłumaczy: tylko „bogini Głupota" – urodzona na Wyspach Szczęśliwych – potrafi obdarzyć nas szczęściem. Głupotę trzeba więc docenić, może właśnie bunt wobec rozumu jest naszym przeznaczeniem. Słuchając dzisiejszych polityków, trudno tej myśli się oprzeć. Na przykład prezydent RP. Jako zaangażowany patriota, który nie traci żadnej okazji, by dokuczyć Rosji, przed wylotem do Szwajcarii na czerwcową konferencję pokojową powiada (streszczam): „Rosjanie nie radzą sobie z energią atomową, pamiętamy przecież Czarnobyl". A jakże, pamiętamy, tyle że Czarnobyl leży 100 km na północ od Kijowa, na terytorium Ukrainy. A zatem Ukraińcy to jednak Rosjanie? Ma tak zostać? A gdyby tak nasi politycy popatrzyli czasami na mapę?

Mapa to nie wszystko. Nasi politycy nie rozumieją własnych czasów. Mówię to nie bez powodu. Rodzime politykowanie przebiega w aurze końca historii. Obalono „komunę" – objawiła się święta moc Zachodu. Nastąpił kres czasu – politykę zastąpił sakrament utożsamienia. O czym tu gadać, u bram niebios lud wierny niech klęka i skrzydła anielskie gładzi. Kto przeciw, niech go ogień spali. Jak zwykle zamiast trzeźwej kalkulacji, romantyczna egzaltacja.

Dla równowagi nieco inne spojrzenie. Niemiecki myśliciel Theodor Lessing powiada, że przez stulecia „zakony i sekty europejskie, a przede wszystkim zakon jezuitów, pracowały nad wyhodowaniem ludzkiej wolności woli, która by sama sobą kierowała". Udało się, Zachód zatriumfował. U Lessinga wygląda to tak: „Za pomocą prochu strzelniczego i sztuki drukarskiej, tych szatańskich wynalazków ducha Zachodu, depcze ON prastare objawy strachu i czci, obala jodły Norwegii, równie jak dęby Wirginii, i robi z nich papier zadrukowany". No tak, niszczycielska moc ludzkiej woli, dobro pomieszane ze złem. Jednym słowem – kapitalizm.

Dziś do „wyrębu" nie są już potrzebne topory, ale nie ma zmiłuj się. Ostatnio dostaliśmy kolejną nauczkę. Czy miłość do Zachodu (ojczyzny cyfrowych gigantów) pokona rozczarowania? Giganci, wiadomo, bezlitośnie wykorzystują słabszych, stawiając, zgodnie z logiką kapitalizmu, własny zysk na pierwszym miejscu. Cyfrowe molochy wydeptują więc teren. Kolonizują otoczenie, rozpychając się w przestrzeni przekazu. Co z naszymi „jodłami"? Pójdą pod topór? Nasi politycy nie spisali się. Tak jakby nie rozumieli, że polskie media są dźwignią polskiej demokracji. Pojawił się rozpaczliwy apel: „Politycy! Nie zabijajcie polskich mediów!". W ślad za nim zapewnienia rządzących, że Boże broń. No cóż, na razie czekamy.

Często mam wrażenie, że tajemnicę polskiej polityki stawia nam przed oczami turecki sweter. Wyczynia on nie lada sztuczki. Potrafi ukryć się pod garniturem, udawać, że go nie ma, a tymczasem jest i trwa na posterunku. Towarzyszy nam w trudach rządzenia, jego deseń koresponduje z intelektualnym deseniem polskiej polityki. Jej meandry – powiem otwarcie – kojarzą mi się z wykwintem tureckiego swetra. Tak czy inaczej, stoimy w obliczu tajemnicy. Czy jest ona równie doniosła jak ta, której dotknęło pióro Lukiana? Nie wiem. Jedno jest pewne, bogowie nie noszą tureckich swetrów.

W ciekawych czasach żyjemy. W amerykańskim mieście Seattle postawiono pomnik Lenina. Pilnujmy naszej ławeczki w ogrodzie końca historii, bo świat staje na głowie. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 23ffd6e8db

POWSTANIE WARSZAWSKIE – prawdziwy koniec II Rzeczypospolitej

Warszawa rzuciła się do walki w momencie, gdy było już oczywiste, że III Rzesza wojnę przegra. Powstanie nie mogło istotnie przyśpieszyć klęski niemieckiej

Paweł Siergiejczyk

Stefan Kisielewski w książce „Abecadło Kisiela" postać gen. Tadeusza Pełczyńskiego opisał tak: „Właściwy dowódca i inicjator powstania, bo Bór tam wiele nie dowodził. Poznałem go dopiero w Londynie w 1957. Zadzwonił do mnie, że chce się spotkać. Spotkaliśmy się, a on był w ogóle oficerem z »dwójki«, z wywiadu. I zaczął mnie tak wywiadowczo traktować, bo mówi: »Czy pan służył w wojsku?«. Ja mówię: »Służyłem«. »A w którym pułku?«. »W takim i takim«. »Hm, a kto to jest Turowicz?«. Ja mówię: »No, redaktor«. »A czy on służył w wojsku?«. Ja mówię: »O ile wiem, to nie«. »A dlaczego nie?«. »Nie wiem, dlaczego«. »A Stomma służył w wojsku?«. W końcu mnie to zdenerwowało i mówię: »Panie generale, a teraz ja panu chcę zadać pytanie«. A on: »Proszę bardzo«. Więc ja: »Wie pan, fortepian, smoking, biblioteka po ojcu…«. On mówi: »Co?«. »Przepadła mi w Powstaniu i chcę wiedzieć dlaczego«. On się wściekł wtedy: »Bo pan jest demagog« itd. Rozstaliśmy się niedobrze. Był to porządny człowiek, ale Warszawę zburzył jednak, co tu mówić".

Stefan Kisielewski: „Powstanie Warszawskie (…) przyniosło szkodę podstawowemu aksjomatowi patriotyzmu, jakim jest istnienie narodu ponad wszystko".

Bardzo wymowne było to spotkanie dwóch wybitnych Polaków: jednego z najważniejszych generałów w naszej XX-wiecznej historii oraz znakomitego kompozytora i pisarza, i publicysty zarazem. Dzieliła ich niemała różnica wieku – Kisiel był całe 19 lat młodszy od Pełczyńskiego – ale łączyła przynależność do elit II Rzeczypospolitej. Pełczyński był legionistą, a potem zawodowym oficerem, Kisielewski pochodził z rodziny młodopolskich literatów związanych z niepodległościowym nurtem PPS, a jako młody człowiek w latach 30. publikował na łamach prosanacyjnych czasopism. Dla ludzi takich jak oni wrzesień 1939 r. był katastrofą nieporównanie większą niż dla większości mieszkańców Polski, bo nie tylko stracili źródło utrzymania i wysoką pozycję społeczną, ale też musieli mieć poczucie, że największe osiągnięcie ich życia – niepodległe państwo polskie – okazało się nietrwałe i nie było pewności, że kiedykolwiek się odrodzi.

Po powstaniu warszawskim, w którym gen. Pełczyński pełnił funkcję szefa Sztabu Komendy Głównej Armii Krajowej i zastępcy dowódcy AK, Kisielewski zaś pracował w powstańczym radiu, ich drogi się rozeszły. Obaj zostali ranni, ale przeżyli, tyle że generał trafił do niemieckiej niewoli, a potem do Londynu, a kompozytor został wywieziony z Warszawy w transporcie ludności cywilnej, z którego zbiegł, by się przedostać do Krakowa. Gwoli sprawiedliwości dodajmy, że co prawda Kisiel utracił w powstańczej stolicy mieszkanie wraz z fortepianem i większością dorobku muzycznego, ale Pełczyńscy (Tadeusz i jego żona Wanda, również zasłużona działaczka niepodległościowa z czasów I wojny światowej, potem redaktorka pism kobiecych i posłanka na Sejm II RP, po wojnie w Londynie) stracili jedynego syna Krzysztofa, 20-letniego studenta architektury na tajnej Politechnice Warszawskiej, żołnierza pułku „Baszta", który zginął w 17. dniu powstania.

Odwaga czy męstwo?

A jednak warszawski zryw poróżnił takich ludzi jak gen. Pełczyński i Stefan Kisielewski. Ten drugi należał po wojnie do najostrzejszych krytyków decyzji o rozpoczęciu walki 1 sierpnia 1944 r., czemu dawał wyraz w swojej publicystyce. Już we wrześniu 1945 r. pisał na łamach „Tygodnika Powszechnego":

„Powstanie Warszawskie nie było aktem dojrzałej męskości: było aktem zniecierpliwienia, młodzieńczej niepowściągliwości. I dlatego przyniosło szkodę podstawowemu aksjomatowi patriotyzmu, jakim jest istnienie narodu ponad wszystko. Walka o honor kosztem 30% polskiego potencjału kulturalnego i gospodarczego była poniekąd aktem psychicznego egoizmu, krótkowzroczności, nieopanowania i – nieprzemyślenia.

Naród naprawdę męski nie walczy do ostatniej kropli krwi. Prawdziwy patriotyzm to patriotyzm obciążony

eprasa.pl 23ffd6e8db

Od lewej: gen. Tadeusz Pełczyński, gen. Tadeusz Bór-Komorowski, minister Adam Pragier i gen. Antoni Chruściel na konferencji prasowej w Londynie, 19 maja 1945 r.

instynktem życia. Instynkt życia nakazujący cierpliwość, ostrożność, powściągliwość, subtelność taktyczną w dążeniu do celu zasadniczego posiadają oprócz państw wielkich i takie narody, jak: Czesi, Szwedzi, Szwajcarzy. My natomiast mamy przedziwny instynkt życia à rebours, który w praktyce staje się instynktem śmierci. Polska zawsze jest żebrakiem i płaczką Europy, sprawa polska zawsze jest kłopotliwa, dwuznaczna, siejąca ferment, niecierpliwiąca. Historia Warszawy nie ma precedensów w dziejach Europy. Dlaczego? Jeśli odrzucimy koncepcje mesjanistyczne, że Polska cierpi za wszystkich i jest upostaciowanym »wyrzutem sumienia«, to pozostaje jedna tylko odpowiedź – obok walorów, jak: odwaga, poświęcenie, bohaterstwo, brak nam – męskiego, opanowanego realizmu".

Ale nie jeden Kisiel tak uważał. Niedawny żołnierz Armii Krajowej na Wileńszczyźnie, świetny publicysta historyczny Paweł Jasienica, również w „Tygodniku Powszechnym" napisał w 1949 r.: „Jakżeby inaczej wyglądało dziś życie w Polsce, gdyby nie warszawskie cmentarzysko. Nie ma takiej dziedziny życia narodowego, która by tego ciężaru nie czuła. Powstanie było wymierzone militarnie przeciwko Niemcom, politycznie przeciw Sowietom, demonstracyjnie przeciw Anglosasom, a faktycznie przeciw Polsce".

Warto zastanowić się szczególnie nad tym ostatnim zdaniem. Rzeczywiście, militarnie powstanie było walką z Niemcami. Ale każdy, kto głębiej się zastanowi nad tym stwierdzeniem, poczuje w nim pewien fałsz. Oto bowiem Warszawa, która przez pięć lat znosiła ciężar okupacji niemieckiej – szczególnie dotkliwej i krwawej właśnie w byłej stolicy II RP – rzuciła się do walki w momencie, gdy było już oczywiste, że III Rzesza wojnę przegra. Walka kilkudziesięciu tysięcy polskich cywilów (bo AK była przecież w ogromnej większości organizacją cywilną udającą wojsko, w dodatku najczęściej nieuzbrojone) na terenie jednego miasta nie mogła w istotny sposób klęski niemieckiej przyśpieszyć, klęska ta bowiem dokonywała się za sprawą wielomilionowych armii na wschodzie i zachodzie Europy.

Paweł Jasienica: „Jakżeby inaczej wyglądało dziś życie w Polsce, gdyby nie warszawskie cmentarzysko.

Jednym z argumentów podnoszonych w obronie decyzji o wybuchu powstania w 1944 r. jest jego rzekoma nieuchronność, gdyż po pięciu latach okupacji mieszkańcy Warszawy chcieli „odreagować" niemiecki terror i zbrodnie. Oczywiście taki mechanizm psychologicznie jest zrozumiały, szczególnie w przypadku ludzi młodych, którym hitlerowcy zmarnowali najlepsze lata życia. Mówimy jednak o decyzjach polityczno-wojskowych, a te powinny się opierać na racjonalnych kalkulacjach oraz chłodnym rachunku zysków i strat. Ukazywanie dziś powstania jako naturalnego odruchu zemsty warszawiaków na zbrodniczej administracji okupacyjnej jest zatem niczym innym jak próbą zrzucenia odpowiedzialności z naczelnego dowództwa AK. Powstanie zawsze jest powstaniem, czyli zaplanowaną akcją zbrojną podyktowaną przesłankami politycznymi, a nie spontanicznym rzucaniem się na prześladowców – i to rozróżnienie warto w myśleniu o polskiej historii zachować. Zwłaszcza w czasach, gdy polityka historyczna IPN usilnie nazywa „powstaniami" protesty społeczne w Poznaniu w czerwcu 1956 r. czy na Wybrzeżu w grudniu 1970 r., a nawet próbuje określać działania powojennego podziemia mianem „powstania antysowieckiego" lub „antykomunistycznego".

Pozornie antyniemieckie

Powstanie warszawskie miało jedynie pozornie antyniemiecki charakter nie tylko dlatego, że w żaden sposób nie mogło zaszkodzić broniącemu się już wówczas na dwa fronty państwu Hitlera. Jego antyniemieckość nie mogła być autentyczna w warunkach polskich, gdzie elity wojskowe i polityczne

eprasa.pl 23ffd6e8db

od kilku pokoleń były ukształtowane w tradycji walki zbrojnej z Rosją. Natomiast walka zbrojna z Niemcami – a właściwie jedynie z Prusakami – stanowiła i do dziś stanowi margines polskiej tradycji. Dotyczy ona w zasadzie tylko Wielkopolski, gdzie czterokrotnie dochodziło do powstań antypruskich, zresztą bardzo krótkotrwałych i o ograniczonym zasięgu: w latach 1794 (jako część insurekcji kościuszkowskiej), w 1806 r. (jako część ofensywy napoleońskiej przeciwko Prusom), w 1848 (jako jeden z momentów europejskiej Wiosny Ludów) i wreszcie na przełomie lat 1918/1919, gdy przegrana Niemiec w I wojnie światowej umożliwiła wyzwolenie Wielkopolski spod władzy niemieckiej. Niedługo potem doszło do trzech powstań śląskich (w latach 1919-1921), równie krótkotrwałych i lokalnych, stanowiących zresztą tylko element polityczno-dyplomatycznej rozgrywki o wschodnie ziemie II Rzeszy, dla Polski zakończonej raczej pomyślnie.

Ta tradycja wystąpień antyniemieckich – zwykle dobrze skalkulowanych, solidnie zorganizowanych i wykorzystujących kryzysowe położenie władz niemieckich w danej chwili – nie istniała w Warszawie. Decyzji o „godzinie W" nie podejmowali weterani powstania wielkopolskiego ani powstań śląskich, lecz ludzie ukształtowani w tradycji wystąpień antyrosyjskich. Tradycji, którą w oryginalny sposób przeanalizował w wydanej w 1939 r. książce „Dzieje bez dziejów" Jan Stachniuk, ideolog neopogańskiej grupy Zadruga:

„Przyjąć możemy jako pewnik, iż pierwszym buntem polskim przeciw nędzy istnienia była Konfederacja Barska. Szereg następnych eksplozji następuje regularnie co generację. I tak: r. 1768-1772 Konfederacja Barska, od r. 1794 Kościuszko i Legiony Dąbrowskiego, r. 1830-31 Powstanie Listopadowe, r. 1863-64 Powstanie Styczniowe, r. 1905 Akcja bojowa P.P.S., Piłsudski. (…) Ostatnia eksplozja miała miejsce ok. 1905 r. Przedłużyła się ona aż do Wojny Światowej, wciągając w swoją orbitę szereg dalszych młodych roczników. Kolejna więc eksplozja nastąpić powinna z pewnym opóźnieniem. Nastąpić to powinno ok. 1945 r.".

Stachniuk, piszący swoją książkę jeszcze przed wybuchem wojny, okazał się zbyt wielkim optymistą. Trafnie przewidując kolejną akcję powstańczą ok. 1945 r. – co wynikało z jego teorii, że każde pokolenie Polaków musi wyładować swoją energię w takiej walce – miał nadzieję, że tym razem przyniesie ona skutki pozytywne dla narodu. Bo jak każdy niebezkrytyczny wobec polskiej historii autor nie miał wątpliwości co do szkodliwych skutków tradycji powstańczej. Wszak konfederacja barska skutkowała pierwszym rozbiorem, powstanie kościuszkowskie – ostatecznym upadkiem państwa, powstanie listopadowe – odebraniem autonomii Królestwu Polskiemu, powstanie styczniowe zaś – największą falą rusyfikacji ziem polskich (dodajmy do tego każdorazowe represje wobec uczestników powstania i ich rodzin oraz masową emigrację obejmującą głównie polskie elity). Jedynie rewolucja 1905 r. przyniosła znaczącą ulgę w polityce rosyjskiej wobec Polaków, trudno jednak nie zauważyć, że niewielka była w tym zasługa niewątpliwie bohaterskich bojowców PPS, bo decydującą rolę odegrały wydarzenia rewolucyjne w samej Rosji, które zmusiły cesarza Mikołaja II do pewnej liberalizacji systemu autokratycznego. Zdawał sobie z tego sprawę sam Józef Piłsudski, szybko kończąc akcję bojową na ziemiach zaboru rosyjskiego i przenosząc się do Galicji. Tu przy wsparciu władz austriackich i polskich polityków mógł tworzyć kadry przyszłego wojska na potrzeby nadciągającej wojny europejskiej.

O niczym takim nie mogło być mowy latem 1944 r. w Warszawie. Wówczas rolę Piłsudskiego próbowali odegrać gen. Anders u boku Brytyjczyków i gen. Berling u boku Rosjan. Natomiast generałowie Komorowski, Pełczyński, Okulicki i Chruściel weszli w buty inicjatorów powstań z lat 1830 i 1863, którzy nie tylko nie potrafili właściwie skalkulować stosunku sił własnych do sił przeciwnika, lecz przede wszystkim nonszalancko potraktowali sytuację międzynarodową w momencie wybuchu akcji zbrojnej. Do Warszawy zbliżała się bowiem armia Związku Radzieckiego, państwa, które nie uznawało za sojusznika rządu RP w Londynie ani jego krajowych przedstawicielstw, łącznie z Armią Krajową. Wybuch powstania był więc – jak słusznie stwierdził Paweł Jasienica – politycznie skierowany przeciwko Moskwie, która wyzwolenie Warszawy traktowała jako przypieczętowanie ustalonego na konferencji w Teheranie włączenia przyszłej Polski do radzieckiej strefy wpływów. Próba samodzielnego uwolnienia się Polaków spod okupacji niemieckiej musiała też zostać potraktowana przez Stalina ambicjonalnie: wszak była to pierwsza europejska stolica, której wyzwoleniem mógłby się pochwalić, co miało znaczenie w sytuacji, gdy Rzym i Paryż były wyzwalane przez Anglosasów.

„Walka o honor kosztem 30% polskiego potencjału kulturalnego i gospodarczego była aktem psychicznego egoizmu, krótkowzroczności, nieopanowania i – nieprzemyślenia".

Wroga demonstracja

Samowolna decyzja dowództwa AK o wybuchu walki w Warszawie była więc faktycznie wrogą demonstracją wobec ZSRR, czyli głównego sojusznika Wielkiej Brytanii i USA. Co więcej, powstanie stawiało całą Wielką Trójkę w niewygodnym położeniu, gdyż oznaczało próbę wymuszenia wspólnej akcji polskiego podziemia i Armii Czerwonej, przy zewnętrznej pomocy aliantów zachodnich, bez wcześniejszych uzgodnień politycznych i strategicznych. Taka akcja nie mogła się udać zarówno ze względu na brak możliwości realnej pomocy powstaniu ze strony Anglosasów, jak i dlatego, że Stalin nie zamierzał traktować władz polskich w Londynie jak partnera, AK zaś jak sojusznika. Miał już bowiem własne plany wobec Polski.

FOT. NAC, DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 23ffd6e8db

Już wkrótce dwa tomy nowej, poszerzonej ZAKŁAMANEJ HISTORII POWSTANIA

- Kto odpowiada za śmierć 200 tysięcy cywilów
- Gen. Władysław Anders – Powstanie to zbrodnia
- Raporty oficerów AK – To się skończy katastrofą
- Obłęd i głód. Nieznany „Dziennik powstańczy"

I tu dochodzimy do ostatniej części sławnego zdania Jasienicy, że powstanie faktycznie było skierowane przeciwko Polsce. Tym zdaniem można by – jak już wspomnieliśmy – określić mimowolne skutki niemal wszystkich antyrosyjskich powstań w naszej przeszłości. Katastrofę Warszawy w 1944 r. da się porównać z katastrofami kolejnych powstań w poprzednich stuleciach, szczególnie powstania styczniowego, po którym straty ludzkie i materialne były największe. Ich symbolem może być utrwalony w poemacie Norwida fortepian Szopena, wyrzucony na bruk Krakowskiego Przedmieścia przez żołnierzy rosyjskich z pałacu Zamoyskich we wrześniu 1863 r., co stanowiło odwet za nieudany zamach bombowy na rosyjskiego namiestnika, przeprowadzony właśnie z okien tego pałacu. Symbolem katastrofy Warszawy z 1944 r. może zaś być fortepian Kisiela, wypominany przezeń po latach gen. Pełczyńskiemu. Tym bardziej że takich fortepianów, bibliotek i mieszkań, które nie przetrwały powstania, były tysiące.

Tragedia warszawskiego zrywu, któremu Stalin nie miał żadnego powodu pomagać, niewątpliwie ułatwiła realizację zamierzeń sowieckiego dyktatora. Zamiast wyzwalać Warszawę wspólnie z polskim podziemiem, zajął w styczniu 1945 r. gruzy miasta, w którym nie było już „londyńskich Polaków" ani w ogóle żadnych Polaków, którzy mogliby stawić opór nowemu porządkowi w Europie, ustalonemu w Teheranie (a niedługo potem w Jałcie). Powstanie warszawskie ostatecznie położyło kres II Rzeczypospolitej i dominacji w polskim życiu elit, które to państwo stworzyły i kierowały nim przez poprzednie ćwierćwiecze (po 1939 r. na emigracji i w podziemiu).

Czy było to „zbawczym zabiegiem chirurgicznym", o którym marzył w latach 30. Jan Stachniuk? Z pewnością nie tak wyobrażał on sobie wielki przełom, na jaki przed wybuchem wojny i w jej trakcie liczyło wielu przedstawicieli polskiej inteligencji o różnych przekonaniach. Ten przełom jednak nadszedł – nie z Warszawy ani z Londynu, lecz z Lublina, gdzie 10 dni przed wybuchem powstania utworzono Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego i ujawniła się Krajowa Rada Narodowa, czyli organy władzy nowej Polski, zaplanowanej przez Stalina. Ten fakt z pewnością był jednym z głównych powodów podjęcia decyzji o wybuchu walki w Warszawie. W ten sposób dowódcy AK mieli zamiar bronić prawomocności II RP. W rzeczywistości przyśpieszyli jej koniec i przybliżyli nadejście Polski Ludowej.

Trudno się dziwić, że żaden z tych akowskich generałów – nie tylko Pełczyński – nie widział dla siebie po wojnie miejsca nad Wisłą i Odrą. Wybrali emigrację, tak jak duża część elit, zwłaszcza politycznych i wojskowych. Ale przecież nie wszyscy. Stefan Kisielewski pozostał w nowej Polsce. Tu miał czytelników i słuchaczy, tu szybko odnalazł środowisko ludzi takich jak on – ocalałych rozbitków z Polski międzywojennej, o przekonaniach jak najdalszych od komunizmu, którzy już w marcu 1945 r. zaczęli wydawać w wyzwolonym Krakowie „Tygodnik Powszechny". Było to możliwe za zgodą nowych władz i pod patronatem metropolity krakowskiego abp. Sapiehy, który nie opuścił wiernych ani w latach wojny, ani po jej zakończeniu.

A gdy w 1956 r. definitywnie skończył się w Polsce system stalinowski (czyli jedyna próba realizacji komunistycznej utopii nad Wisłą), ten sam Stefan Kisielewski znalazł się w gronie bezpartyjnych posłów na Sejm PRL reprezentujących katolickie koło Znak. Koło, w którym przez dwie kadencje zasiadał obok Stanisława Stommy, Jerzego Zawieyskiego, Konstantego Łubieńskiego czy Tadeusza Mazowieckiego, który po latach miał zostać pierwszym premierem III RP. Sam Kisiel dożył początku lat 90. i choć przez cały okres PRL pozostawał krytycznym obserwatorem socjalistycznej rzeczywistości, nigdy nie zmienił zdania na temat bezsensu powstania warszawskiego i sensu narodzin powojennej Polski w nowych granicach.

Paweł Siergiejczyk

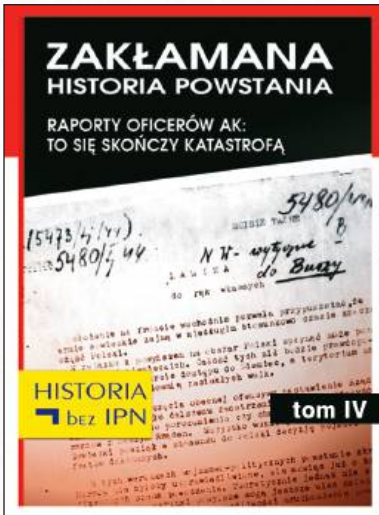

DEMASKUJEMY KŁAMSTWA O POWSTANIU

Meldunki, rozkazy i relacje dokumentujące, że powstanie od początku było skazane na klęskę. Wiedzieli o tym dowódcy AK. Raporty i memoriały oficerów brzmią jak akty oskarżenia.

Pięć tomów Zakłamanej Historii Powstania dostępnych w formie e-booka

Zamów książkę na **sklep.tygodnikprzeglad.pl**
lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl 23ffd6e8db

Ciąg dalszy z s. 7

Dlaczego tragedia powstania warszawskiego została przerobiona na radosne święto?

PROF. ADAM LESZCZYŃSKI,
historyk, Fundacja im. Gabriela Narutowicza

Tragedia została przerobiona na radosne święto, dlatego że każda wspólnota potrzebuje wydarzeń jednoczących i radosnych. Powstanie warszawskie uczyniono takim wydarzeniem świadomie: autorom tego projektu (zainicjowanego w pierwszych latach XXI w.) chodziło o symbol oporu Polaków wobec dwóch okupantów – niemieckiego i sowieckiego. Oporu heroicznego i prowadzonego z bronią w ręku. Pamięć historyczna zawsze jest kreacją, a nie odzwierciedleniem przeszłości. Warto o tym pamiętać.

WALDEMAR WITKOWSKI,
senator, przewodniczący Unii Pracy

Oczywiście nie ma wątpliwości co do tego, że powstanie warszawskie było ważne ze względów patriotycznych. Uważam jednak, że ważniejsze są względy społeczne i militarne. I patrząc na tysiące pochłoniętych przez powstanie warszawskie istnień niewinnych ludzi, było ono klęską. Można uznać, że winę za to ponoszą elity, które powstanie wywołały, nie mając do końca rozeznania, jak to wszystko się zakończy. „Chwała i cześć zwyciężonym" – można krótko podsumować. Ze względu na ilość krwi przelanej w nim przez prawdziwych patriotów powstanie warszawskie potrzebuje refleksji, a nie zabawy. Uważam, że jeśli świętować, to powstania zwycięskie, np. powstanie wielkopolskie, którego konsekwencją było to, że część ziem zachodnich dzięki gen. Józefowi Hallerowi i pomocy Francuzów została na powrót wcielona do Polski.

MIKOŁAJ ŁUCZNIEWSKI,
autor książki „Berlingowcy w powstaniu warszawskim. Walki na Pradze i przyczółku czerniakowskim we wrześniu 1944 roku"

Całe życie spędziłem w Warszawie, od najmłodszych lat słuchając wspomnień o wojnie i powstaniu, którymi raczyła mnie babcia. Również całe życie miałem okazję przyglądać się uroczystościom organizowanym 1 sierpnia w Warszawie. I nie wiem, czy to opowieści rodzinne o powstaniu, czy też świadomość ofiary, jaką złożył lud Warszawy w ciągu 63 dni, nie pozwoliły mi nigdy dostrzec, by obchody były „radosnym świętem". Odkąd pamiętam, zatrzymanie się o godzinie 17, gdy wyją syreny, było obowiązkiem warszawiaka, który miał wówczas oddać hołd tym ok. 200 tys. ofiar śmiertelnych. Gdzie tu miała być radość? Nie wiem. Chyba że „radosnym świętem" nazywamy formę upamiętnienia tegoż wydarzenia, która zmieniła się między 60. a 70. rocznicą powstania. Bo nastąpiła zmiana – oprócz apeli i składania wieńców pod pomnikami doszło do zapalania rac na rondzie Dmowskiego w godzinę „W" przez kibiców. Czy to czyni święto radosnym? Nie wiem. A może jedyną radość znajdziemy w fakcie, że ktoś chce upamiętnić tamto wydarzenie?

PIOTR CISZEWSKI,
Stowarzyszenie Historia Czerwona

Powstanie warszawskie stało się elementem polityki historycznej opanowanej przez żywioły bogoojczyźniane i hurapatriotyczne. W związku z tym promują one martyrologię, a jednocześnie najgorsze możliwe formy świętowania typu pikniki powstańcze, zabawy dla dzieci i oswajanie najmłodszych z bronią, jak również przedstawianie śmierci wielu tysięcy osób jako zabawy. Ma to również związek z tym, że z biegiem czasu żyje coraz mniej weteranów powstania warszawskiego. Konsekwencją tego jest fakt, że obchodami zajmują się różnego rodzaju instytucje, samorządy czy tzw. organizacje pozarządowe, którym nie zależy już na przedstawianiu historii, ale na robieniu bieżącej polityki. Od weteranów, póki żyli, można było usłyszeć mrożące krew w żyłach relacje i świadectwa o tym, że wojna i powstanie nie były wcale dobrą zabawą, tak jak się je przedstawia.

Warto zaznaczyć, że obecnie nie jest to tylko problem powstania warszawskiego, ale w ogóle ogłupiającej polityki historycznej, prowadzonej zarówno przez prawicę narodową, jak i kontynuowanej przez obecnie rządzącą prawicę liberalną.

GALOPUJĄCY MAJOR,
publicysta, komentator polityczny, autor książki „Przedwojnie"

Tragedia powstania warszawskiego jest obchodzona jako radosne święto, ponieważ dla współczesnych od dawna powstanie przestało być tragedią. Jest pewnym paradoksem, że o ile nie ma większych sporów co do błędu rozpoczęcia samego powstania, o tyle hekatomba ofiar przyjmowana jest jako konieczna ofiara wiecznego dawania świadectwa. Jeśli dodamy do tego chęć wyparcia wszelkich traum przez konsumpcyjnie nastawione społeczeństwo, to bardzo łatwo wyobrazić sobie przerabianie kultu ofiar na radosne święto rodem z amerykańskiej popkultury. Jednocześnie należy pamiętać, że wszelkie rocznice historyczne leżały niejako odłogiem i nieprzypadkowo sięgnęła po nie prawica, budując na tym własną tożsamość polityczno-historyczną. Powstanie warszawskie nadaje się do tego doskonale, pozwala bowiem kultywować potępienie zbrodni zarówno niemieckich, jak i rosyjskich oraz podpiąć się pod żyjących jeszcze powstańców otoczonych kultem, wzmacnianym przez warszawocentryczność tej rocznicy. Mam wrażenie, że dziś niemal każda opcja polityczna szuka własnego, żyjącego jeszcze powstańca, którym może wymachiwać niczym flagą.

Powstanie od dawna straciło element zadumy nad tragedią Polski, ponieważ zostało wprzęgnięte w bieżące spory polityczne. A to z kolei nadaje rocznicy charakter pewnej medialnej jarmarczności (w końcu tym jest polityka), co z kolei skutkuje tym, że mnóstwo Polaków wierzy, że to powstanie Polska wygrała.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 23ffd6e8db

Sylwester „Kris" Braun.
Fotograf od powstania

Muzeum Warszawy
Centrum Fotografii
Warszawa
Rynek Starego Miasta 32

od 30 lipca
do 29 grudnia 2024

NA POWSTAŃCZYCH BARYKADACH

Sylwester „Kris" Braun jest jednym z najważniejszych fotografów powstania warszawskiego. Wiele z wykonanych przez niego w 1944 r. kadrów stało się ikonami. Są przywoływane i szeroko rozpoznawalne jako obrazy powstania, nawet gdy nie są podpisane. Oryginalne odbitki autorstwa Brauna to najcenniejsze obiekty dotyczące powstania warszawskiego w kolekcji fotograficznej Muzeum Warszawy. Ich prezentacja w formie albumu i wystawy uświetni 80. rocznicę sierpniowego zrywu.

1. Powstańcy na barykadzie przy ul. Żelaznej, połowa sierpnia 1944 r.

2. Ul. Wspólna po nalocie, 9 września 1944 r.

3. Barykada na Nowym Świecie przy wylocie na pl. Trzech Krzyży, 9 września 1944 r.

FOT. SYLWESTER „KRIS" BRAUN/ MUZEUM WARSZAWY

eprasa.pl 23ffd6e8db

Czy Hindus płakał, jak zamykał?

Produkcja stali w Polsce osiągnęła w ubiegłym roku poziom taki jak w latach 50. XX w. Czyli 6,75 mln ton

Grzegorz Rudnik

19 lipca br. media obiegła informacja, że spółka ArcelorMittal Poland, największy w kraju producent stali, poinformowała o wygaszeniu jedynej działającej w krakowskiej Hucie Sendzimira baterii koksowniczej. Decyzja była konsekwencją tego, że ostatni wielki piec w hucie wygaszono pod koniec 2019 r., wstrzymując jednocześnie pracę stalowni i linii ciągłego odlewu stali. Pod koniec zeszłego roku kierownictwo spółki wiedziało, że produkcja koksu stała się nieopłacalna i trzeba ją zamknąć. Pracownicy otrzymali propozycje podjęcia pracy w innych firmach. Można powiedzieć, że Hindus płakał, jak zamykał.

20 maja br. zarząd spółki Alchemia z grupy Boryszew podjął decyzję w sprawie rozpoczęcia procesu likwidacji Walcowni Rur „Andrzej" w Zawadzkiem w województwie opolskim. Tamtejsza Solidarność liczy, że zakład uratuje prywatny inwestor z Ukrainy i będzie można dalej walcować.

Prawda jest taka, że po 1990 r. pozbyliśmy się przemysłu ciężkiego. Jeśli wtedy wytwarzaliśmy 13,6 mln ton stali surowej, to w 2023 r. zaledwie 6,5 mln ton.

W 2022 r. zapotrzebowanie kraju na wyroby stalowe wyniosło 15,3 mln ton. Co oznacza, że jesteśmy zależni od zagranicznych dostawców. I pomyśleć, że 20 lat temu 57% dostępnych na rynku wyrobów stalowych produkowanych było w kraju, a reszta, czyli 43%, pochodziła z importu. W przypadku stalowych wyrobów płaskich jedynie 4% produkowano w Polsce, a 96% importowano!

Zużycie stali to papierek lakmusowy aktywności inwestycyjnej w danym kraju. Wielkość sprzedaży blach, rur, prętów stalowych informuje o poziomie inwestycji i produkcji w wielu gałęziach gospodarki, od budownictwa do produkcji maszyn i samochodów.

Od lat wiele się mówi i pisze o planach transformacji sektora energetycznego i o potrzebie stawiania farm wiatrowych. Polacy narzekają na rosnące ceny nowych mieszkań, a politycy w związku z rosyjskim zagrożeniem od dwóch lat biją na alarm, domagając się zwiększenia produkcji zbrojeniowej. Rozwiązaniem jest zwiększenie dostaw stali z importu. Co oznacza wzrost kosztów. I jeszcze jedno – sprowadzając stal z zagranicy, uzależniamy się od tamtejszych producentów. Trzeba wyraźnie powiedzieć – państwo polskie już dawno utraciło kontrolę nad produkcją tego strategicznego materiału.

Każdy Niemiec wie, co znaczy słowo *Kruppstahl* – stal Kruppa. W kajzerowskich i hitlerowskich czasach produkowana przez koncern Kruppa stal, słynąca z wysokiej jakości, była fundamentem zbrojeń i potęgi Rzeszy. Zakłady w Essen dostarczały Wehrmachtowi armaty, amunicję, płyty pancerne i wszystko, czego potrzebował. Założyciela koncernu Alfreda Kruppa nazywano „Królem armat".

Agresja Rosji na Ukrainę uświadomiła rządom krajów europejskich, że zapasy uzbrojenia ich armii

FOT. DANIEL DMITRIEW/FORUM

eprasa.pl 23ffd6e8db

wymagają uzupełnień, a moce produkcyjne przemysłu ciężkiego są niewystarczające, gdyż po zakończeniu zimnej wojny ograniczono zamówienia dla armii. W ramach globalizacji zaś produkcja stali została przeniesiona do Turcji, Indii, Chin i innych państw, w których było taniej.

W Polsce proces ten postępował bardzo szybko. Prywatyzacja hut, walcowni i innych zakładów przemysłu ciężkiego wymusiła systematyczne ograniczenia w produkcji. Jeśli w 1990 r. wytwarzaliśmy 13,6 mln ton stali surowej, to w roku 2023 zaledwie 6,5 mln ton. Co oznacza, że jesteśmy zależni od zagranicznych dostawców.

Wszystko to wpłynęło na obecne możliwości naszego przemysłu zbrojeniowego. Rocznie jesteśmy w stanie wyprodukować 50 armatohaubic Krab, ale dotychczas produkowaliśmy ich 30-40. Docelowo w Hucie Stalowa Wola ma zjeżdżać z linii produkcyjnej 100 sztuk, pod warunkiem że Koreańczycy dostarczą do nich silniki. Nic dziwnego, że w 2022 r. rząd Mateusza Morawieckiego podpisał z koreańskimi partnerami wartą 10,7 mld zł umowę na dostawę 212 haubic K9, z czego w latach 2022-2024 mieliśmy otrzymać 48 sztuk. Jednocześnie zakłady Huta Stalowa Wola zawarły z władzami Ukrainy umowę na dostawę 54 krabów, które dołączą do 80 przekazanych wcześniej w ramach pomocy wojskowej.

Okazuje się, że Wojsko Polskie ma dziś mniej czołgów, a także o wiele mniej wozów bojowych i dział niż przed wybuchem wojny w Ukrainie. A co do krabów, to armia ukraińska ma ich więcej niż my! Bo my mamy zaledwie 30.

Prawdziwym dramatem jest produkcja amunicji artyleryjskiej, zwłaszcza pocisków 155 mm. Ich roczna produkcja w Polsce waha się od 30 do 40 tys. sztuk. W marcu zeszłego roku rząd Mateusza Morawieckiego przyjął program Narodowej Rezerwy Amunicyjnej. Znana jest publiczna wypowiedź premiera, który wspomniał, że nasz kraj przeznaczy 12 mld zł na zakup 800 tys. pocisków za granicą. Program zakładał, że Polska Grupa Zbrojeniowa uzyska zdolność rocznej produkcji tych pocisków na poziomie 100 tys. sztuk. W grudniu ubiegłego roku PGZ podpisała wart 11 mld zł kontrakt na dostawy 300 tys. pocisków w latach 2024-2029. Jest jasne, że będzie potrzebowała bardzo dużo stali na ich korpusy. Przyjdzie konkurować o nią z Niemcami, Francuzami, Węgrami i Amerykanami, bo dziś kraje zachodnie wręcz rzuciły się do odbudowy zdolności produkcyjnych w tym obszarze.

Zła wiadomość jest taka, że według zachodnich wojskowych analityków Rosja produkuje dziś 1,4 mln pocisków artyleryjskich rocznie. Cztery razy taniej niż w Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych. Może też liczyć na dostawy z Korei Północnej. Minister obrony Korei Południowej Shin Won-sik powiedział ostatnio w wywiadzie dla japońskiego dziennika „Yomiuri Szimbun", że Kim Dzong Un wysłał do Rosji 5,2 mln pocisków artyleryjskich. To kilkakrotnie więcej, niż wynosi roczna produkcja wszystkich europejskich fabryk zbrojeniowych.

Wojskowi i politycy o tym wiedzą, lecz na razie mamy jedynie zapowiedzi odbudowy możliwości produkcyjnych europejskiego przemysłu zbrojeniowego. Potrzeba czasu i ogromnych pieniędzy, by nadrobić zaległości. Należy pamiętać, że wojna to przede wszystkim wojna fabryk. Wygrywa ten, kto jest w stanie zarzucić przeciwnika masowo produkowanym uzbrojeniem.

Okazuje się że w ostatnich latach rynek stali był bardzo niestabilny. W czasie pandemii ceny tego materiału wzrosły o 50%, potem się uspokoiły, lecz atak Rosji na Ukrainę spowodował kolejny skok cen – tym razem o 100%. Zdarzało się, że producenci anulowali zamówienia, a czasem arbitralnie podnosili ceny.

Poważnym ciosem dla producentów stali okazało się wstrzymanie dostaw gazu ziemnego z Rosji. Trzeba było ograniczyć produkcję i zrezygnować z dostaw rosyjskiej oraz białoruskiej stali. Polska sprowadzała rocznie z kierunku wschodniego (Rosja, Białoruś, Ukraina) ok. 3 mln ton. Trzeba było znaleźć nowych dostawców, bo o dziwo zwiększenie produkcji krajowej nie wchodziło w grę. Powodem były wysokie ceny energii elektrycznej. Jak zwykle rodzimi przedstawiciele biznesu hutniczego zwrócili się o pomoc do rządu. I takową w zeszłym roku im zaoferowano, zwiększając limit rekompensat kosztów energii do 2031 r. z 9 do 45 mld zł. Do ich dyspozycji jest też 80 mld zł środków ze Strategii Produktywności na lata 2020-2030.

Niektórzy szansę polskiego hutnictwa upatrują we wpisaniu się w tzw. gospodarkę obiegu zamkniętego, co w praktyce oznacza spore zwiększenie produkcji wyrobów stalowych ze złomu. Problem w tym, że ogromne jego ilości skupuje w Europie Turcja – ten największy na świecie importer złomu przetwarza go i eksportuje gotowe wyroby stalowe po konkurencyjnych cenach. By choć trochę sprostać wyzwaniu, europejscy producenci muszą oferować wyższe ceny, a to oznacza wzrost kosztów produkcji. Pojawiły się pomysły, by Unia nałożyła na eksporterów złomu specjalny podatek, ale to odległa perspektywa.

Poza tym piece do przetapiania złomu korzystają z energii elektrycznej. Ta w Polsce jest droga, co czyni rodzimą produkcję stali mało opłacalną. Optymiści przekonują, że moglibyśmy zwiększyć jej produkcję nawet do 10 mln ton, lecz można to chyba między bajki włożyć. Pesymiści ostrzegają, że za progiem toczy się wojna, stal zaś jest bronią, której się w niej używa. A ponieważ stal stanowi o bezpieczeństwie państwa, musi ono zaangażować się w rozbudowę mocy produkcyjnych.

Na razie polski rząd woli kupować uzbrojenie w Stanach Zjednoczonych i Korei Południowej. ■

Sprowadzając stal z zagranicy, państwo polskie dawno utraciło kontrolę nad produkcją tego strategicznego materiału.

eprasa.pl 23ffd6e8db

Partia bez wiedzy

Kamala Harris zastąpiła Joego Bidena jako kandydatka demokratów. Jest dobra strategicznie, ale co tak naprawdę chce zrobić z Ameryką? Nie wiadomo

Mateusz Mazzini

W chwili oddawania tego tekstu do publikacji wiadomo, że obecna wiceprezydent ma już praktycznie zapewnioną nominację partyjną. Poparcie dla niej wyraziło 3189 z 4 tys. delegatów na Krajową Konwencję Partii Demokratycznej, która odbędzie się w dniach 19-22 sierpnia. Pozostali nie tyle wskazali innego kandydata, ile nie oddali jeszcze głosu. Każe to wierzyć, że podobnie jak Joe Biden w sezonie prawyborów, Kamala Harris również rozpocznie walkę o prezydenturę bez wewnątrzpartyjnej opozycji.

Teoretycznie jeszcze mogłoby dojść do czegoś na kształt puczu podczas samej konwencji, która odbywać się będzie w Chicago. Władze partii mogłyby dopuścić w ostatniej chwili możliwość ubiegania się o nominację nowych osób. Szanse na to są jednak minimalne, nie tylko dlatego że otwartej konwencji demokraci nie przeprowadzili od dekad. I, nazywając rzeczy po imieniu, nikt w partii prawdopodobnie nie wiedziałby nawet, jak to zrobić. Także dlatego, że za Harris stanęli już prawie wszyscy luminarze partii, na czele z Bidenem. Poparli ją także potencjalni rywale, a przynajmniej ci, których w tej roli widziała liberalna amerykańska prasa. Gretchen Whitmer – gubernatorka stanu Michigan, Gavin Newsom – gubernator Kalifornii i Josh Shapiro – gubernator Pensylwanii. Ten ostatni jest szczególnie ważną postacią w poczcie szeroko pojętego establishmentu demokratów, bo szefuje władzom stanu niepewnego, który w ostatnich dekadach przechodził w czasie wyborów z rąk do rąk. Choć republikanie w Pensylwanii przez dekady systematycznie się umacniali, Shapiro utrzymuje tam silną pozycję. Do grona zwolenników Harris dołączyła też Nancy Pelosi, weteranka partii i zarazem jedna z pierwszych poważnych osób w jej strukturach, która publicznie wezwała Bidena do rezygnacji z ubiegania się o reelekcję. Po stronie byłej senator z Kalifornii, gdzie zasłynęła swoją strategią „inteligentnego zwalczania przestępczości", opowiedziały się też delegacje 40 z 50 stanowych komisji partii. Innego końca tej historii nie będzie, w listopadzie o prezydenturę USA powalczą Donald Trump i Kamala Harris.

Zmiana warty w kampanii wyborczej demokratów.

Fala wznosząca

Czy to dobrze, że demokraci ostatecznie zmienili kandydata? Na pewno. Czy to dobrze, że zamienili Joego Bidena na Kamalę Harris? To zależy.

> Nierzadko okazuje się, że amerykański polityk jest doskonałym kandydatem na papierze, a potem kampanijna rzeczywistość brutalnie go weryfikuje.

Pierwsze dni po rezygnacji obecnego prezydenta upłynęły pod znakiem mieszanki euforycznego wręcz entuzjazmu i autentycznej ulgi. Dłużej nie dało się już utrzymywać kandydatury, która z każdym kolejnym dniem przeradzała się coraz bardziej w farsę. Dodatkowo pogłębiała kryzys w samej partii, bo w pewnym momencie za odejściem Bidena opowiedziało się publicznie

eprasa.pl 23ffd6e8db

32 członków Izby Reprezentantów i pięciu senatorów. Dawało to też paliwo republikanom, którzy w pewnym momencie poczuli chyba, że już nic złego w tym roku nie może im się stać. Na ich ubiegłotygodniowej konwencji krajowej w Milwaukee panowała atmosfera ekstazy, religijnego wręcz uniesienia. Wszyscy, którzy przemawiali na scenie, od rodziny Trumpa po wspierających go celebrytów w typie aktora zapaśnika Hulka Hogana, mówili, że wola i determinacja byłego prezydenta jest dla Amerykanów darem od Boga. Mógłby przecież wycofać się z polityki, „grać w golfa codziennie do końca życia". A jednak zdecydował się ponownie walczyć o Biały Dom. I, co najważniejsze, robi to dla nas, dla narodu. Nie dla siebie, przecież jest miliarderem, korzyści z prezydentury nie będzie miał żadnych.

Kiedy 21 lipca wieczorem polskiego czasu Joe Biden oficjalnie poinformował o swojej rezygnacji, republikanie dawali do zrozumienia, że taki obrót spraw też im odpowiada. Próbowali kolejnej ofensywy – przewodniczący Izby Reprezentantów Mike Johnson wezwał nawet Bidena do odejścia z urzędu prezydenckiego. Argumentował, że skoro nie jest w stanie prowadzić kampanii wyborczej, na pewno nie jest wystarczająco sprawny, także intelektualnie, do kontrolowania aparatu państwowego. Z prawej strony sceny politycznej padały kolejne apele o aktywowanie 25. poprawki do konstytucji, która określa zasady rezygnacji urzędującego prezydenta z przyczyn zdrowotnych. Przynajmniej częściowo było to jednak robienie dobrej miny do złej gry.

Tim Alberta, reporter magazynu „The Atlantic", opublikował w ubiegłym tygodniu spory reportaż o funkcjonowaniu sztabu Trumpa. Dziennikarz spędził kilka miesięcy w towarzystwie Susie Wiles i Chrisa Chris LaCivity, dwójki PR-owców prowadzących kampanię Trumpa. Już w marcu, w okresie prawyborów, oboje przyznawali mu, że nie boją się wcale rywalizacji z Bidenem – choć w tamtym okresie obecny prezydent wydawał się najrozsądniejszym dla demokratów nominatem i nic nie wskazywało jego późniejszej katastrofy wizerunkowej. Ich największym zmartwieniem byli, cytując w tym miejscu Wiles, „instytucjonalni demokraci". Miała na myśli tych członków partii, którzy byliby w stanie w imię ogólnego dobra ugrupowania i amerykańskiej demokracji wymusić rywalizację wewnątrzpartyjną. Wtedy był to raczej lęk fantomowy, bo szanse na to były minimalne, ale po czerwcowej debacie w CNN, po której stało się jasne, że Biden jest już na straconej pozycji, wizja otwarcia politycznego koloseum demokratów okazała się realna. A republikanie, jak pisze Alberta, zaczęli coraz gorzej sypiać.

Przez cztery lata w Białym Domu Biden miał wychować sobie następcę. Nie tylko tego nie zrobił, ale też skutecznie podcinał gałąź, na której siedziała Harris.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, trudno powiedzieć jednak, że do jakiejkolwiek rywalizacji w ogóle doszło. Dla bardziej konserwatywnych komentatorów, jak chociażby związany dawniej z Partią Republikańską politolog Daniel Drezner z Tufts University w Bostonie, wybór był oczywisty. To mogła być tylko Harris. Z prostego powodu: żaden z jej możliwych kontrkandydatów nie miał odpowiedniej rozpoznawalności na poziomie ogólnonarodowym. To politycy znani lokalnie, w swoich stanach nawet uwielbiani, jak Newsom i Whitmer. Droga od popularności stanowej do triumfu w całym kraju jest jednak długa. W dodatku, jak zauważa felietonista „New York Timesa" Ezra Klein, nierzadko w amerykańskiej polityce okazuje się, że na papierze polityk wydaje się doskonałym kandydatem, a potem kampanijna rzeczywistości brutalnie go weryfikuje. Nawiasem mówiąc, do pewnego stopnia to stało się z samą Harris, która walczyła o prezydenturę cztery lata temu. Odpadła dość szybko, jeszcze przed kluczowymi dla wyścigu prawyborami w Iowa – także dlatego, że jej kalifornijski wizerunek prokuratorki z ciekawymi pomysłami na zredukowanie przestępczości nie przełożył się w żaden sposób na to, co pokazywała na partyjnych debatach i wiecach w całym kraju.

Teraz to Harris będzie walczyć z Trumpem i nic raczej tego stanu rzeczy nie zmieni. Na razie sporo jest wokół tej kandydatury entuzjazmu, ale przede wszystkim nadziei. Wiceprezydent ma bowiem to, czego nie miał już Biden, a co jest absolutnie kluczowe dla powodzenia operacji wyborczej: ma jakiekolwiek szanse. Z Bidenem jako kandydatem porażka demokratów – nie tylko na poziomie wyborów prezydenckich, ale też w niektórych wyścigach stanowych – była raczej przesądzona. Na pewno jednak jego zastępczyni nie jest faworytką listopadowego starcia. Można w tym miejscu oczywiście cytować liczby i mówić, że fala jest wznosząca. 100 mln dol. nowych datków przesłanych na konto partii zaledwie w 24 godziny od rezygnacji Bidena. 27,5 mln z Doliny Krzemowej (jak podaje platforma fundraisingowa ActBlue) – choć tu trzeba zrobić przypis, że są to głównie pieniądze przesyłane w małych kwotach i pochodzące od niewielkich firm, nie od technologicznych gigantów. Ci bowiem prawie bez wyjątku popierają republikanów, i to nawet nie samego Trumpa, ale jego kandydata na wiceprezydenta J.D. Vance'a, 39-letniego lidera frakcji Nowej Prawicy.

Wyrazy niezadowolenia

O Dolinie Krzemowej i rywalizowaniu o jej względy jeszcze będzie, najpierw trzeba się skupić na zarysowaniu sytuacji wewnątrz Partii Demokratycznej. Na razie Harris cieszy się poparciem najważniejszych osób w jej strukturach i niesie ją fala świeżości. Ma energię i sporo nowych pieniędzy. Lokalne media w niektórych kluczowych stanach, jak Pensylwania czy Arizona, piszą peany na cześć mobilizacji, jaką wywołała

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 23ffd6e8db

sama zmiana kandydata u demokratów. Ale sondaże są nieubłagane.

Jak podaje „New York Times", spośród 14 najważniejszych ośrodków badawczych pracujących w skali całego kraju, tylko w dwóch Harris ma przewagę nad Trumpem. Jej strata jest wprawdzie znacznie niższa od tej, którą miał Biden, ale to cały czas strata, a nie pozycja dająca zwycięstwo. Owszem, można niuansować, podobnie jak Daniel Drezner czy Evan Osnos z „New Yorkera", że za wcześnie jeszcze na wiarygodne sondaże. Ich zdaniem Harris ma spore szanse się odbić, dlatego że Bidena ciągnęła w dół bardzo negatywna ocena sytuacji ekonomicznej kraju wśród wyborców. Harris, co podkreśla zwłaszcza Osnos, nie jest aż tak kojarzona z polityką gospodarczą Bidena, więc może dzięki temu skutecznie się odciąć od szkodliwej narracji i uciec spod topora.

Ezra Klein odbija jednak ten argument, mówiąc, że w końcu była drugą najważniejszą osobą w administracji. A przede wszystkim sama ma na koncie więcej porażek niż triumfów. Klein jest jednym z największych zwolenników otwartej konwencji, na której poparcie ma kilka ciekawych argumentów. Warto im się przyjrzeć chociażby po to, żeby zrozumieć, gdzie teraz znajdują się demokraci.

Dziennikarz w felietonie dla New York Times Audio stwierdził, że brak wiedzy jest główną bolączką partii. Osoby nią kierujące nie mają informacji ani na temat tego, czego chcą jej wyborcy, ani w jakim stanie są jej struktury. Wszystko dlatego, że w ciągu ostatnich lat partia dosłownie się zabetonowała – również na krytykę z zewnątrz.

Widać to najlepiej na przykładzie Bidena. To, że musi zrezygnować, było już w pewnym momencie wiedzą powszechną, ale mimo to prezydent upierał się, że będzie kandydować. Nawet jeśli – i w tym miejscu z Ezrą Kleinem nie można się nie zgodzić – kampania demokratów nie była w zasadzie oparta na żadnych konkretnych założeniach programowych.

Pomiędzy Harris i Bidenem przez długie miesiące prezydentury nie było chemii. Kolejny kamyczek do ogródka odchodzącego prezydenta.

W przypadku Bidena sprowadzała się właściwie do jednej tezy: że raz już Trumpa pokonał.

Z tym trudno polemizować, ale czy rzeczywiście był to argument wystarczająco silny, żeby pozwalał na zdobycie nominacji bez żadnego wysiłku, nie mówiąc już o wygranej w samych wyborach? Z czasem coraz donośniejsze stawały się głosy niezadowolenia z tego, jak zachowywało się bezpośrednie otoczenie Bidena na czele z jego rodziną. Jake Tapper z CNN, jeden z najbardziej rozpoznawalnych dziennikarzy politycznych w USA, napisał na portalu stacji, że bardzo bliscy doradcy Bidena są wściekli na pierwszą damę, Jill, otaczającą go kordonem bezpieczeństwa przed jakąkolwiek krytyką. Alistair Campbell, rzecznik prasowy rządu Tony'ego Blaira, w niezwykle popularnym na Wyspach Brytyjskich podcaście „The Rest is Politics", kilka dni po czerwcowej debacie zauważył, że tylko pierwsza dama będzie mogła namówić męża do rezygnacji, więc wysiłki doradców powinny się skoncentrować na niej, a nie na prezydencie. Przy okazji obwinił sztabowców Bidena, całkiem zasadnie, o ogromne błędy komunikacyjne. Skoro rzeczywiście prezydent miał infekcję gardła – dlaczego nie zostało to wypuszczone kontrolowanym przeciekiem do prasy jeszcze przed starciem z Trumpem?

Przegląd wojsk

Ezra Klein, jedyny autor oprócz Graeme'a Wooda z „Atlantica" i części dziennikarzy „Wall Street Journal" domagający się otwartej konwencji demokratów, jest zdania, że brak wewnętrznej rywalizacji rozleniwił Bidena, ale też uśpił czujność kierownictwa partii. Wprawdzie panuje zwyczaj, że urzędującemu prezydentowi nie rzuca się wyzwania, ale ostatnie miesiące w amerykańskiej polityce na pewno nie należały do tradycyjnych. Biden, co napisał również inny wpływowy komentator „Timesa", Nate Cohn, nie zbudował przekonującego programu dla własnych wyborców. Nie pokazał im, że gospodarczo kraj znajduje się w znacznie lepszym miejscu, niż wielu z nich się wydaje. Nie potrafił – ani sam, ani z pomocą Harris – pokazać się jako zdecydowany obrońca praw kobiet. Nie użył kwestii aborcji przeciwko Trumpowi, tak samo jak nie był w stanie skorzystać z daru losu, jakim był wyrok skazujący jego rywala kilka tygodni temu. Gdyby prawybory odbyły się zimą, argumentował Klein, sytuacja wyglądałaby inaczej. Możliwe nawet, że już wtedy Biden okazałby się kandydatem niewystarczającym i decyzja o wymianie zapadłaby dużo szybciej, dając więcej miejsca na zbudowanie wizerunku nowego kandydata.

Dlatego, konkluduje Klein, drugi raz demokraci nie powinni popełniać tego samego błędu. Czas rozpocząć rywalizację, bo na to zasługuje elektorat. Wyborcy postępowi i liberalni powinni otrzymać szansę na coś, co przypomina przegląd wojsk. Zobaczyć np. na antenie dużej stacji informacyjnej, kim są Newsom, Whitmer czy

eprasa.pl 23ffd6e8db

Kamala Harris zamierza ostro konkurować z Trumpem.

Shapiro. Oraz kim jest Kamala Harris, bo tego też do końca nie wiedzą. Wokół jej kandydatury narosło sporo niewiadomych. Brak wyraźnego kandydata na wiceprezydenta, mało konkretnych postulatów. Przecieki ze sztabu wskazują, że Harris planuje być kandydatką ultraofensywną, wręcz ostrą, co w starciu z Trumpem nie musi być złym pomysłem. Jak jednak zamierza się wytłumaczyć z, delikatnie mówiąc, przeciętnego dorobku jako wiceprezydentka?

Z jednej strony, nie osiągnęła znaczących sukcesów legislacyjnych. Z drugiej – u Bidena zajmowała się obszarami polityki, w których – nie mając zdecydowanej większości w obu izbach Kongresu – osiągnąć cokolwiek było bardzo trudno. Imigracja, prawa wyborcze, bezpieczeństwo cyfrowe, sztuczna inteligencja, małe i średnie przedsiębiorstwa. Niektóre z tych zakresów kompetencyjnych wyglądają wręcz, jakby zostały jej przydzielone na ślepo. Albo celowo, właśnie po to, żeby się na nich potknęła.

To zresztą osobny problem, bo pomiędzy Harris i Bidenem przez długie miesiące prezydentury nie było chemii. Kolejny kamyczek do ogródka odchodzącego prezydenta – nigdy wprawdzie nie zadeklarował publicznie, że będzie rządzić tylko przez jedną kadencję, ale wszyscy w obozie demokratów wiedzieli, że takie właśnie jest założenie tego projektu politycznego. W czasie czterech lat w Białym Domu Biden miał wychować sobie następcę. Nie tylko tego nie zrobił, ale też skutecznie podcinał gałąź, na której siedziała Harris, sabotując tym samym siebie.

Kto się boi listopada

Harris czeka wyzwanie wizerunkowe, bo musi nie tylko przekonać wyborców, że jest lepsza od Trumpa, ale przede wszystkim zbudować wiarygodną opowieść o własnym projekcie politycznym. Najcięższy zarzut, który pod jej adresem formułują komentatorzy, to właśnie brak wizji. Jest dobra strategicznie, umie płynnie przeskakiwać pomiędzy różnymi kreacjami wizerunkowymi, ale co tak naprawdę chce zrobić z Ameryką? Nie wiadomo. Pytanie, czy ona sama wie, nadal wydaje się zasadne.

Kiedy ubiegała się o prezydenturę cztery lata temu, zrobiła bardzo duży zwrot w autokreacji, nie do końca udany. Na etapie bycia senatorką z Kalifornii wszyscy wiedzieli, kim jest. Była pani prokurator z poglądami z samego środka spektrum ideologicznego, podkreślająca swoje pochodzenie etniczne. Jej obsesją było bezpieczeństwo publiczne, wzmacniane jednak nie poprzez większą obecność mundurowych na ulicach czy bardziej restrykcyjne przepisy, ale poprzez „inteligentne" rozwiązania prawne. Mniej pałek i karabinów, więcej działających polityk publicznych, zdawała się mówić w swojej na poły autobiograficznej, wydanej w 2009 r. książce „Smart on Crime" (Inteligentnie o przestępczości). Jej mocną stroną były konkretne rozwiązania, a nie płynna opowieść polityczna. Niestety – przynajmniej dla niej – to tego drugiego potrzeba w tej chwili bardziej, bo właśnie narracją, a nie programem, wygrywa się wybory.

Przed Partią Demokratyczną trudny czas mimo obecnego entuzjazmu i gigantycznego napływu środków finansowych. Musi się przeprogramować i wykreować nową kandydatkę. Bez względu na to, czy jakimś cudem zdecyduje się otworzyć konwencję w sierpniu, czy nie, pora przyjrzeć się własnym zasobom kadrowym. Harris to ostatnia deska ratunku. W idealnej sytuacji ani ona, ani Biden nie byliby kandydatami tego środowiska. Nie znaczy to, że młodych i zdolnych polityków u demokratów brakuje, wręcz przeciwnie. Trzeba jednak dać im szansę, nawet szansę na porażkę. Sama wymiana Bidena na Harris jest krokiem w dobrą stronę, nawet jeśli wymuszonym przez okoliczności. Brian Klaas, wykładowca University College London i współpracownik „Atlantica", zauważył, że wywierając presję na prezydencie, demokraci pokazali, że są partią zdrową. Teraz czas na ważny i zdecydowany piwot kampanijny.

Przed Partią Demokratyczną trudny czas pomimo entuzjazmu i gigantycznego napływu środków finansowych.

Na pocieszenie można tylko przypomnieć, że dokładnie takie samo zadanie czeka republikanów. I właściwie trudno teraz jednoznacznie stwierdzić, kto dzisiaj listopadowych wyborów boi się bardziej.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 23ffd6e8db

Kulturalni olimpijczycy

„Boska to rzecz być pierwszym i bawić się takim żartem", głosił Kazimierz Wierzyński w „Fanfarze"

Wojciech Kuczok

Był to jeden z 15 wierszy pomieszczonych w tomiku „Laur olimpijski", za który skamandryta ów laur otrzymał. Od 1912 r. z inicjatywy barona de Coubertina podczas igrzysk o medale rywalizowali bowiem nie tylko sportowcy, ale także literaci, artyści i architekci. Fakt, że pierwszym mężczyzną, który zdobył dla Polski olimpijskie złoto, był poeta, można uznać za proroczy – nasza pozycja w medalowej klasyfikacji wszech czasów źle znosi porównanie z listą polskich laureatów literackiej nagrody Nobla. Średnio usportowieni, jesteśmy za to solidnie uduchowieni, wypada zatem żałować, że Olimpijski Konkurs Sztuki i Literatury przetrwał tylko do pierwszych powojennych igrzysk. Złoto w tamtym czasie zdobywali dla nas po równo tak lekkoatleci (Konopacka, Walasiewiczówna i Kusociński), jak i ludzie sztuki – oprócz Wierzyńskiego jeszcze rzeźbiarz Józef Klukowski i kompozytor Zbigniew Turski.

Gdyby artystom pozostawiono przywilej stawania w olimpijskie szranki, być może lud domagałby się oprócz chleba i igrzysk także kultury, z dużą dozą prawdopodobieństwa zaś można mniemać, że nasz dorobek olimpijski zostałby podwojony. „Dawni ludzie nie potrzebowali sportu: byli zdrowi i silni z natury. dziś sport zabija wszystko, zastępuje nawet sztukę, która upada coraz bardziej. Ja sam bardzo lubię narty, ale nie znoszę, jak z was, sportsmanów, robi się największe chwały narodów i kiedy wasze idiotyczne rekordy zajmują tyle miejsca w gazetach, gdzie tego miejsca nie ma na poważną artystyczną krytykę" – zacietrzewiony Atanazy Bazakbal wyraża w ten sposób w „Pożegnaniu jesieni" Witkacego poglądy lwiej części przedwojennej inteligencji, zwłaszcza tej kawiarnianej. Ale cóż począć, skoro wagi kawiarnianych stolików dla polskiej kultury, od Ziemiańskiej po Czytelnika, zlekceważyć nie sposób.

Wierzyńskiemu medal przyniósł sławę i zapewne namnożył niechęci wśród kolegów po piórze, kręcących nosem na jego zachwyty nad tężyzną i gibkością atletów, którym zresztą dawał upust także jako wieloletni redaktor naczelny „Przeglądu Sportowego". Literacko dzisiaj tomik Wierzyńskiego mógłby się obronić zaledwie we fragmentach, w istocie jest w nim nadmiar patosu, na domiar złego w wierszu „Panie na start" poeta nadpisuje cel sportowczyniom, które przecież nie mogą ot tak rywalizować obok mężczyzn ku samej chwale: „Bierzcie nas silni efebi, / w mocy swej niestrudzonej / do waszych ramion biegniemy / dziewice wasze i żony".

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa usłyszymy także i w tym roku ekstatyczne wrzaski telewizyjnych komentatorów, którym płaci się chyba od decybeli.

Traf chciał, że Wierzyński wracał z amsterdamskich igrzysk ze złotą dyskobolką Haliną Konopacką, uznaną do tego za Miss Igrzysk. Kobietą cokolwiek wyzwoloną, takoż poetką, lubującą się w prowadzeniu automobilu, późniejszą damą salonów i panią ministrową. Konopacka musiała czytać i ten nieszczęsny wiersz, ciekaw byłbym jej rozmowy z Wierzyńskim o powołaniu sportsmenek.

•

Za utwory filmowe medali nie przyznawano, ale do dziś najwybitniejszym dziełem olimpijskim w tej dziedzinie pozostaje także dzieło najbardziej kontrowersyjne, mistrzowska operatorsko „Olimpiada" Leni Riefenstahl, dokumentująca igrzyska w 1936 r., będąca w istocie rzeczy pełnometrażowym filmem propagandowym hojnie dofinansowanym przez nazistów.

Szlachetniejsze pobudki kierowały kilkadziesiąt lat później Andrzejem Kotkowskim, kiedy realizował swoją fabularną „Olimpiadę 40". Symboliczne igrzyska w czasie wojny rozegrali więźniowie stalagu w Langwasser, odpalając nawet znicz w postaci przytwierdzonej do słupka puszki z resztkami tłuszczu. Organizacja zawodów w kolejnych dyscyplinach wymagała ryzyka i pomysłowości. Strażnicy za niesubordynację karali więźniów przymusową gimnastyką – wystarczyło zatem podpaść im zbiorowo, żeby móc rozegrać konkurs na 50 m karną żabką.

Starożytni Grecy na dni igrzysk ogłaszali czas świętego pokoju, w erze nowożytnej nie było już tak błogo. Dwie edycje przepadły z powodu II wojny światowej, w kolejnych dekadach zaś nie brakowało bojkotów, wykluczeń i tragicznych w skutkach aktów przemocy. O terrorystycznym ataku w Monachium '72 film zrobił nawet Steven Spielberg – pomimo śmierci wszystkich zakładników porwanych przez bojowników palestyńskiego Czarnego Września zdecydowano, że show musi trwać, dzięki czemu m.in. orły Górskiego miały szansę zdobyć jedyne olimpijskie złoto w historii naszego futbolu. W 1980 r. Zachód zbojkotował igrzyska moskiewskie, w 1984 Wschód

eprasa.pl 23ffd6e8db

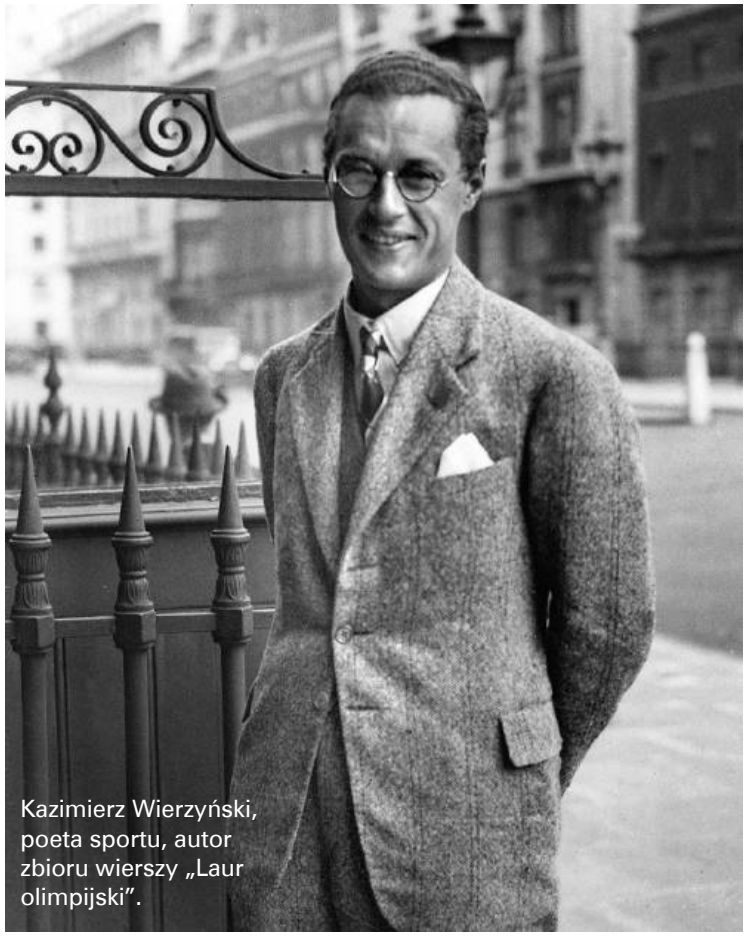

Kazimierz Wierzyński, poeta sportu, autor zbioru wierszy „Laur olimpijski".

nie poleciał do Los Angeles, w 1988 do Seulu nie wybrali się reprezentanci najbardziej zatwardziałych reżimów z Kubą na czele – igrzyska mojego dzieciństwa stały pod znakiem politycznych animozji i nigdy nie były kompletne. Teraz do Paryża z oczywistych względów nie pojechali Rosjanie i Białorusini – wspólnicy w bandyckiej wojnie toczonej przeciw Ukrainie i cywilizacji zachodniej.

•

Moje pierwsze olimpijskie fascynacje wiązały się z reedycją VI księgi komiksu o Tytusie, Romku i A'Tomku, przeżyłem nawet dreszczyk emocji podczas prywatnego śledztwa. Kiedy już jako nastoletni kolekcjoner dostąpiłem zaszczytu zakupienia w antykwariacie pierwszego wydania z 1971 r., zauważyłem znaczącą różnicę – tylko w tej oryginalnej wersji podczas zwiedzania Muzeum Sportu Tytus bawi się szablą mistrza Pawłowskiego, w kolejnych wznowieniach już szablą Wojciecha Zabłockiego. To efekt „cancel culture" władz PRL. Jerzy Pawłowski, mistrz fechtunku, złoty medalista z Meksyku, okazał się agentem CIA i zdemaskowany odsiedział 10 lat. Jednak w trakcie wymiany szpiegów z Amerykanami na poczdamskim moście zdecydował o powrocie do Polski.

O legendarnych pięściarzach ze szkoły Feliksa Stamma, którzy seryjnie zdobywali dla nas medale w ringu, o lekkoatletycznym wunderteamie też dowiadywałem się z kultury masowej, w ubożuchnej Polsce lat 80. reprezentowanej hojnie właśnie przez komiksy. Aż do czasów kariery Andrzeja Gołoty wyobraźnia polskich kibiców boksu zawodowego żyła głównie tym, że w 1960 r. finał olimpijski Zbigniew Pietrzykowski przegrał z Cassiusem Clayem, później Muhammadem Alim, najsłynniejszym bokserem XX w. Innych naszych mistrzów: Jerzego Kuleja i Jana Szczepańskiego Marek Piwowski obsadził w filmie „Przepraszam, czy tu biją" w rolach milicjantów. Scena, w której obaj mistrzowie sparują sobie na komisariacie, jest zaiste kultowa.

•

Przed równo stu laty właśnie w Paryżu po raz pierwszy reprezentacja niepodległej Polski pojawiła się na igrzyskach olimpijskich, mamy zatem szczególny jubileusz i kilka medalowych okazji ku temu, by go uczcić. Iga Świątek nie mogła sobie wyobrazić lepszej okazji do olimpijskiego złota – zagra o nie na swoich ulubionych kortach Rolanda Garrosa, gdzie w ostatnich pięciu turniejach triumfowała czterokrotnie, wygrywając 35 razy przy tylko dwóch porażkach. Do turnieju z pierwszego miejsca w światowym rankingu przystąpią nasi siatkarze, którzy zresztą w ostatnim sparingu przedolimpijskim pokonali USA – drugą obecnie ekipę na świecie. Nasza lekkoatletyka trzyma się mocno – od czasu igrzysk w Atlancie w 1996 r. przywozimy zawsze jakieś złoto, regularnie w czołówce mamy także osoby wiosłujące.

Murowaną kandydatką do złota jest także Aleksandra Mirosław, najszybciej wspinająca się kobieta na świecie, która już z Tokio przywiozłaby medal z najcenniejszego kruszcu, gdyby nie idiotyczne połączenie różnych konkurencji we wspinaczkowy trójbój. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa usłyszymy także i w tym roku ekstatyczne wrzaski telewizyjnych komentatorów, którym płaci się chyba od decybeli – będą się drzeć niczym przy płuczniach nad Klondike: „Maamy złoootooo!!!". A my się tej gorączce poddamy, jakby i nam parę sztabek wpadło do sejfu, bo przecież oni i one tam biją rekordy po to, żeby choć na chwilę pozłocić nam szarą rzeczywistochę. ■

Fakt, że pierwszym mężczyzną, który zdobył dla Polski olimpijskie złoto, był poeta, można uznać za proroczy.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 23ffd6e8db

Sąd nie jest twierdzą (cd.)

Sprawozdawczyni sądowa Helena Kowalik opisała, jak sądy zamykają się przed mediami (PRZEGLĄD nr 26/2024). Oto kolejny głos w tej sprawie

Marek Książek

Kiedy dostałem w spadku dom pod Warszawą i spytałem notariusza, czy będę mógł go szybko sprzedać, ten bardzo się zdziwił: „Chce pan sprzedać? A myślałem, że przeprowadzi się pan do Warszawy". Nie miałem takiego zamiaru, bo mocno wrosłem w pejzaż olsztyński. I całe szczęście, bo jako dziennikarz dosyć często goszczący w sądzie byłbym narażony na uciążliwości, o których pisała Helena Kowalik, a potem jej koleżanki po fachu, które mogę określić jako reporterki sądowe.

W tekstach pod wspólnym tytułem „Sąd nie jest twierdzą" widać warszawocentryzm, choć przecież wymiar sprawiedliwości działa w całej Polsce. Aż mi żal koleżanek, że ciągle potykają się o takie przeszkody, ale – być może – jest to specyfika właśnie sądów warszawskich. Tymczasem w Olsztynie, niedużym mieście wojewódzkim, sprawozdawcy sądowi czy w ogóle dziennikarze, nie mają takich kłopotów. Regularnie dostaję mejlem od rzecznika sądu okręgowego comiesięczny newsletter oraz – czasami codziennie – komunikaty o bieżących sprawach, przeważnie tych, które mogą zainteresować czytelników, słuchaczy i telewidzów.

Są wśród nich tak głośne jak – w przeszłości – seksafera w olsztyńskim ratuszu czy aktualnie toczący się proces adwokata, który w wypadku drogowym zabił dwie kobiety i potem tłumaczył w mediach społecznościowych, że ofiary poruszały się „trumną na kółkach". Pierwsza rozprawa zgromadziła tłum reporterów, druga już mniej, a potem, wobec postępującej przewlekłości procesu (wiadomo, oskarżonym jest prawnik) już tylko najbardziej wytrwali zasiadali w ławach dla publiczności. Nie zauważyłem, aby obsługa sądowa ograniczała komuś wejście na salę czy zabroniła fotografować lub filmować proces. Rzecz w tym, że ta sprawa zeszła z pierwszych stron gazet i straciła walor medialny.

•

Uważam, że przesiadywanie w sądzie to strata czasu, choć oczywiście dobrze jest spojrzeć w oczy przestępcy i posłuchać opowieści ofiar bandyty, złodzieja, naciągacza. Ale w kolejnych odsłonach zamiast „mięsa" mamy do czynienia z nudną procedurą sądową, zeznaniami świadków, którzy zapominają, co mogliby w sprawie powiedzieć, więc sąd monotonnie odczytuje ich zeznania ze śledztwa. Dlatego bardziej ekonomiczne i korzystne z punktu widzenia dziennikarskiego jest przejrzenie, już po wyroku, całości akt sądowych, w których jest dosłownie wszystko! Począwszy od zawiadomienia o przestępstwie, notatki policyjnej, gorących, a więc zwykle zgodnych z prawdą, zeznań świadków, na wyjaśnieniach podejrzanego skończywszy. Co często decyduje o postawieniu go w stan oskarżenia.

Z takim przypadkiem mieliśmy do czynienia w głośnej sprawie uduszenia Joanny Gibner, młodej mężatki z Olsztyna, której ciało mąż zatopił (na lata) w pobliskim jeziorze. Podczas pierwszych przesłuchań na policji i w prokuraturze przyznał się do winy, narysował nawet szkic jeziora, gdzie utopił martwą żonę, ale już po aresztowaniu zmienił zdanie, zaczął kręcić i zaprzeczać, że to on zabił. Jednak sąd potraktował pierwsze wyjaśnienia jako dowód pośredni i skazał go na długie lata więzienia. Posiłkując się opinią biegłych psychiatrów, a takie znajdują się w aktach, także sprawozdawca sądowy może z nich wiele wyczytać.

Przeglądałem te akta, podobnie jak wiele innych, bez żadnych problemów. Wystarczył wniosek do prezesa sądu, nawet bez skanu legitymacji prasowej. Tylko raz spotkałem się z żądaniem dołączenia legitymacji, ale z sądu w Ostrołęce. Miałem też możliwość zapoznania się z aktami głośniej sprawy

eprasa.pl 23ffd6e8db

Helpera, w której jednym z oskarżonych jest słynny agent Tomek. A ponieważ te akta ledwie mieściły się w jednym pokoju, poprosiłem o przygotowanie aktu oskarżenia, który dostarczono mi do czytelni. Niemniej i tak zdębiałem, gdy ujrzałem sześć tomów, w których zawarto aż 1000 stron z dokładnym wyliczeniem, co i za ile Stowarzyszenie Helper „przekręciło". Wtedy to, w tekście do PRZEGLĄDU postawiłem – za jednym mądrym prawnikiem – śmiałą tezę, że tę sprawę trzeba by podzielić na części i rozpoznawać osobno. Wtedy pójdzie szybciej. Zareagował na to wiceprezes (z nadania PiS) sądu okręgowego, domagając się sprostowania. Jednak sekretarz naszej redakcji Joanna Wielgat nie ugięła się, wytykając mu, że nie zna prawa prasowego. Ten wiceprezes już stracił stanowisko, niemniej i on szybko, w ciągu dwóch-trzech dni, zazwyczaj akceptował moje wnioski o dostęp do akt wybranych spraw, które opisywałem również w magazynie kryminalistycznym.

•

Nie ukrywam, że przez lata nawiązałem sympatyczne kontakty z sekretariatem wydziału karnego SO, bo pozostałe wydziały to inna historia; albo zajmują się powszednimi, nudnymi w sumie sprawami, albo procesy są wyłączone z jawności, jeśli strony nie chcą obserwatorów. Tak samo niejawne są z zasady procesy ze słynnego art. 212 k.k., gdy na ławie oskarżonych zasiadają osoby z prywatnego aktu oskarżenia. Są to zazwyczaj pyskówki godne pióra Stefana „Wiecha" Wiecheckiego albo „Kibica" (czyli Jerzego Urbana). O art. 212 mówi się, że to bat na dziennikarzy, bo jeśli politykowi nie podoba się tekst o nim w gazecie, skarży dziennikarza w sądzie karnym, a sąd musi (!) zająć się sprawą bez względu na to, czy oskarżyciel prywatny ma rację, czy to tylko jego subiektywne wrażenie. Dlatego sądy od razu namawiają strony do ugody, żeby szybko zdjąć taki kłopotliwy proces z wokandy. Jeśli nie ma zgody i pojednania, sędzia musi przeprowadzić postępowanie sądowe. Taki jest zapis w prawie.

Przypadkowo i ja znalazłem się w takiej sytuacji, gdy „jedna pani drugiej pani" przekazała, co rzekomo o niej powiedziałem – w prywatnej rozmowie telefonicznej. Nie ma żadnego dowodu w postaci zapisu w prasie, a nawet w mediach społecznościowych i problem leży chyba w psychice oskarżycielki prywatnej, która żąda przeprosin w lokalnej gazecie. Co w ogóle jest nierealne, bo przepraszając, musiałbym się przyznać do winy, czyli do przypisanych mi słów obraźliwych dla tej pani. Niestety, na salę sądową nie mogę zaprosić żadnego kolegi reportera, bo druga strona nie godzi się na jawność rozprawy. I ta absurdalna sprawa ciągnie się już drugi rok. Sam raczej też nie będę mógł jej opisać, nawet gdy zapadnie wyrok, choć pewnie spróbuję. Tutaj dostrzegam pewną trudność, co nie znaczy, że to wina sądu.

Autor współpracuje z tygodnikiem „Przegląd" i magazynem kryminalnym „Detektyw"

Wulgaryzmy Lempart

Paweł Dybicz

Odrzucenie ustawy depenalizującej aborcję wywołało irytację nie tylko kobiet. Środowiska feministyczne zorganizowały protesty, w których dały jasny sygnał, że nie zrezygnują z walki o zmianę ustawy aborcyjnej. Wśród wielu aktywistek zabierających głos w proteście przed Sejmem była Marta Lempart. Z całego wystąpienia zapamiętany zostanie tylko stek przekleństw, które miotała z trybuny. To, co ona robi – a dokładnie mówi – jest nie tylko psuciem debaty politycznej, ale pokazywaniem, że nie obowiązują w niej żadne normy.

Gdyby jakiś Iksiński publicznie wyrzucał z siebie tyle wulgaryzmów, zainteresowaliby się nim policja i prokurator, a pewnie i sąd. Nie brakuje głosów prawników, że Marta Lempart podpada pod Kodeks wykroczeń, a nawet Kodeks karny. Jej bezkarność będzie też obciążeniem dla nowej władzy. Wcześniej czy później podwładni ministra Adama Bodnara będą musieli zareagować na te bluzgi.

Wszyscy, którzy chcieliby złagodzenia przepisów dotyczących przerywania ciąży, a przede wszystkim środowiska feministyczne, muszą sobie zadać pytanie, czy wystąpienia Marty Lempart sprzyjają im i pomagają w osiągnięciu celów. Uchwalenie ustawy aborcyjnej i uzyskanie dla niej aprobaty prezydenta Dudy to nierealna perspektywa. Bardziej prawdopodobne jest referendum w tej sprawie.

Dziś Marta Lempart jest sojuszniczką mediów prawicowych, bo atakuje Donalda Tuska i Władysława Kosiniaka-Kamysza, ale w kampanii referendalnej przeciwnicy zmian w tej ustawie będą w swoich spotach pokazywać bluzgającą Lempart z komentarzem: patrzcie, kim są te wściekłe feministki.

Marta Lempart sprawi jeszcze niejeden kłopot środowiskom feministycznym. Im prędzej się z nią rozstaną, tym lepiej dla nich i dla sprawy ustawy aborcyjnej. ■

FOT. SHUTTERSTOCK, ATTILA HUSEJNOW/FORUM

eprasa.pl 23ffd6e8db

Krzysztof Teodor Toeplitz – obserwator życia

Przez kilkanaście lat napisał dla nas ponad 800 felietonów. Wielu ludzi kupowało „Przegląd” dla KTT

Kolejny tom serii Polscy Krytycy Filmowi Wydawnictwa Naukowego Scholar poświęcony jest Krzysztofowi Teodorowi Toeplitzowi, jednemu z najciekawszych intelektualistów PRL, a naszym czytelnikom znanego z cotygodniowych felietonów. W znacznej mierze słynnego KTT określają właśnie ówczesne: polityka, kultura, funkcjonowanie w środowiskach dziennikarskich i artystycznych. Był postacią mającą niemały wpływ na poglądy i postawy odbiorców, lecz także człowiekiem pełnym sprzeczności. Z jednej strony silnie osadzony w rzeczywistości PRL, z drugiej – jeden z najlepszych znawców kultury Zachodu, ważny i wpływowy propagator wiedzy o niej, proponujący otwarcie się na przynajmniej niektóre płynące stamtąd tendencje. Jego erudycja i błyskotliwość również z dzisiejszej perspektywy czynią go kimś wyjątkowym – nie bez powodu zaliczany jest do najbardziej przenikliwych krytyków kultury – choć jego postawy budziły zarówno wówczas, jak i budzą współcześnie kontrowersje.

W książce publikują: Andrzej Fogtt, Barbara Giza, Wiesław Godzic, Jarosław Grzechowiak, Mariusz Guzek, Justyna Jaworska, Marcin Kowalczyk, Artur Kowalski, Tadeusz Lubelski, Daria Mazur, Michał Przeperski, Piotr Sitarski, Dorota Skotarczak, Piotr Zwierzchowski.

Kolejne tomy serii dotyczyć będą innych ważnych dla polskiej krytyki filmowej postaci, m.in. Bolesława Michałka i Zygmunta Kałużyńskiego. Zamiarem redaktorów jest naszkicowanie obrazu krytyki oraz zrekonstruowanie roli, jaką niegdyś odgrywała – piszą Barbara Giza i Piotr Zwierzchowski.

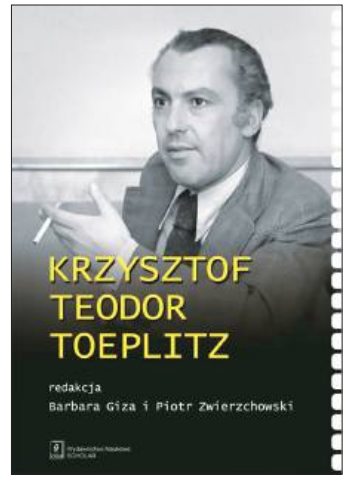

Barbara Giza, Piotr Zwierzchowski (red.), *Krzysztof Teodor Toeplitz, seria Polscy Krytycy Filmowi*, tom 6, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2024.

Jarosław Grzechowiak

Krzysztof Teodor Toeplitz urodził się 28 stycznia 1933 r. w Otrębusach pod Warszawą. Jego ojciec, Kazimierz, z zawodu demograf, tworzył Warszawską Spółdzielnię Mieszkaniową, to również wieloletni członek Polskiej Partii Socjalistycznej. Matka, Eugenia, była nauczycielką. Stryj Krzysztofa Teodora, Jerzy Toeplitz, był po wojnie m.in. wieloletnim rektorem Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej i Filmowej im. Leona Schillera w Łodzi.

Krzysztof Teodor Toeplitz ukończył Gimnazjum i Liceum im. Stefana Batorego. Już przed uzyskaniem świadectwa dojrzałości publikował recenzje filmowe. W 1955 r. ukończył studia magisterskie z historii sztuki na Uniwersytecie Warszawskim. W tym samym roku otrzymał stanowisko kierownika literackiego Zespołu Filmowego „Kadr”. Trafił tam z poręki Tadeusza Konwickiego, który po latach wspominał:

> Musiałem przy jakiejś okazji poznać Kawalerowicza i Ludwika Hagera [szefa produkcji „Kadru” – przyp. aut.]. (…) Kiedy stworzyła się możliwość założenia zespołów, chyba proponowali mi, żebym przystąpił do nich jako kierownik literacki. Ale ja pracowałem wtedy w „Nowej Kulturze” i podałem im kandydaturę mojego wychowanka, niejakiego Krzysztofa Teodora Toeplitza (…). Wydawało mi się, że on taki młody, nabity filmem, będzie dobrym kierownikiem literackim. Ale jakoś im się nie układało, więc po pewnym czasie, czując się odpowiedzialnym za sytuację, sam wziąłem posadę kierownika literackiego. To było chyba na początku października 1956 r.

W kolejnych dekadach Toeplitz pracował jako dziennikarz kulturalny, krytyk filmowy, publicysta i scenarzysta, był również członkiem redakcji i redaktorem naczelnym wielu dzienników i czasopism. Prowadził także działalność pedagogiczną – wykładał m.in. w PWST w Warszawie (1973-1981) oraz PWSFTviT w Łodzi (1983-1990). W latach 1979-1980 był kierownikiem literackim w Zespole Filmowym „Iluzjon” (kierownik artystyczny: Czesław Petelski), w 1981 r. wrócił na to samo stanowisko do „Kadru” i pełnił tę funkcję do 1987 r. Otrzymał wiele nagród i odznaczeń, m.in. Nagrodę im. Karola Irzykowskiego za krytykę filmową (1966), Nagrodę Państwową III stopnia (1967), Nagrodę Główną I stopnia Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej (1989).

eprasa.pl 23ffd6e8db

Działalność czasopiśmiennicza. Twórczość eseistyczna i literacka

Słownik biobibliograficzny „Współcześni polscy pisarze i badacze literatury" podaje, że pierwszy swój tekst KTT opublikował w 1947 r. w piśmie „Młodzi Idą" – organie prasowym Organizacji Młodzieżowej Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego. W numerze podanym w słowniku trudno znaleźć jednak recenzję filmu „My z Kronsztadu", która miała być debiutem nastoletniego wówczas i początkującego krytyka filmowego. Sam Toeplitz w wywiadzie udzielonym w 1992 r. stwierdził: „Zacząłem pisać krytyki filmowe zaraz po wojnie dla pisma »Walka Młodych«, a później przeniosłem się do »Po Prostu« i tam zacząłem pisać już felieton cotygodniowy".

Niezależnie od rzeczywistego tytułu, w którym bohater książki opublikował swój pierwszy artykuł, jego juwenilia, drukowane w pismach organizacji młodzieżowych, będących przybudówkami Polskiej Partii Robotniczej, a następnie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, otworzyły Toeplitzowi drogę do pracy w kolejnych, już bardziej liczących się tytułach. Między innymi od 1950 r. regularnie publikował w „Nowej Kulturze". Artykuły filmowe, pisane tam od czerwca 1953 do maja 1955 r. pod wspólnym tytułem „W kinie i gdzie indziej", zostały później zebrane i wydane w roku 1956 w książce „Groch o ekran". W latach 50. rozpoczął również pracę m.in. w „Przeglądzie Kulturalnym", „Dialogu" czy tygodniku „Świat", a od 1960 r. należał do zespołu tygodnika „Szpilki". Warto dodać, że teksty Toeplitza z połowy tej dekady, jakkolwiek wpisujące się w styl i konwencję ówczesnych artykułów, poruszały zagadnienia i wprowadzały tematy odważne, objęte dotychczas zakazami, co sprowadzało na ich autora ingerencje cenzury. Tak się stało z publikowanym w „Nowej Kulturze" cyklem „Nasze czasy", który w 1956 r. został zdjęty z łamów. Same czasopisma, z którymi możemy łączyć Toeplitza, należały do najważniejszych i najczęściej czytanych w okresie Odwilży. Miał on także okazję współpracować z istotnymi postaciami polskiego dziennikarstwa – m.in. w „Świecie" z Jerzym Waldorffem i Marianem Brandysem. Również w tej dekadzie Toeplitz (wspólnie ze swoim rówieśnikiem – literatem Krzysztofem Gruszczyńskim) pokusił się o stworzenie powieści kryminalnej. Ich wspólna praca zaowocowała wydanym w 1958 r. (pod pseudonimem Krzysztof Deuter) kryminałem „Dziewiąte ramię ośmiornicy". W tym samym roku na jej podstawie powstał spektakl Teatru Telewizji „Kto z nas jest mordercą?"

Ostatni artykuł KTT ukazał się w „Przeglądzie" niespełna dwa tygodnie przed jego śmiercią.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 23ffd6e8db

(w reż. Marka T. Nowakowskiego, z Mieczysławem Pawlikowskim w roli głównej), a w 1974 r. – słuchowisko radiowe (w reż. Zofii Rakowieckiej, z udziałem Stanisława Mikulskiego, Zdzisława Tobiasza i Mieczysława Mileckiego).

W latach 60. Toeplitz pracował w „Szpilkach", publikując tam m.in. felietony pod wspólnym cyklem „Litość i trwoga", natomiast od 1963 r. związał się również z „Kulturą" – pismem powstałym z połączenia zlikwidowanych „Nowej Kultury" i „Przeglądu Kulturalnego". Tam właśnie przez blisko 20 lat drukowano cykl jego felietonów „Kuchnia polska", w którym autor podejmował tematy związane z życiem społecznym, obyczajowością i kulturą masową, nie szczędząc często ironicznych komentarzy i spostrzeżeń. Jeszcze jako dziennikarz „Przeglądu Kulturalnego" starał się natomiast polemizować m.in. z przedstawicielami nacjonalistycznej frakcji PZPR. Odnosił się na łamach pisma chociażby do publikacji płk. Zbigniewa Załuskiego „Siedem polskich grzechów głównych". Uważał, że

> (…) choć twierdzenia pułkownika mijały się czasem z faktami, to jednak nie wynikało to z niewiedzy autora, lecz z chęci udowodnienia z góry przyjętej tezy. Książka stanowiła bowiem jedno wielkie „wołanie o ideologię", zrodzone na podglebiu „małej stabilizacji". Koncentrowanie się obywateli na zabiegach o lepsze warunki życia wywoływało tęsknotę „za ideałami wyższymi niż codzienna egzystencja". Tęsknoty te w wypadku Załuskiego – jak zauważał Toeplitz – biegły bardziej w stronę „żołnierzy aniżeli reformatorów, bohaterów niż myślicieli, kombatantów niż ludzi dnia dzisiejszego".

W tej dekadzie Toeplitz związał się również na trwałe z telewizją, czego efektem był m.in. cykl programów „Słownik wyrazów obcych", nadawany od 1965 r., który miał wiele wspólnego z czasopiśmienniczą działalnością Toeplitza, gdyż, jak zaznacza Andrzej Kozieł,

> (…) była to pierwsza próba przeniesienia na ekran felietonów prasowych, ich specyfiki i klimatu. Problem-pretekst w dowcipny, lekki, parodystyczny sposób prezentowali aktorzy w kilkunastu scenkach i, w ciągu 10 minut, dzięki trickom, szybkiemu i „ostremu" montażowi, widz był świadkiem wielu gagów i dowcipnych puent.

W drugiej połowie dekady Toeplitz rozpoczął współpracę m.in. z „Trybuną Robotniczą" i „Miesięcznikiem Literackim", a od 1969 r. pełnił funkcję redaktora naczelnego „Szpilek". W latach 60. ukazały się jego kolejne publikacje, będące przede wszystkim zbiorami felietonów na temat historii kina i jego współczesnego oblicza – „Seans mitologiczny" (1961), „Kino dla wszystkich" (1964), „Świat bez grzechu i jego obraz w filmie" (1964) czy „Sekrety filmu" (1967), by wymienić tylko kilka najważniejszych. Do historii polskiej felietonistyki przeszedł również jego słynny tekst „Mława atakuje", swego rodzaju sprawozdanie z PRL, w którym autor piętnował chamstwo, brak kultury i dobrych manier oraz „tumiwisizm" ówczesnych obywateli. Daniel Passent po latach uważał to za jeden z najlepszych tekstów Krzysztofa Teodora Toeplitza, a jego spostrzeżenia – za swego rodzaju celny opis minionych czasów.

Jerzy Gruza: Unosił się na dwóch skrzydłach. Jedno to było rzetelna wiedza, prawie na każdy temat. A drugie to jest obserwacja życia, która u niego była fenomenalna.

Lata 70. były dla Toeplitza czasem jeszcze bardziej wytężonej pracy – nie tylko ze względu na działalność scenariopisarską, lecz również z uwagi na kolejne dzienniki i czasopisma, z którymi nawiązywał współpracę. Do 1975 r. pracował jako redaktor naczelny „Szpilek", ale przez całą dekadę publikował też m.in. na łamach „Polityki", „Życia Warszawy" i „Teatru", nie mówiąc o dalszym tworzeniu artykułów dla wielu tytułów, z którymi związał się już w poprzednich latach. Druga połowa tej dekady to czas narastającego kryzysu ekonomicznego i politycznego. Toeplitz, jakkolwiek dystansował się wobec ówczesnej sfery rządowej i partyjnej, nie zdecydował się, wzorem części przedstawicieli środowiska dziennikarskiego, przyłączyć do rozwijających się organizacji opozycji demokratycznej. Nie rezygnował też z zainteresowań kulturą masową – w 1978 r. ukazała się m.in. kolejna jego książka „Wszystko dla wszystkich. Kultura masowa i człowiek współczesny", w 1979 r. wydano następne dwa zbiory jego felietonów – „Sensacje filmowe" oraz „Szkice edynburskie, czyli system telewizji". Niebawem zaś przyszedł czas opowiedzenia się i jednoznacznej deklaracji po jednej ze stron – rok 1980, pojawienie się „Solidarności", a następnie, 13 grudnia 1981 r., wprowadzenie stanu wojennego. Dziennikarz zajął wówczas stanowisko propartyjne, bronił decyzji Rady Państwa i generała Wojciecha Jaruzelskiego, czym naraził się na środowiskowy bojkot i ostracyzm. Wojciech Orliński, dziennikarz i współpracownik Toeplitza już w nowej rzeczywistości politycznej, twierdził:

> Moje pokolenie nigdy nie mogło mu tego wybaczyć, choć jednocześnie dla mnie książki Toeplitza (…) już wtedy były ważnymi podręcznikami rozumienia popkultury. Czytałem wtedy Toeplitza tak jak Kałużyńskiego czy Passenta, nie zgadzając się z ich bieżącymi wyborami politycznymi, ale szanując ich talent i erudycję. (…) Gdy chciałem się z nim spierać o jego postawę w stanie wojennym, zwykle ucinał rozmowę, mówiąc: „Pan poczeka, aż tu trochę porządzi endecja, wtedy wróćmy do tego tematu".

Jednocześnie nadal pozostawał znakomitym badaczem kultury masowej. W 1985 r. ukazała się jego „Sztuka komiksu. Próba definicji nowego gatunku artystycznego", będąca drukowaną wersją nieobronionej pracy doktorskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Recenzujący ją kilka lat po publikacji Wojciech Birek uznał, że

> (…) jest to (…) pierwsza tak obszerna praca poświęcona temu

eprasa.pl 23ffd6e8db

zjawisku; należy traktować ją jako próbę przybliżenia go polskiemu odbiorcy, próbę wyznaczenia problematyki – propozycję teoretyczną sygnalizującą zagadnienie i prowokującą do jego podjęcia.

W pierwszej dekadzie po zmianach ustrojowych Toeplitz cały czas próbował swoich sił jako dziennikarz i redaktor naczelny pism kulturalnych. W 1994 r. rozpoczęły działalność redagowane przez niego „Wiadomości Kulturalne". W skład redakcji weszli zarówno Aleksander Małachowski i Janusz Atlas, jak też – kojarzony jednoznacznie z poprzednim systemem – Kazimierz Koźniewski. „Wiadomości Kulturalne" swoją żywotność zawdzięczały ówczesnemu ministrowi kultury, Kazimierzowi Dejmkowi. Zdaniem Michała Jagiełły – po latach decyzja o przyznaniu wysokiej dotacji na funkcjonowanie tego pisma „kładzie się cieniem" na ocenie działalności tego znakomitego reżysera teatralnego w strukturach rządowych. Pismo ukazywało się do 1998 r., kiedy po kolejnych wyborach parlamentarnych i ukonstytuowaniu nowego rządu cofnięto środki finansowe na jego wydawanie. Po tym fakcie Toeplitz stał się felietonistą tygodnika „Przegląd". Ostatni artykuł KTT ukazał się w tym periodyku niespełna dwa tygodnie przed jego śmiercią. Jerzy Domański, wieloletni redaktor naczelny czasopisma, zapamiętał, że (…) przez kilkanaście lat (…) napisał ponad 800 felietonów. (…) Jak nie było go przez jakiś czas na łamach „Przeglądu", chorował, wyjeżdżał, natychmiast litania telefonów, natychmiast pytania, co się dzieje, dlaczego go nie ma. (…) Wielu ludzi kupowało „Przegląd" dla KTT. (…)

Działalność polityczna

Czy w przypadku bohatera tejże publikacji można mówić o jakiejkolwiek działalności politycznej? Wszak Krzysztof Teodor Toeplitz nie należał ani do PZPR, ani do „Solidarności" lub innych organizacji opozycji antykomunistycznej. Jednak w 1981 r. jednoznacznie poparł wprowadzenie stanu wojennego. Jego nazwisko znalazło się również w „Skorowidzu nazwisk osób przewidzianych do wykorzystania w działaniach wspierających politykę władz państwowych" sporządzonym w październiku 1981 r. i uaktualnionym w grudniu 1982 r. W 1989 r. Krzysztof Teodor Toeplitz brał udział w obradach Okrągłego Stołu. Uczestniczył w posiedzeniach Podzespołu do spraw Środków Masowego Przekazu. Reprezentował stronę partyjną, chociaż kilkukrotnie podczas dyskusji nadmieniał:

> (…) moja sytuacja tutaj jest komfortowa, to znaczy, że nie reprezentuję ani żadnego stronnictwa, ani żadnej partii, ani żadnej siły społecznej, tylko samego siebie. I przystępując do tych negocjacji, siadając po tej stronie, założyłem sobie, że obowiązuje mnie jakby potrójna lojalność: lojalność wobec strony, po której usiadłem, lojalność wobec partnerów, których racje, argumenty, powinienem wysłuchać, uwzględniać i uważać za formułowane w dobrej wierze, oraz lojalność wobec samego siebie, wobec swojego poglądu na to, jak sobie wyobrażam system ładu informacyjnego w nowych warunkach.

W kolejnych latach Toeplitz często poruszał tematy polityczne w publikowanych przez siebie felietonach (m.in. na łamach „Przeglądu"). W 2004 r. z kolei wystartował w wyborach do Parlamentu Europejskiego z listy Komitetu Wyborczego Socjaldemokracji Polskiej w okręgu nr 5. Partia ta uzyskała w tych wyborach ok. 4% głosów, tym samym Toeplitz nie miał możliwości otrzymania mandatu europosła. W kolejnych latach dziennikarz nie wiązał się już z żadnym ugrupowaniem politycznym.

Zmarł 30 marca 2010 r. w Warszawie. We wspomnieniach ludzi, którzy zetknęli się z nim zawodowo i prywatnie, pobrzmiewały stwierdzenia opisujące stratę wielkiego talentu i odejście niezwykłego erudyty. Jerzy Gruza zaznaczał, że dziennikarz „unosił się na dwóch skrzydłach. Jedno to było rzetelna, prawdziwa wiedza, prawie na każdy temat. (…) A drugie to jest obserwacja życia, która u niego była fenomenalna". Daniel Passent uznał, że był on dla niego „wzorem publicysty, felietonisty i humanisty. (…) Jako felietonista należał do ścisłej elity", stawiał go w jednym szeregu z Antonim Słonimskim i Stefanem Kisielewskim. Przy czym stwierdził, że

> (…) Toeplitz budził spory i będzie budził spory ze względu na swoje opinie, ze względu na swoje stanowisko polityczne. On należał do krytycznych dziennikarzy w Polsce Ludowej i był również krytycznym dziennikarzem w okresie „Solidarności" w stosunku do „Solidarności", i po 1989 r., w III RP również widział wiele wad.

Kazimierz Kutz: Nieustannie krytykował polskie kino artystyczne. Cały czas podważał sens naszych dokonań i myśmy musieli liczyć się z jego opinią.

Kazimierz Kutz, reżyser „Sławy i chwały", zapamiętał zaś, że

> (…) Toeplitz (…) nie uznawał kina artystycznego. (…) Nieustannie krytykował polskie kino artystyczne, szkołę polską, dlatego, że on uważał, że kino jest rozrywką, jest częścią kultury popularnej. (…) On był przez całe życie konsekwentny i mogę powiedzieć, że ma on pewne zasługi wobec polskiego kina, dlatego, że on cały czas podważał sens naszych dokonań i myśmy musieli liczyć się z jego opinią.

Dr Jarosław Grzechowiak – filmoznawca i historyk filmu polskiego. Wykładowca Uniwersytetu Łódzkiego oraz łódzkiej Filmówki. W latach 2018-2022 pracownik Filmoteki Narodowej – Instytutu Audiowizualnego. Autor artykułów publikowanych m.in. w „Kinie" i „Kwartalniku Filmowym". Organizator przeglądów i wydarzeń filmowych.

Teksty KTT były publikowane przez wiele lat na łamach PRZEGLĄDU.
Znajdziesz je w naszym ARCHIWUM.
Kup dostęp do bieżącego i archiwalnych numerów na tygodnikprzeglad.pl.

eprasa.pl 23ffd6e8db

Na pierwszym planie

Małgorzata Szumowska i Michał Englert obdarzają mnie zaufaniem, pada między nami tylko tyle słów, ile trzeba

Rozmawia Wojciech Tutaj

MAŁGORZATA HAJEWSKA-KRZYSZTOFIK
– aktorka teatralna i filmowa, pedagog

Spotykamy się na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym Tofifest, kilka miesięcy po premierze kinowej „Kobiety z…". To już czwarty film Małgorzaty Szumowskiej, w którym pani gra. Co decyduje o trwałości tej współpracy?

– Od razu sprostuję, że rozmawiamy o relacji z dwojgiem reżyserów, Małgorzatą Szumowską i Michałem Englertem. Dawniej Michał nie angażował się tak bardzo w reżyserię, ale jako operator wywierał znaczny wpływ na kształt ich wspólnych filmów. Pytanie, dlaczego nasza współpraca trwa tak długo, powinno zaś się kierować do twórców, bo to oni zawsze wychodzą z inicjatywą.

Poznaliście się na planie „Szczęśliwego człowieka" w okolicach 2000 r.?

– Małgosię spotykałam już wcześniej, w sytuacjach czysto towarzyskich. Śmieję się, że to typowo krakowska znajomość. Kraków jest na tyle mały, że prędzej czy później nasze drogi musiały się tam przeciąć. Kiedy pierwszy raz pracowałam z Małgośką, miałam wrażenie, że już trochę się znamy. Teraz całkiem sporo o sobie wiemy i czasem się przekomarzamy, dopowiadając anegdoty z przeszłości.

Co pani najbardziej ceni w waszej relacji zawodowej?

– W tej konkretnej relacji podoba mi się to, że nie trzeba tak dużo sobie opowiadać i tłumaczyć. Praca nie opiera się na wielogodzinnych rozmowach i wałkowaniu tematów związanych z nowym filmem. Małgorzata i Michał obdarzają mnie zaufaniem i pada między nami tylko tyle słów, ile trzeba. Nie mówię też, że nie przesiadywaliśmy długo nad scenariuszami, zwłaszcza w przypadku „Kobiety z…". Po prostu nasze kolejne spotkania krążyły wokół innych, bardziej przyziemnych spraw. Dyskutowaliśmy o życiu, o świecie, o jedzeniu. Nasza relacja jest zdrowa, nieprzeładowana. Przy każdej współpracy z Małgosią towarzyszyło mi też poczucie, jakby miała jeden dodatkowy zmysł.

Co ma pani na myśli?

– Wskazówki reżyserskie wykraczają daleko poza sam scenariusz. Przypominam sobie pracę nad

Małgorzata Hajewska-Krzysztofik – (ur. w 1965 r.) ukończyła Wydział Aktorski PWST w Krakowie. Należy do zespołu Nowego Teatru w Warszawie. Współpracowała z Krystianem Lupą, Jerzym Jarockim, Jerzym Grzegorzewskim, Andrzejem Wajdą, Grzegorzem Jarzyną i Krzysztofem Warlikowskim. Wyróżniona nagrodą „Feliks Warszawski" za rolę Agawe w „Bachantkach" w Teatrze Rozmaitości i za rolę w „(A)pollonii" w Nowym Teatrze. Na FPFF w Gdyni otrzymała nagrody za drugoplanowe role kobiece w filmach „33 sceny z życia" i „Iluzja". Odznaczona Srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis".

eprasa.pl 23ffd6e8db

„33 scenami z życia". Miejsce, w którym spacerowałam z moim filmowym mężem, było dla nas ważną podpowiedzią. Dużo sugerują mi też wybory obsadowe, np. kto gra mojego partnera albo młodszą wersję mojej postaci. Wbrew pozorom to konkretny zestaw informacji, bo wiem, że jakiś rodzaj wrażliwości łączy mnie z innym aktorem lub aktorką i nieprzypadkowo zostajemy sparowani. Liczą się jeszcze mniej oczywiste detale. Podpowiedzią może być scenografia, czyli sposób, w jaki Michał buduje przestrzeń. Albo co mu się podoba danego dnia w pogodzie i czy uważa, że dane pomieszczenie trzeba rozświetlić lub przyciemnić. Kiedy realizowaliśmy „Kobietę z…", Michał tłumaczył mi, że widz będzie oglądał świat oczami głównej bohaterki, Anieli Wesoły. Chciałam skorzystać z tej uwagi, bo uznałam, że odnosi się do wizji reżyserskiej, nie operatorskiej.

„Kobieta z…" pokazuje zmiany w życiu transpłciowej Anieli, którą obserwujemy w ciągu 45 lat. Młodszą wersję gra Mateusz Więcławek, a w jej dorosłym wcieleniu widzimy panią. Po przeczytaniu scenariusza od razu chciała pani wejść w ten projekt?

– Dopiero z czasem zaczynam doceniać scenariusz „Kobiety z…". Początkowo bałam się, że nie czuję, kim jest moja bohaterka. Później zrozumiałam, że odpowiedź na to pytanie leży po mojej stronie. Zagadywałam nawet Michała, jaką Aniela lubi muzykę, jakie ma hobby. Nie umiałam wyczytać tych rzeczy w tekście. Twórcy chcieli, żebym napisała dziennik Anieli, który w końcu znajduje jej żona. Wypełniliśmy z Mateuszem Więcławkiem cały zeszyt, przekazaliśmy go rekwizytorom i do nas nie wrócił. Ciekawe, co się z nim stało, miałabym pamiątkę z planu. Wspólne pisanie wprawiało nas w przyjemny stan podczas przygotowań i pozwoliło zbliżyć się do postaci.

Rzadko się zdarza, żeby w jednym filmie dwoje aktorów grało rolę tej samej osoby. Czy taka sytuacja utrudnia zbudowanie ciągłości psychologicznej i charakterologicznej postaci?

– W pracy z Mateuszem nie napotkałam wspomnianego problemu, ale nie ma reguły. Chyba po prostu polubiliśmy się od pierwszego wejrzenia i nasza sympatia trwa. Kiedy Michał zaproponował mi pisanie dziennika Anieli, zwróciłam się do Mateusza, zdradziłam mu, co robię i poprosiłam, żeby coś mi opowiedział. Doszliśmy do tego, że musimy razem się zastanawiać nad rozterkami naszej postaci, bo fabuła naturalnie łączy obie role. Z fragmentów scenariusza wiedziałam już, co przeżyła Aniela w dzieciństwie i młodości, a Mateusz wiedział, z jakich emocji musi czerpać, żeby zbudować jej młodsze wcielenie. Resztę pracy wykonują reżyserzy, łącząc kolejne etapy biografii bohaterki. Ten proces nie jest aż tak skomplikowany.

Z kim konsultowaliście się w kwestii transpłciowości i co najbardziej pomogło w zrozumieniu sytuacji takich osób jak Aniela?

– Kontaktowaliśmy się z Angelą Getler, Anu Czerwińskim, Edytą Baker, Anną Grodzką i Zenobią Żaczek. Miałam też sceny z Pepe Le Puke i Filipką Rutkowską. Pomocne okazały się oczywiście literatura i filmy. W scenach terapii grupowej pojawiały się dodatkowe osoby, które mówiły o doświadczeniu transpłciowości. W którymś momencie poczułam, że trzeba podziękować tym ludziom za świadectwa i znaleźć przestrzeń na wyselekcjonowanie potrzebnych informacji. Musiałam ocenić, co mi się przyda, i spróbować ożywić Anielę na własnych zasadach. W pracy aktorskiej najpierw jesteśmy bardzo głodni cudzych opowieści i rozmaitych podpowiedzi, ale później musimy wsłuchać się w potrzeby naszej postaci. Dodam, że losy głównej bohaterki też są zlepkiem kilku autonomicznych historii, a nie wiernym odpowiednikiem jednej biografii.

Docierają do was wiadomości, jak film jest odbierany?

– Uczestniczyłam w kilku spotkaniach z publicznością, na których zjawiały się osoby transpłciowe. Nie powiem, że podchodzę obojętnie do tego, jak „Kobieta z…" jest przyjmowana. Kiedy zaglądam na portal Filmweb i widzę średnią ocen użytkowników, trochę się nią przejmuję. Na razie

W pracy aktorskiej najpierw jesteśmy głodni cudzych opowieści, później musimy się wsłuchać w potrzeby naszej postaci.

Kadr z filmu „Kobieta z…",

FOT. WOJCIECH OLSZANKA/EAST NEWS, NEXT FILM

eprasa.pl 23ffd6e8db

jednak słyszałam same pozytywne komentarze. Więcej krytycznych uwag pojawiło się, zanim jeszcze film powstał, gdy wypłynęła informacja, że Anieli nie zagra osoba transpłciowa. Nie ma co też wyciągać pochopnych wniosków na podstawie niskiej frekwencji w kinach. Myślę, że potrzeba trochę czasu. Dajmy „Kobiecie z…" żyć własnym życiem i niech spełnia swoją funkcję. Ponadto film jest nie tylko opowieścią o doświadczeniu Anieli, ale i o skomplikowanych relacjach międzyludzkich.

Kreacja w „Kobiecie z…" jest pani pierwszą główną rolą w filmie fabularnym. Ta informacja wydaje się bardziej zaskakująca czy zastanawiająca? Pani dorobek teatralny jest przecież ogromny i trudno uwierzyć, że wcześniej nie dostała pani podobnej szansy.

– Faktycznie w „Kobiecie z…" pierwszy raz gram rolę tytułową. Cała sytuacja jest bardziej skomplikowana. Wracam do kwestii wzajemnego zrozumienia, że może padać między nami tylko tyle słów, ile trzeba. Nie wspominając o umiejętnym tłumaczeniu aktorowi swojej artystycznej wizji, bez względu na to, czy chodzi o dużą rolę, czy mniejszą. Na podłożu wymienionych elementów rodzą się zgrane zespoły filmowe i teatralne. Nawiążę tu do swoich doświadczeń z Krystianem Lupą, dla którego liczy się trzon w postaci bliskich współpracowników. Podobnie pracowali Jerzy Jarocki i Andrzej Wajda. Krzysztof Warlikowski kiedyś powiedział, że przy takim układzie nie trzeba zaczynać całej opowieści od nowa. Reżyser i aktorzy przepracowali już wspólnie pewne tematy i całkiem dobrze się znają. Nie muszą choćby dzielić się ulubionymi książkami, filmami.

Dla Krystiana Lupy liczy się trzon w postaci bliskich współpracowników. Podobnie pracowali Jerzy Jarocki i Andrzej Wajda.

A może po prostu bardziej angażowała się pani w teatr niż w film?

– Zawsze można dobrze zorganizować czas i wziąć urlop w teatrze. Skłamałbym, mówiąc, że występowanie na scenie było dla mnie najistotniejsze i nie znajdowałam miejsca na filmy. Mnóstwo ludzi łączyło obie dziedziny z sukcesami. Chyba po prostu żaden twórca ani reżyser castingu nie zobaczył we mnie kandydatki do głównej roli. Nie siedzę jednak w domu i nie myślę: „Boże, świat mnie nie chce". Wskazałabym może jeden albo dwa filmy zagraniczne, w których kobieta występowała na pierwszym planie i w których sama chciałabym zagrać. Nie próbuję przez to powiedzieć, że trudno dziś o znalezienie ciekawych propozycji w polskim kinie. Gdy pracowałam z Pawłem Maśloną nad „Atakiem paniki", przeżyłam coś fascynującego. Reżyser tworzył swój pełnometrażowy debiut fabularny, ale był doskonale przygotowany i wykazywał się ogromną dojrzałością. Zastanawiałam się, jak on to zorganizował, że miał czas na próby, że przystępowaliśmy do zdjęć w pełnej gotowości. Okazało się, że da się pracować inaczej.

Sugeruje pani, że zazwyczaj wszystko dzieje się w nadmiernym pośpiechu?

– Prawdziwym problemem jest sytuacja, kiedy próbuje się nam udowadniać, że można skondensować czas. Pamiętam, jak ktoś zasugerował, że przedstawienie teatralne da się zrealizować w ciągu sześciu tygodni, tak jak w niemieckich realiach. Powiedziano nam, że musimy się zmobilizować i przyśpieszyć zwyczajowe działania. Efekt końcowy niby był dobry, ale potem przechorowywaliśmy ten okres. Z czasem sześciotygodniowe przygotowania stały się niestety normą. Teraz w ogóle nie ma chwili, żeby sprawdzić jakąś scenę lub pozwolić sobie na eksperymentowanie. Ten pośpiech dotyczy wielu dziedzin życia. W pracy nad filmem pieniądz determinuje czas i wszystkie etapy zostają maksymalnie skrócone. Czasem z niedowierzaniem słyszę, ile scen można zrealizować na planach seriali w ciągu jednego dnia. I to bez wcześniejszego przygotowania! Jeśli dobrze wszystko rozplanowaliśmy i przemyśleliśmy, wtedy możemy pracować szybciej, czemu nie.

Wojciech Tutaj

eprasa.pl 23ffd6e8db

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Ustawa o wychowaniu w patriotyzmie i przeciwdziałaniu rewolucjom

Wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz, minister obrony narodowej, w iście olimpijskim stylu ściga się z własnym cieniem, tak bardzo chce być na przedzie politycznego peletonu. Pomysł goni pomysł, inicjatywa inicjatywę, wszystko to jednak sprawia wrażenie pewnego zagubienia. Można je zresztą zrozumieć – sam fakt, że lekarz zostaje ministrem wojny, wprowadza niemały dysonans. Bycie szefem obrotowej formacji politycznej (z każdym w interesie własnym) również nie ułatwia zajmowania postaw pryncypialnych, a tak widzi politykę wicepremier Władysław, kiedy jako rozwodnik grzmi na ewentualność prawnego usankcjonowania związków partnerskich, które mogłyby być trwalsze od jego małżeństwa sakramentalnego.

Ostatnimi czasy nasz bohater stanął na straży idei, że najlepsze jest centrum (polityczne, a nie porozumienie) i zaproponował użycie w tym celu pałki patriotyzmu. Wedle Kosiniaka-Kamysza konieczne jest uchwalenie ustawy, która kwestię patriotyzmu ujmie w rygory artykułów, zapisów, zobowiązań, zaleceń, ale i – co chyba konieczne – narzędzi dyscyplinujących. Można zaryzykować tezę, że jest to całkowicie nowatorskie w znaczeniu filozoficzno-politycznym podejście do pewnej postawy, która dotąd żywiła się swoją niejednorodną różnorodnością. W trudnych czasach, a nasze akurat w tym znaczeniu nie bardzo do nich należą, postawa manifestowania uczuć czy zachowań patriotycznych dotyczyła zawsze mniejszości – wymagało to odwagi, determinacji, braku wyrachowania, idealizmu, podejmowania ryzyka.

Patriotyzm jest zresztą dość młodym dzieckiem idei państwa narodowego, trochę ponad 200 lat w ludzkiej historii. To pogląd, że ojczyzna jest najważniejsza, że dla niej najlepiej ponosić ofiarę z życia, zdrowia, wolności; że nasze jest lepsze z definicji od inne; że identyfikacja narodowo-państwowa jest nadrzędną formą samookreślania się. Najpierw zatem jesteśmy Polakami (na ten przykład), potem ludźmi, a dalej co tam już chcecie – katolikami, piłkarzami, krakusami czy chłopami lub hrabiami.

Historycznie patrząc, wzorcową postacią antypatriotyczną była najbardziej znana na świecie Polka – rewolucjonistka Róża Luksemburg, która nie wzięła udziału w wyścigu o niepodległość Polski, uznając, że własne państwo narodowe będzie niezmiennie wyzyskiwać najsłabszych, że duma narodowa nie znosi podziałów klasowych, które najmocniej decydują o losie i życiu. Dlatego też Róży nienawidzili wszyscy – prawica (bo rewolucjonistka i Żydówka), socjaliści niepodległościowi (bo rewolucja ważniejsza niż własne państwo), komuniści (bo krytykowała rewolucję radziecką za uzurpacyjny i przemocowy sposób sprawowania władzy). Patrząc jednak na wiek XX z dzisiejszej perspektywy, widać wyraźnie, że to urodzona w Zamościu i wykształcona w Szwajcarii pierwsza Polka z doktoratem z ekonomii miała rację. Państwa narodowe w bezprzykładnie krwawym klinczu wojny światowej przyniosły światu, nie tylko Europie, niewyobrażalne okrucieństwo, dziesiątki ofiar, Zagładę i ruiny. To taki wtręt na marginesie.

Wracam do pomysłu na ustawę o patriotyzmie. Wicepremier Kosiniak-Kamysz podzielił się kilkoma wyjściowymi pomysłami, mówiąc o niej, że „będzie zbiorem rozwiązań mających na celu zatrzymanie jakiekolwiek rewolucji lewackiej czy prawackiej" i że w Polsce „jest miejsce dla ojców niepodległości, ale również dla bohaterów z 1989 roku". A dalej: „Nie może być tak, że za zmianą każdej kadencji rządu będzie zmiana kanonu lektur, bohaterów, o których uczy się w szkole. Nie może być tak, że podręczniki za każdą kadencją rządu będą wykreślać lub nakreślać nowe zdania i zadania. Musi być trzon, który jest niezmienny. My w naszych działaniach nie boimy się ani biskupów, ani lewaków. Gdybyśmy się bali jednych, nie weszlibyśmy w koalicję z Tuskiem, gdybyśmy się bali drugich, nie głosowalibyśmy zgodnie z naszymi sumieniami".

PSL wedle wszystkich kryteriów jest partią centrowo-konserwatywno-partykularną, czyli w istocie rzeczy wzorcowo prawicową. Kiedy się pojawia w dyskursie owo ulubione zaklęcie „ani lewica, ani prawica", to zawsze oznacza to jedynie wrogość wobec lewicy i skrywanie swojego prawicowego oblicza. W tych zaklęciach pojawiają się też demony z innych czasów. To, co Kosiniak nazywa rewolucją, jest po prostu zwykłą zmianą społeczną, która idzie wraz z czasem. Żadnej rewolucji na horyzoncie niestety nie widać. Prawicowa rewolucja, przed którą dla niepoznaki straszy prawicowy polityk, to najzwyklejsza restauracja ustrojowo-poglądowa.

Czy z takiego chaosu pojęciowego może się narodzić coś innego niż jakiś potworek patriotyczny? Czy powstanie policja patriotyczna? Czego będzie wymagać ustawa? Pustych, fałszywych zaklęć o Daszyńskim i Dmowskim, Morawieckim i Wałęsie? Tak właśnie w pełni prezentuje się instrumentalne traktowanie historii w oczach ignorantów. Tak na własne oczy oglądamy destrukcję, jakiej dokonały lata polityki historycznej po 1989 r. Groch z kapustą, umysłowy bigos w sosie wyimaginowanego patriotyzmu.

Będzie „patriotyczną" odwagą bycie przeciw takiemu „patriotyzmowi"? Nie zapowiada się to jakkolwiek dobrze. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 23ffd6e8db

Violetta Waluk

Olga Tokarczuk, pomysłodawczyni wydarzenia.

Olga Tokarczuk i Góry Literatury

Jak czytelnictwo, ekologia i równość promują Dolny Śląsk

Przyjeżdżają tu tysiące uczestników i niezwykli prowadzący, a atmosfera bliskości wciąż jest jednym z najważniejszych elementów wydarzenia – mówi Olga Tokarczuk o swoim 10. już Festiwalu Góry Literatury.

Głównym celem festiwalu jest aktywizowanie kulturalne i obywatelskie uczestników, promocja kultury i czytelnictwa, upowszechnianie postaw ekologicznych i równościowych oraz promocja regionu. W tym roku działo się to w 23 miejscowościach Dolnego Śląska i Opolszczyzny, m.in. w Nowej Rudzie, Kłodzku, Wałbrzychu, Świdnicy, Ludwikowicach Kłodzkich i tak małych ośrodkach jak Dzikowiec czy Opolnica. Centrum akcji stanowił Zamek Sarny w Ścinawce Górnej. Uczestnicy festiwalu mogli wybierać spośród 153 wydarzeń, w tym przedstawień teatralnych, koncertów, pokazów filmowych, warsztatów, seminariów i dyskusji. Wśród 230 gości znaleźli się wybitni artyści, naukowcy, pisarze i politycy. Bezpośrednio w wydarzeniach uczestniczyło ponad 50 tys. osób, w transmisjach online – 300 tys. Namieszała trochę pogoda, bo w Zamku Sarny wszystko działo się pod gołym niebem, i gwałtowna ulewa zmusiła do przerwania spotkania z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim.

Dzień na Zamku Sarny

Głośnym echem odbiła się dyskusja o kobietach. Joanna Kuciel-Frydryszak i Marta Strzelecka w rozmowie o swoich głośnych książkach wspomniały, że ta lektura często ośmielała czytelniczki do opowiedzenia mrocznych rodzinnych historii. Przekazy są tak intrygujące, że mogłyby wystarczyć na kolejne „Służące" i „Chłopki".

Inny punkt programu też wstrząsnął uczestnikami. Niby wiemy, że z klimatem i z planetą jest źle, ale Edwin Bendyk i Robert Skrzypczyński z naukową konsekwencją wykazali, jak blisko nam do katastrofy. Jednak wcale nie musi dojść do najgorszego, ale czy ludzie, a ściślej przywódcy państw, posłuchają naukowców? Nasza w tym rola, musimy to wymóc na rządzących, decydując się nawet na obywatelskie nieposłuszeństwo. Z rad naukowców wspomnę o pilnej konieczności wystudzenia wzrostu gospodarczego i poddaniu się prawom ekonomii ekologicznej. Ważne, by wszelkie transformacje były przeprowadzane sprawiedliwie, bo zrzucanie kosztów przemian na najsłabszych wywołuje bunt i protesty. Rady naukowców nie są popularne, wręcz obsesyjnie zwalczane. Oni sami mówią, że już przyzwyczaili się do hejtu i epitetów, wśród których ekoterroryści należą do łagodniejszych.

Paneliści Martin Kremer, konsul generalny Niemiec, i wiceminister spraw zagranicznych Marek Prawda mówili o drogach demokracji, ale nie pominęli problemów klimatu. – Cieszy – stwierdzili – że po latach skąpych kontaktów może nastąpić właściwa współpraca między naszymi krajami.

Festiwalowe dyskusje inspirowały książki lub inne publikacje. Tę o transpłciowości zapowiedziano w programie tak: „O zawiłościach związków między sztuką, tożsamością a reprezentacją porozmawiają osoby transpłciowe z różnych sfer działalności – aktywistycznej i edukacyjnej". Gośćmi byli Nina Kuta i Kacper Potępski, a dyskusją kierowała Karolina Gierdal.

Na finał dnia odbył jeszcze koncert i dyskusja z udziałem Olgi Tokarczuk.

Lekko i z humorem

Tak można rozmawiać na bardzo poważny temat, np. z dziedziny filozofii. Kto zna twórczość Olgi Tokarczuk, wie, jaki wpływ miał na nią Carl Gustav Jung. I właśnie na festiwalu zaistniały jego „Odpowiedzi Hiobowi", wznowione przez Wydawnictwo Literackie w serii „Inne Konstelacje Olgi Tokarczuk". To przedsięwzięcie jest dla noblistki ważne – decydowała m.in. o wyborze wznawianych tytułów, elementem okładek jest jej autograf, a do „Odpowiedzi Hiobowi"

eprasa.pl 23ffd6e8db

Festiwal Góry Literatury odbywał się od 4 do 14 lipca.

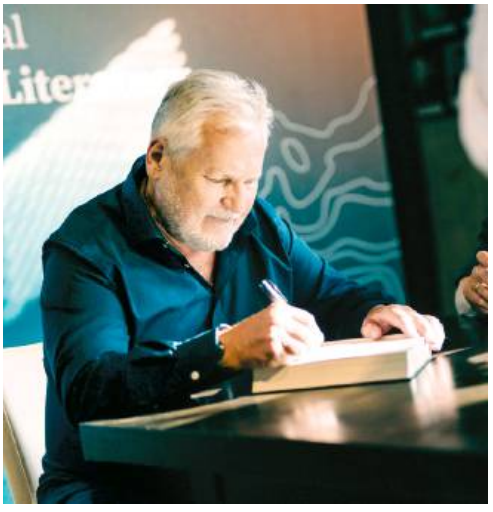

Wśród prelegentów był prezydent Aleksander Kwaśniewski.

napisała również posłowie. Noblistka wspomniała, że wybierając studia, postawiła na psychologię, bo tam mogła do woli zgłębiać myśl naukową Szwajcara. Próbowała sama propagować dorobek mistrza, wydając jedno z jego dzieł w swoim niewielkim wydawnictwie. – No cóż – mówi dziś z uśmiechem – pudła z egzemplarzami książki wciąż zalegają w zakamarkach mojego domu. Za to jednymi z nielicznych nabywców wcześniej wydanego dzieła byli uczestnicy tej dyskusji. Na scenie obok Olgi Tokarczuk zasiedli znawcy Junga – Leszek Kolankiewicz i Tomasz Stawiszyński

Sentymentalne okazało się spotkanie w wałbrzyskim Teatrze Dramatycznym, który wystawił w ubiegłych latach kilka adaptacji powieści Olgi Tokarczuk. Tym razem na deskach teatru zagościła amatorska grupa z Warszawy ze sztuką na podstawie niedużej powieści „E.E.", jednej z jej pierwszych. A przy okazji wizyty w teatrze i w mieście pisarka spotkała dawnych znajomych. Przecież mieszkała jakiś czas w Wałbrzychu. Jeśli już nie z tym miastem, to wciąż jest związana z tą częścią Dolnego Śląska. Niedaleko Ścinawki Górnej leży Krajanów i dom z zielonym zapleczem. Tam odbywały się pierwsze Góry, które z sentymentem wspominają ich uczestnicy. Góry mają niezwykły klimat. Ma na to wpływ z pewnością wysoka kultura osobista wszystkich uczestników. Aż dziw, że wśród takich tłumów, nie zdarzały się jakieś wybryki czy drobne ekscesy. I za to dziękował w finalnej mowie prezes fundacji noblistki Grzegorz Zygadło.

O szczególnej atmosferze na spotkaniach w Zamku Sarny decydowały też obecność przyjaznych zwierząt, niewadzących nikomu. W efekcie na dyskusje o przemyśle mięsnym, spowodowanych przez człowieka cierpieniach i nieprzewidywalnych tego skutkach, wielu uczestników reagowało szokiem. Stwierdzali, że zmieniają się im poglądy. A w punktach gastronomicznych serwowano wyłącznie potrawy wegetariańskie, wegańskie i przynajmniej bezmięsne. Podobne ograniczenia przyjęła zamkowa restauracja.

Po raz pierwszy na Góry Literatury wdrapali się tłumacze, głównie powieści Olgi Tokarczuk – łącznie 35 osób z różnych, także odległych stron świata. Skąd w nich ta pasja? Czasem był to sentyment do przodka, innym razem ktoś najbliższy nauczył języka dawnej ojczyzny i nie pozwolił zapomnieć, a niekiedy był to przypadek. Teraz mieli okazję poznać najnowsze pozycje naszej literatury. Niejeden pomyślał, że jeśli dobrze wybierze, to może zrobi interes życia, jak ci, którzy z uporem walczyli o druk nieznanej niegdyś autorki.

Ale nie zawsze było miło. Minister sprawiedliwości Adam Bodnar niemal wił się w ogniu pytań i uwag obrońców praw człowieka. Przypominano mu, co mówił rok temu o sytuacji na granicy z Białorusią i jak mu się widzenie problemu zmieniło, kiedy został ministrem. Odpowiedział, że podjął się przywrócenia praworządności w naszym kraju i o to walczy. Drugi raz Bodnar wystąpił w Starej Kopalni w Wałbrzychu, nie budząc już takich emocji. Było m.in. o karze za zbrodnie wojenne. Podkreślał, że jak i inne, muszą być nieuchronne.

Dostało się ministrze Barbarze Nowackiej za „walkę" z Jarosławem Markiem Rymkiewiczem przy tworzeniu kanonu lektur. Nie spodobała się też dyskutantom z nauczycielskich kręgów wizja naszej szkoły – najwspanialszej na świecie. Zaprotestowano: nie, nie najwspanialsza, niech będzie „normalna".

Dużą atrakcją były głośne czytania fragmentów wybranych powieści Olgi Tokarczuk przez samą autorkę oraz aktorów. „Księgi Jakubowe" prezentowali m.in. Andrzej Seweryn i Maciej Stuhr. Błyskotliwie dzielił się refleksjami o przeszłości i o tym, co może nas spotkać, prezydent Kwaśniewski. Nową książkę przedstawiał poczytny autor kryminałów Wojciech Chmielarz. Odbyła się również premiera nowego numeru „Notatnika Literackiego".

Góry są naprawdę wielkim świętem książki – w ciągu 11 festiwalowych dni sprzedano tu ponad 5 tys. egzemplarzy różnych tytułów. ■

FOT. JERZY WYPYCH

eprasa.pl 23ffd6e8db

Więcej na: www.jazznastarowce.pl, www.facebook.com/festiwaljazznastarowce.
Warszawa, Rynek Starego Miasta, 3 sierpnia, godz. 19

FESTIWAL

30. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce Nahorny Trio / Schmidt / Bogdanowicz / Biskupski – Freedom Book – Echoes Of Heyday

Życiorys Włodzimierza Nahornego to niemal cała historia polskiego jazzu. Jeden z najbardziej oryginalnych i wszechstronnych artystów – wybitny pianista, saksofonista, flecista, kompozytor, aranżer muzyki jazzowej, rozrywkowej, teatralnej i filmowej. Jego utrzymana w jazzowym kanonie pianistyka ma osobiste, słowiańskie zabarwienie. „Freedom Book – Echoes of Heyday" to kontynuacja płyty „Ballad Book – Okruchy dzieciństwa", pokazującej Nahornego jako mistrza liryki. Nahorny Trio z Mariuszem Bogdanowiczem na kontrabasie i Piotrem Biskupskim na perkusji istnieje nieprzerwanie od 1990 r. i jest najdłużej działającym w tym samym składzie zespołem w historii polskiego jazzu. W nowej odsłonie trio poszerzone zostało o wybitnego trębacza Piotra Schmidta. *(ap)*

NA EKRANACH

Wszyscy zagrożeni

Odkąd Disney+ udostępnił użytkownikom dostęp do wszystkich sezonów (a jest ich już 22!) tej animacji dla dorosłych w odcinkach, „Family Guy" przeżywa renesans. Media społecznościowe zalewane są cytatami z poszczególnych sezonów, a internauci prześcigają się w znalezieniu bardziej kontrowersyjnych żartów, którymi inkrustowana jest ta kultowa produkcja. Umówmy się: dla twórców nie ma tematów tabu. Ale jednocześnie sukces „Family Guy", którego bohaterami są małżeństwo, trójka dzieci, ich pies i przyjaciele, nie opiera się wyłącznie na kontrowersji. Ważny jest komentarz do aktualnych dyskusji, które toczą Stany Zjednoczone. Twórcy naśmiewają się z rasizmu, Trumpa, antysemityzmu i homofobii, a jednocześnie dają prztyczka w nos czarnym, Żydom czy gejom. Popularność kreskówki wzięła się z egalitarnego podejścia scenarzystów do obśmiewania bohaterów. Po prostu w serialu nikt nie może czuć się bezpiecznie. Gdy już zaśmiejemy się ze sposobu przedstawienia ludzi, którzy myślą inaczej niż my, ostrze humoru obraca się i trafia w czułe punkty „naszych". Naprawdę przydałby się polski odpowiednik! W letnim sezonie ogórkowym, kiedy opuszczamy zajęcia na siłowniach, nadrobienie „Family Guy" to gwarancja ćwiczenia – przepony.

Artur Zaborski

„Family Guy", twórca Seth MacFarlane, prod. USA, wszystkie odcinki dostępne na Disney+

MIĘDZY OKŁADKAMI

Dennis Lehane
Ostatnia przysługa

tłum. Mirosław P. Jabłoński
Rebis, Poznań 2024

Lato 1974 r. w Bostonie. Po wyroku sądu nakazującym desegregację szkół atmosfera jest jak gęste opary benzyny. Południowy Boston, biały i biedny, protestuje, nie chce wysyłać swoich dzieciaków do liceum w czarnej dzielnicy ani widzieć uczniów stamtąd u siebie. Ale nie tylko rasizm dzieli miasto na części, które równie dobrze mogłyby być odrębnymi krajami. Mary Pat, 40-latka z irlandzkiego Southie, urodziła się trzy budynki od tego, w którym mieszka z córką. Jej siostra całe życie nie zapuszczała się poza sąsiedztwo dalej niż parę przecznic. Gdy już kogoś takiego zaniesie za rzekę, do Cambridge, zaraz rzuca się w oczy jako ubogi obcy. Te światy mają własne prawa i rządy, nikt nie przeciwstawi się im bezkarnie. Jakie szanse może mieć samotna kobieta, mścicielka? No właśnie zdziwicie się. Wojna będzie brutalna – takie krucjaty jeszcze niedawno zarezerwowane były dla mężczyzn. Jednak matka na tyle zdesperowana, by wbrew zasadom środowiska uderzyć w ludzi, którzy niby to zapewniają mu ochronę, jest postacią znacznie głębszą. A książka celnie bije w rasistowskie uprzedzenia.

Aleksandra Pańko

ZASŁUCHAJ SIĘ

DAFO STRING QUARTET Polish Chamber Music

DUX 2024

Na 30-lecie kobiecego kwartetu smyczkowego o tajemniczej nazwie DAFO wydano aż pięciopłytowy box zawierający najciekawsze współczesne polskie utwory kameralne. Są Karol Szymanowski, Grażyna Bacewicz, Krzysztof Penderecki, Henryk Mikołaj Górecki i jedyny żyjący – Paweł Łukaszewski. Świetne wykonania i bardzo różnorodna mistrzowska muzyka. Doskonały prezent dla melomana.

Bronisław Tumiłowicz

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 23ffd6e8db

Oko w oko

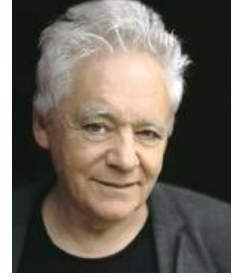

Tomasz Jastrun

Zdechł mit, nie pies

Jedziemy zobaczyć Pole Mokotowskie po renowacji. Wcześniej bywałem tu w latach 90., gdy mieszkałem na Rakowieckiej. Teraz pole jest po wielkim remoncie, powiększono stawy, wiele drewnianych leżaków i ław do siedzenia, dobrze to wygląda. Ogromne tłumy, bo niedziela. Zapach pieczonego mięsa, jak okiem sięgnąć ludzie grillują na rozległych niestrzyżonych trawnikach, wszędzie unoszą się siwe strużki dymu. Kilku ciemnoskórych gra w siatkówkę, gromada Wietnamczyków wokół rozłożonego koca, dwie kobiety idą, trzymając się za ręce. Nagle przypominam sobie, że tu spotkałem się z reżyserem Ryszardem Bugajskim, spacerowaliśmy, była połowa lat 90., oczywiście nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy. Pewnie jak zwykle narzekaliśmy na Polskę. Wkrótce Ryszard wrócił z Kanady.

Potem przejeżdżamy przez miasto, Wola, Centrum, las wieżowców, to jest ta nowa Warszawa, której nie znam. Piękno młodej dżungli. Dalej Świętokrzyska, Pałac Kultury – zabawne dziwadło architektoniczne, teraz w niezwykłej szklanej ramie. Po prawej lśni bielą kończony gmach Muzeum Sztuki Nowoczesnej, znakomita ascetyczna architektura, ale aby to docenić, trzeba mieć wyczucie estetyczne. Niektórzy moi znajomi złorzeczą na ten budynek, są bez pojęcia. Dalej Tamka, na tej ulicy sklep Militaria, największy w mieście, wzbudził entuzjazm Frania i żal, że zamknięty. Broń to jego najnowsza pasja, a ma ich kilka i jeden pistolet na śrut. Zbankrutujemy z powodu jego upodobań.

Cudem udaje się znaleźć wolne miejsca parkingowe w pobliżu pieszej kładki przez Wisłę. Młodzi coś jedzą w restauracji z widokiem na rzekę, potem spacer kładką z widokiem na panoramę miasta w ciepłym świetle zachodzącego słońca. Widać i słychać na takim spacerze, że Polska przestaje być jednorodna etnicznie. W sumie dojmujące wrażenie, że Warszawa niezwykle wypiękniała i wyszlachetniała, z szaroburej zrobiła się kolorowa, z biednej zamożna, z prowincjonalnej europejska. Patrząc z góry na Wisłę, słyszę, że ktoś przesłał SMS, czytam: „Biden zrezygnował". Ulga. Ale nie podzielam głosów podziwu, że taki szlachetny, że poświęca się dla ojczyzny i demokracji. Nie miał wyjścia. Był dobrym prezydentem. Uczciwy człowiek, ale zrobił to za późno. Teraz zostaje nam miłość do Kamali Harris, która daje się lubić.

•

Zwolennicy Trumpa na znak solidarności z nim zakładali sobie opatrunek na prawe ucho. Nazywa się go bohaterem i zbawcą narodu. Tak na naszych oczach upada mit Stanów Zjednoczonych, sam byłem wyznawcą tego mitu, jak cała moja generacja. Przysłużył tu się też film amerykański, fabryka zbiorowej wyobraźni, jego moc i heroizm. I to, że Stany były żandarmem demokratycznego świata. A my byliśmy, napisałem w jakimś wierszu, jak „motyle i świerszcze w niewoli". Ten żandarm robił czasami wielkie głupstwa, nawet podłości, ale był po naszej stronie, uciemiężonych. Trump już nie chce, by Ameryka broniła demokratycznego świata. Będzie kultywował egoizm narodowy w rzeczywistości, w której Rosja ma wściekliznę, a niedemokratyczne Chiny stają się mocarstwem i szykują się, by zająć Tajwan i gospodarczo uzależnić wszystkich.

•

Media uwielbiają wielkie awantury, czasami o głupstwo. No to jest awantura po słowach wybitnego językoznawcy, prof. Jerzego Bralczyka, ulubieńca mediów, bo mądry, wszystko wie i świetny mówca. W programie „100 pytań do…" w TVP Info stwierdził, że psy „nie mogą zostać adoptowane ani umrzeć". Zamiast tego, zgodnie z tradycyjną nomenklaturą, zdychają. Zdumiewa skala oburzenia, ilość komentarzy czasami niezwykle brutalnych wobec profesora. I zgodna opinia: upadł autorytet. Co się stało? Nastąpiła wielka zmiana, psy od stuleci były hołubione przez bogatych, a paskudnie traktowane przez lud, szczególnie na wsi. W języku jest kilkanaście powiedzeń z psem o negatywnym i obraźliwym zabarwieniu, choćby psia krew i pieskie życie. Teraz pies stał się istotą darzoną uczuciami jak dziecko. Ciekawe zjawisko od strony psychologii społecznej. Coś mówi o naszej cywilizacji. Rozpad więzi społecznych, brak bliskości i czułości uzupełnia się kochającym psem. Jego miłość jest bezwarunkowa. Psy stały się dziećmi, z tą przewagą nad dziećmi, że są mniej kłopotliwe. Litość dla zwierząt, ich uczłowieczenie zaczyna być miarą naszej kultury, to proces, który postępuje. Są kary więzienia za złe traktowanie psów, a przecież choćby świnie i krowy zabijane są masowo i bezwstydnie, a potem pożerane przez nas. Niekonsekwencja jest wpisana w naszą litość i współczucie. ■

Litość dla zwierząt, ich uczłowieczenie zaczyna być miarą naszej kultury, to proces, który postępuje.

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 23ffd6e8db

Choroba nie taka jak kiedyś

Leki biologiczne zmieniły oblicze reumatologii

Rozmawia Maria Mazurek

PROF. MARIA MAJDAN

– reumatolożka, nefrolożka i specjalistka chorób wewnętrznych

Pamięta pani, jak to było kiedyś?

– Pracuję jako reumatolog naprawdę wiele lat, kończyłam medycynę pod koniec lat 70. Gdy zaczynałam pracę, pacjenci z chorobami reumatycznymi byli narażeni na wielkie cierpienie. Mieli widoczne zaawansowane deformacje kończyn dolnych i górnych, zmienioną sylwetkę, często znaczne niedobory wzrostu. Mierzyli się z dużymi dolegliwościami bólowymi. Czasem poruszali się na wózku. Takie choroby rok po roku, miesiąc po miesiącu, odbierały im sprawność i możliwość normalnego funkcjonowania. Prowadziły do kalectwa. A my patrzyliśmy na to i niewiele mogliśmy zrobić. Problemem była zarówno diagnostyka – pacjenci trafiali do lekarzy o wiele lat za późno – jak i samo leczenie. Nowoczesne leczenie, w tym leki biologiczne – podawane pacjentom, u których nie działają leki starszej generacji – to właściwie kwestia kilkunastu ostatnich lat.

Stereotypowo te choroby wciąż kojarzą się z szybkim rozwojem niesprawności.

– Nauka zmienia się szybciej niż świadomość społeczna. Reumatologia i immunologia są wyjątkowo szybko rozwijającymi się dziedzinami. Coraz więcej wiemy o tych chorobach. Oczywiście są przypadki, które mają bardzo ostre przebiegi i mogą szybko doprowadzić do niepełnosprawności. Jednak to zupełnie inne proporcje niż trzy dekady temu. Oblicze reumatologii naprawdę bardzo się zmieniło.

Czym właściwie jest reumatologia?

– To bardzo duży dział interny. Chorób reumatycznych, według wciąż obowiązującej w Polsce klasyfikacji ICD-10 (wkrótce będziemy korzystać z ICD-11), jest ok. 200. Łączy je przede wszystkim to, że dotyczą – przynajmniej w jakimś okresie przebiegu – zajęcia układu ruchu: stawów, mięśni, całego układu okołostawowego, czyli wiązadeł, ścięgien i różnych innych struktur, które utrzymują w prawidłowym funkcjonowaniu stawy. Jedna z dwóch podstawowych grup tych chorób ma podłoże autoimmunologiczne. Natomiast reumatologia zajmuje się też chorobami zwyrodnieniowymi. Ta grupa chorób, mówiąc najogólniej, dotyczy zużycia lub przeciążenia stawów.

Ale choroby zwyrodnieniowe, w przeciwieństwie do chorób o podłożu autoimmunizacyjnym, częściej dotykają starszych pacjentów?

– Racja. To choroby degeneracyjne, więc siłą rzeczy częściej dotykają starszych pacjentów. Ale nie znaczy to, że w ogóle nie występują wśród młodych ludzi. Choroby zwyrodnieniowe mogą być następstwem urazów czy przeciążeń mechanicznych. Przyśpieszone procesy zwyrodnieniowe mogą dotykać np. intensywnie trenujących sportowców. Są ciekawe obserwacje dotyczące wczesnego występowania choroby zwyrodnieniowej u młodych mężczyzn, którzy intensywnie trenują, mocno obciążają układ ruchu. W związku z tym szybko dochodzi u nich do różnych drobnych urazów, które z czasem zmieniają mechanikę stawów i doprowadzają do ich uszkodzenia. Powszechna wśród młodych ludzi jest też choroba zwyrodnieniowa kręgosłupa. To z kolei efekt siedzącego trybu życia, przez który mocno obciążamy odcinek lędźwiowy albo szyjny. Coraz więcej jest też zmian zwyrodnieniowych w nadgarstkach, czyli w stawach, które są angażowane w pracę przy komputerze, ale też na smartfonach. Choroby zwyrodnieniowe, degeneracyjne są częstsze niż te o podłożu autoimmunizacyjnym, ale – mówię o statystyce – również mniej od nich groźne. One oczywiście mogą doprowadzić do poważnej niepełnosprawności albo wpłynąć negatywnie na funkcjonowanie człowieka, jednak nie prowadzą do nieodwracalnych uszkodzeń narządowych.

A druga grupa?

– Układowe choroby tkanki łącznej. Przebiegają one z zajęciem układu ruchu, ale również narządów wewnętrznych. Należy do nich przede wszystkim reumatoidalne zapalenie stawów (na które choruje, według szacunków, kilkaset tysięcy Polaków), ale też: mieszana choroba tkanki łącznej, zapalenie wielomięśniowe lub skórno-mięśniowe, toczeń rumieniowaty układowy,

> Leki biologiczne, jak sama nazwa wskazuje, są produkowane metodą biologii molekularnej na hodowlach komórkowych.

Prof. Maria Majdan – od 2003 roku kieruje Katedrą i Kliniką Reumatologii i Układowych Chorób Tkanki Łącznej Uniwersytetu Medycznego w Lublinie. Autorka licznych publikacji naukowych i popularnonaukowych dotyczących m.in. tocznia, zespołu Sjögrena i reumatoidalnego zapalenia stawów.

eprasa.pl 23ffd6e8db

zespół antyfosfolipidowy, choroba Sjögrena, zesztywniające zapalenie stawów kręgosłupa, układowe zapalenie naczyń czy twardzina układowa. W przypadku niektórych z tych chorób największym problemem nie jest zajęcie układu ruchu, lecz innych narządów i tkanek, jednak i w ich przypadku pojawiają się również objawy ze strony stawów. Weźmy twardzinę układową, chorobę, w której następuje włóknienie skóry i narządów wewnętrznych – raczej nie kojarzy się z układem ruchu. A jednak bardzo często jej pierwszymi objawami są właśnie bóle lub zapalenie stawów.

Wszystkie te choroby mają podłoże autoimmunizacyjne – a więc wiążą się z nieprawidłowym funkcjonowaniem układu immunologicznego. Ten układ, nasza prywatna armia, która powinna strzec nas przed różnymi szkodliwościami zewnętrznymi i wewnętrznymi (np. infekcjami, ale też procesem nowotworzenia się komórek), zaczyna atakować własne tkanki. Właśnie to rozumiemy pod pojęciem „autoimmunizacja": proces zapalny zwrócony przeciwko własnym tkankom. Organizm tworzy autoprzeciwciała; to jest cecha charakterystyczna chorób autoimmunizacyjnych. W zależności od konkretnej choroby to będą różne przeciwciała. (…) W każdej chorobie jest zestaw innych, charakterystycznych dla tej jednostki autoprzeciwciał. Określając autoprzeciwciała i objawy kliniczne, rozpoznajemy te choroby. (…)

W chorobach autoimmunizacyjnych układ odpornościowy się rozregulowuje…

– Tak. Można powiedzieć, że wymyka się spod kontroli.

Ale dlaczego?

– Mogę odpowiedzieć – i będzie to prawdą – że do końca nie wiemy. Ale mogę odpowiedzieć – i to też będzie prawdą – że wiemy znacznie więcej niż jeszcze kilkanaście lat temu. Zjawisko procesów autoimmunizacyjnych i ich patogenezy jest w tym momencie bardzo szeroko badane.

Co więc jest praprzyczyną tych chorób?

– Najprawdopodobniej geny. Przy czym, po pierwsze, mówimy o skomplikowanym, wielogenowym dziedziczeniu. Po drugie, sama predyspozycja genetyczna nie oznacza jeszcze, że pacjent zachoruje.

Podobno jeśli nasz rodzic ma którąś z tych chorób, ryzyko, że i my zachorujemy, jest kilkukrotnie wyższe niż w ogóle populacji. To nie aż tak dużo.

– Zgadza się. My, jako lekarze zajmujący się osobami przewlekle chorymi, staramy się dobrze poznać pacjentów. Zawsze jesteśmy ciekawi, czy u nich w rodzinie ktoś choruje lub chorował na podobne choroby. I to prawda, że nie obserwujemy bardzo dużego skojarzenia rodzinnego. A nawet jeśli obserwujemy, to ono niekoniecznie dotyczy tej samej choroby. Czyli np. matka choruje na reumatoidalne zapalenie stawów, a córka na toczeń. Ciocia na chorobę Sjögrena, a bratanek na zesztywniające zapalenie stawów kręgosłupa. Mamy w obserwacji bliźniaków jednojajowych – ostatecznie u obu rozpoznaliśmy toczeń, ale jeden miał objawy hematologiczne, a drugi stawowe. Więc podkreślę: choroba w rodzinie nie znaczy, że i my zachorujemy. Jesteśmy na nią nieco bardziej narażeni, ale aby wystąpiła choroba autoimmunizacyjna, na predyspozycję genetyczną muszą nałożyć się czynniki środowiskowe. I to zazwyczaj nie jeden, ale więcej. Mówiąc wprost: trzeba mieć pecha.

Jakie to są czynniki?

– Infekcje wirusowe i bakteryjne, które przestawiają funkcjonowanie układu immunologicznego. Po epidemii COVID obserwujemy większą liczbę pacjentów z objawami autoimmunizacyjnymi. Ale mocno immunizujący jest też np. wirus zapalenia wątroby typu C czy Epstein-Barr (EBV), czyli popularny wirus z rodzaju Herpes. EBV powoduje mononukleozę, ale może też odgrywać rolę w rozwoju stwardnienia rozsianego. Przy czym znów: samo zakażenie jakimś wirusem lub bakterią to za mało. To tylko jeden z czynników środowiskowych. Kolejnym są niewątpliwie zmiany hormonalne. Najlepiej świadczy o tym fakt, że na wiele chorób autoimmunizacyjnych – w tym na toczeń czy reumatoidalne zapalenie stawów – chorują głównie kobiety. (…)

Jakie jeszcze czynniki środowiskowe predysponują do choroby autoimmunologicznej?

Pierwszych pacjentów zaczęliśmy leczyć lekami biologicznymi ok. 20 lat temu.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 23ffd6e8db

– Stres. Nauka wymienia stres jako jeden z tych czynników i to jest całkowicie zgodne z tym, co obserwujemy w praktyce lekarskiej. Często do ujawnienia się klinicznych objawów choroby dochodzi po ciężkich doświadczeniach lub dużych zmianach w życiu pacjenta: przeprowadzce, zmianie pracy, rozwodzie, utracie bliskiej osoby. My tę korelację widzimy, absolutnie się z tym zgadzam. Korelacja między stresem a procesami immunizacyjnymi dotyczy zarówno samego rozwoju pełnoobjawowej choroby, jak i jej przebiegu. Osoby bardziej narażone na stres mają często cięższe przebiegi chorób. Stąd tak ważne jest, żeby osoby z rozpoznaniem chorób autoimmunizacyjnych lub narażone na nie – bo np. są obciążone genetycznie – w miarę możliwości starały się unikać stresu.

Oprócz tego takimi czynnikami może być, w przypadku tocznia, narażenie na silne promienie UV, a w przypadku reumatoidalnego zapalenia stawów – palenie tytoniu. (…)

Właśnie: niewłaściwe odżywianie. Mówi się też o wpływie mikrobiomu jelitowego zarówno na przebieg, jak i ujawnienie się chorób autoimmunologicznych.

– Tak. Skład mikrobiomu jelitowego wpływa na reakcje autoimmunologiczne. To już dziś wiemy na pewno. Jednocześnie: będziemy wiedzieć na ten temat więcej za kilka, kilkanaście lat. Mikrobiom jelitowy to w tym momencie bardzo szeroko badany temat, zarówno w kontekście chorób autoimmunizacyjnych, jak i wielu innych. Na pewno więc warto zadbać o zbilansowaną, w miarę zdrową dietę. Nie chodzi o obciążające plany żywieniowe i katowanie się za każde zjedzone ciastko, jednak przyjrzałabym się choć trochę temu, co mamy na talerzu. I o ile nie jestem entuzjastką suplementów diety – najzwyczajniej nie wierzę w ich skuteczność, a wiem, że pacjenci potrafią wydać majątek na jakieś specyfiki, które w zasadzie nie mają prawa działać – o tyle nad suplementacją probiotyków bym się zastanowiła. (…)

Rozumiem, że w chorobach układowych tkanki łącznej zaczynamy leczenie od leków immunosupresyjnych?

– Tak. Tu mamy przede wszystkim metotreksat, ale też takie leki jak leflunomid czy sulfasalazyna. Z tym że one potrzebują kilku tygodni, a nawet miesięcy, żeby zacząć działać. Niestety – nad czym ubolewam, bo w przebiegu chorób reumatycznych szybkość postawienia diagnozy i rozpoczęcia leczenia ma kluczowe znaczenie – wielu pacjentów trafia do nas dopiero w rzucie, czyli podczas zaostrzenia objawów.

A ponieważ w okresie rzutu szybko dochodzi do nieodwracalnych zmian, przede wszystkim w obrębie stawów, nie możemy skazywać pacjentów na czekanie, aż immunosupresja zacznie przynosić efekty. Wtedy, aby trochę uspokoić zapalenie stawów, włączamy sterydy, które działają bardzo szybko, ale z kolei nie powinny być przyjmowane przez długi czas. Podajemy sterydy, żeby wyciszyć zapalenie, a potem – gdy leki immunosupresyjne zaczną działać – sterydy stopniowo odstawiamy. (…) Większość pacjentów ma chorobę o średnim czy wręcz stosunkowo łagodnym przebiegu i w ich przypadku te leki powinny wystarczyć.

A jeśli nie wystarczą?

– Wtedy trzeba się zastanowić nad wdrożeniem leków biologicznych. Jeśli pacjent w ciągu trzech do sześciu miesięcy nie zareaguje na metotreksat czy któryś z innych leków pierwszego wyboru, i to przy dojściu do dużych dawek, zaczynamy myśleć o „biologii". I to są leki, które okazały się absolutnym game-changerem. My pierwszych pacjentów zaczęliśmy leczyć lekami biologicznymi dopiero ok. 20 lat temu.

Jak one działają i czym się różnią od tych tradycyjnych leków?

– Po pierwsze: metotreksat, leflunomid czy sulfasalazyna są lekami uzyskanymi metodą syntezy chemicznej. Leki biologiczne, jak sama nazwa wskazuje, są produkowane metodą biologii molekularnej na hodowlach komórkowych. Żywe komórki – w przypadku leków reumatologicznych zwierzęce, np. pozyskiwane od chomika – syntezują białka, tworząc przeciwciała (dlatego te

Leczenie biologiczne jest celowane, można powiedzieć: wróg jest precyzyjnie namierzony. Leki pierwszego wyboru zaś wyciszają układ immunologiczny. Nie działają tak precyzyjnie.

eprasa.pl 23ffd6e8db

leki podaje się w formie zastrzyków, a nie doustnych tabletek – w takim przypadku białko zwyczajnie by się strawiło). I tu dochodzimy do drugiej zasadniczej różnicy: leczenie biologiczne jest celowane, to znaczy te przeciwciała są skierowane przeciwko konkretnym związkom napędzającym zapalną kaskadę. Można powiedzieć: wróg jest precyzyjnie namierzony. Natomiast leki pierwszego wyboru wyciszają cały układ immunologiczny. Nie działają tak precyzyjnie.

Powiedziała pani, że leki biologiczne są skierowane przeciwko konkretnym związkom powodującym zapalenie. Czyli jakim?

– Każdy lek biologiczny stosowany w reumatologii działa na konkretny związek, zazwyczaj konkretną cytokinę, czyli białko prozapalne wydzielane przez leukocyty. My dziś już wiemy, że w procesach zapalnych toczących się w chorobach reumatycznych tych cytokin jest bardzo dużo. Gdy zbadano szlaki zapalne, okazało się, że u dużej części pacjentów zapalenie jest najbardziej „nakręcane" przez TNF-a, z angielskiego *tumor necrosis factora*, po polsku: czynnik martwicy nowotworów. Ta cytokina ma „unicestwiać" niektóre komórki nowotworowe i te zakażone patogenami, ale w wielu chorobach autoimmunologicznych odgrywa inną, niekorzystną dla pacjenta rolę, niejako stojąc na szczycie kaskady cytokinowej skierowanej przeciw własnym tkankom. Pierwsze (i wciąż najczęściej używane) leki biologiczne w reumatologii są więc skierowane właśnie przeciw tej cytokinie.

Natomiast gdy jeszcze lepiej zbadano szlaki zapalne w chorobach reumatycznych, okazało się, że dużą rolę odgrywają tu również inne cytokiny, czyli np. interleukina 6 czy interleukina 17. Zaczęły więc powstawać kolejne leki biologiczne, celowane przeciwko innym cytokinom. W tym momencie jest ich już całkiem sporo i to bardzo dobrze, ponieważ u każdego pacjenta proces zapalny przebiega trochę inaczej. (…)

Czyli leki biologiczne powstały w związku z tym, że zbadano szlaki zapalne u pacjentów: najpierw wytłumaczono jakiś mechanizm, wyodrębniono substancje, które mają w nim kluczowy udział, i stworzono skierowane na nie przeciwciała.

– Tak. Inaczej niż z aspiryną, która – jako wyciąg z kory wierzby – była stosowana w medycynie ludowej od setek lat. Nie było wiadomo, jak działa, ale pacjenci widzieli jej przeciwzapalne i przeciwbólowe efekty. A sam mechanizm jej działania został wytłumaczony dopiero w drugiej połowie XX w.

Zresztą krakowscy naukowcy, Ryszard Gryglewski i Andrzej Szczeklik, odegrali w tych badaniach bardzo dużą rolę. Choć Nobel za nie przypadł ich zagranicznym współpracownikom.

– Każde odkrycie naukowe to zazwyczaj praca zespołowa, za którą potem ordery odbiera jedna albo dwie osoby. Smutne, ale prawdziwe.

Część stosowanych w reumatologii leków biologicznych osłabia związki, które u zdrowego pacjenta są jednym z mechanizmów naturalnej obrony naszego organizmu przed powstawaniem nowotworów.

– Tak. Układ immunologiczny chroni nas nie tylko przed zewnętrznymi patogenami, ale również nieprawidłowymi procesami zachodzącymi wewnątrz naszego ciała. Ma oczyszczać różne produkty przemiany materii i kontrolować, czy nie dochodzi do nieprawidłowych procesów w podziałach komórkowych. Mówiąc obrazowo: ma przeganiać komórki nowotworowe. Nowoczesne leczenie onkologiczne, immunoterapia, jest w pewnym sensie odwrotnością leczenia reumatycznego: ono ma pobudzać układ odpornościowy, aby był w tym „przeganianiu" komórek nowotworowych skuteczniejszy. W związku z tym pojawiło się nowe zjawisko: u części pacjentów leczonych onkologicznie immunoterapią rozwijają się choroby autoimmunologiczne, np. przypominające reumatoidalne zapalenie stawów czy toczeń.

Oczywiście jakoś sobie z tym radzimy, natomiast to zjawisko daje nam obrazowy wgląd w działanie układu immunologicznego. Dobitnie pokazuje, że układ odpornościowy jest naszym sprzymierzeńcem, ale jego nadmierna aktywność jest niekorzystna.

Czy zatem może być odwrotnie? Czy leki biologiczne podawane w reumatologii mogą osłabiać nasze naturalne procesy przeciwnowotworowe?

– Przyjmując część tych leków, osłabiamy jeden z mechanizmów obrony przed nowotworzeniem się komórek.

Pytam, bo to jest to, czego boją się pacjenci w leczeniu biologicznym. Na forach internetowych pojawia się nawet narracja: leczenie biologiczne wywołuje raka.

– Jak w każdej pseudonaukowej narracji, i w tej jest odrobinę prawdy. Natomiast mimo bardzo intensywnych badań i obserwacji – a niektóre z nich mają już po 20 lat – nie stwierdzono, żeby leki biologiczne w większym stopniu niż tradycyjne leki immunosupresyjne zwiększały ryzyko zachorowania na raka. Wśród pacjentów reumatologicznych przyjmujących leki biologiczne zauważono wprawdzie większą niż w ogóle populacji zapadalność na nowotwory krwi, ale prawdopodobnie wynika ona z tego, że już sama choroba reumatyczna wiąże się z większym ryzykiem zachorowalności na ten typ chorób onkologicznych. Podkreślę to raz jeszcze: te obserwacje trwają już naprawdę wiele lat. Nie zauważono wyraźnie zwiększonego ryzyka nowotworowego, poza niektórymi nowotworami skóry – ale tu mówimy o stosunkowo bezpiecznych zmianach, które można łatwo usunąć.

Układ odpornościowy jest naszym sprzymierzeńcem, ale jego nadmierna aktywność jest niekorzystna.

Fragmenty rozmowy z książki Marii Mazurek *Zbuntowane ciało. Jak zrozumieć i oswoić choroby autoimmunologiczne*, Filia, Poznań 2024

eprasa.pl 23ffd6e8db

Marta Sawicka-Danielak

Tygrysie wdowy

Tygrys potrzebuje terytorium. Człowiek potrzebuje ziemi. Tego konfliktu nie udaje się rozstrzygnąć od dziesięcioleci

Sundarbans. Wypowiadam tę nazwę nie po raz pierwszy. Ale pierwszy raz zastanawiam się, do czego odsyła. Sundarbany – mówię głośno, nie mając pewności co do wymowy. Znam tylko pisownię i aurę dziwności oraz grozy, która spowija ten rejon w powieściach „Żarłoczny przypływ" Amitava Ghosha i „Dzieci północy" Salmana Rushdiego. W tej ostatniej dżungla jest niezależnym bytem, który odbiera bohaterom oddech, więzi ciała i zasnuwa umysły fantasmagoriami. Na miejscu usłyszę, że las jest pełen demonów i duchów, które potrafią wywołać nagłą burzę, trząść rybacką łodzią i zmieniać kierunki świata. A jednym z najpotężniejszych demonów jest tygrys. (…)

Największe na świecie lasy namorzynowe. Największa zatoka świata. Druga pod względem wielkości delta rzeczna na Ziemi. Najbiedniejszy i najgęściej zaludniony region Azji Południowej. Najszybciej postępujące zmiany klimatyczne. Największe zagęszczenie naturalnych katastrof, w tym najpotężniejszych cyklonów. Największe na Ziemi skupisko dzikich tygrysów. To ostatnie, choć nagminnie powtarzane nawet w prasie naukowej, nie okaże się prawdą.

Prawdę stanowi jednak fakt, że Sundarbany są ostatnim na świecie miejscem, w którym dominującym gatunkiem i drapieżnikiem szczytowym nie jest człowiek, tylko tygrys bengalski. (…)

Sundarbany to ostatnie na planecie tak rozległe lasy namorzynowe rozpościerające się przy ujściu trzech siostrzanych rzek: Gangi, Brahmaputry i Meghny, które tworzą tu drugą pod względem wielkości deltę na Ziemi. To one zbudowały tutejsze błotniste równiny, niosąc tysiące kilometrów osady ze swoich himalajskich dopływów. Stworzyły tereny zalewane i obnażane przez pływy, pajęczynę cieków, korzeniową plątaninę mangrowców, archipelag znikających i powracających wysp. Niby-ląd. Żywioł, którego nie udało się okiełznać brytyjskim kolonizatorom. Dziś to ginąca wyspa bioróżnorodności i dom endemicznych gatunków rozciągający się na przeszło 10 tys. km kw. Ta naturalna jednia została w 1971 r. podzielona przez ludzi polityczną granicą na część Indii i część Bangladeszu. Tej linii nie uznają jednak migrujące z wyspy na wyspę zwierzęta. (…)

Obecnie dziki tygrys to rzadkość. Na całej planecie zostało ich mniej niż 4 tys. (…)

Tygrys to już nie zwierzę, ale idea, pręgowany wzór sprzedający wszelkiej maści produkty. Im dłużej będę podróżować śladem tygrysa, tym częściej będzie się okazywać, że jego legendarna agresja, przebiegłość i krwiożerczość również są konstruktem kulturowym. (…)

Wpisuję w wyszukiwarkę słowa kojarzące się ze zdjęciem z indyjskiej gazety. *Masks boat tiger*. I oto moim oczom ukazują się kadry z postaciami w tajemniczych maskach oraz podpisy: „Maulies, biedni zbieracze miodu w krainie tygrysa ludojada, zostawiają po sobie »tygrysie wdowy«". I kolejny: „Sundarbany: rybacy w maskach chroniących przed atakiem tygrysów. Tygrys zawsze atakuje od tyłu, maska z widocznymi oczami ma go zmylić". I jeszcze to: „Sundarbany: w niektórych wioskach zostały już tylko kobiety, bo ich mężowie zostali zjedzeni przez tygrysa. Prawdopodobnie niektórzy z tych rybaków też już nie żyją".

•

Oficjalnie istnieją 102 wyspy. Ale ostatnio przynajmniej dwie, Lohaćora i New Moore, zniknęły z powodu podnoszenia się poziomu morza, o czym wspominają jedynie naukowcy i migrujący stąd mieszkańcy

eprasa.pl 23ffd6e8db

Szacuje się, że w 2024 r. na całym świecie żyje na wolności ok. 5,5 tys. tygrysów.

– jedni z pierwszych uchodźców klimatycznych na świecie. Zanikanie i wynurzanie się tych błotnistych terenów to odwieczny naturalny rytm Sundarbanów. Zmiany klimatu sprawiły jednak, że zmiany stały się bardziej nieprzewidywalne, a tempo erozji lądu jest chyba najszybsze na świecie, podobnie jak wzrost poziomu morza. Cyklony są tu coraz częstsze i coraz gwałtowniejsze, powodują ogromne zniszczenia, długotrwałe zalania, a co za tym idzie – śmierć ludzi i nieludzi.

Na obrazku utrwalanym przez przybyszy z zewnątrz, bo nie przez samych wyspiarzy, Sundarbany to przede wszystkim „las dzikich zwierząt", „gęsty przybrzeżny las grasujących tygrysów", „namorzynowa dżungla", a ostatnio „cud bioróżnorodności" i jeden z najbardziej produktywnych biologicznie naturalnych ekosystemów. Tropikalne estuarium. Wyjątkowa przyroda: bujna, dzika, rzadka, wroga, bogata, zachwycająca – to najczęściej używane epitety. Coraz częściej też wrażliwa, ginąca i wymagająca ochrony jak emblematyczny dla tego regionu królewski tygrys bengalski. W przedstawieniach Sundarbanów najczęściej brakuje jednego – ludzkich mieszkańców tego archipelagu.

A jest ich ok. 5 mln. To jeden z najgęściej zaludnionych – ponad tysiąc osób na kilometr kwadratowy – i jeden z najbiedniejszych obszarów na globie. Większość mieszkańców jest ekonomicznie i społecznie zmarginalizowana. Ludzie ci, zarówno hindusi, jak i muzułmanie, żyją poniżej granicy ubóstwa i są zależni od leśnych zasobów. Przed wiekami wyspy zamieszkiwali jedynie żeglujący kupcy, piraci i zesłani tu przestępcy, którzy często ginęli w paszczach tygrysów.

– Tych ludzi nie powinno tam być. To nie jest miejsce, w którym człowiek kiedykolwiek powinien się osiedlić – zaczyna Anamitra Anurag Danda, znawca regionu i specjalista od spraw zmian klimatu. Potem szkicuje historię ostatniego osadnictwa, za którym stoi brytyjska Kompania Wschodnioindyjska. Pod koniec XVIII w. rozpoczęła ona rekultywację tych terenów, wykorzystując pracę przymusowych robotników z najniższych kast. Naukowcy są wobec tego zgodni – tych terenów nie powinno się nigdy zamieniać w grunty rolne, bo utrudnia to geografia.

– Zachodnia część Sundarbanów, która obecnie jest częścią indyjską, sprawiała kłopoty wtedy i sprawia kłopoty teraz. Zmiany klimatu zwiększają trudności i wyzwania, istniejące tam od dawna – mówi Danda.

Ruchy tektoniczne, które miały miejsce między XII a XVI w., spowodowały przechylanie się Sundarbanów z zachodu na wschód, a wraz z tym odpływ większej części słodkiej wody na wschód – tam, gdzie obecnie znajduje się Bangladesz. Wysokie zasolenie rzek i kanałów po stronie indyjskiej podniosło się po wybudowaniu tamy Farakka na Gandze. Powoduje ono nie tylko ograniczoną ilość wody pitnej i zasolenie gruntów, lecz także spadek bioróżnorodności, obumieranie namorzynów, a w konsekwencji – zmniejszenie się populacji krabów, krewetek, ryb i niektórych gatunków drzew, czyli dóbr, od których mieszkańcy dolnych Sundarbanów są zależni ekonomicznie. Trudno o bardziej jaskrawy przykład antropogenicznych czynników wpływających na zmianę tutejszego środowiska naturalnego, do dziś niesłusznie uznawanego za ostatnie „dzikie" miejsce na Ziemi.

Miejscowi borykają się z brakiem podstawowych udogodnień. Nie ma tu dróg szybkiego ruchu, domostwa są pozbawione kanalizacji, a często także elektryczności. Nie istnieje przemysł ani handel, nie można skorzystać z usług, a tym samym brakuje możliwości zdobywania środków do życia innych niż praca na roli lub w niebezpiecznej dżungli.

Ze względu na niestabilność terenu i ekstremalne warunki pogodowe możliwości utrzymania się z rolnictwa są bardzo ograniczone. Cyklony, powodzie i fale sztormowe coraz gwałtowniej niszczą plony, zagrażając bezpieczeństwu żywnościowemu mieszkańców i wyjaławiając glebę, która przez zastój słonej wody przestaje rodzić. Coraz rozleglejsze obszary zostają bezpowrotnie zatopione. Rolnicy tracą pola i dotychczasowe zajęcie. Przez większą część roku i gleba, i woda są słone – inaczej jest tylko w okresie monsunów, kiedy uprawia się ryż.

Właśnie dlatego z roku na rok do dżungli zapuszcza się coraz więcej osób chcących utrzymać wielopokoleniowe rodziny. Mieszkańcy idą do lasu po miód, wosk, kraby, ryby czy drewno. I choć w znacznej części tutejszych wód oficjalnie nie wolno poławiać, ludzie nie mają wyboru i łamią zakazy. Park Narodowy Sundarbanów składa się z trzech stref: *sanctuary zone, buff er zone i core zone*. Dozwolone w strefie buforowej zbiory nie zapewniają przeżycia. Z powodu stale rosnącego zasolenia wód położonych bliżej osad połowy ryb i krabów są tam skąpe, co zmusza mieszkańców wsi do wchodzenia na obszary leśne, których odwiedzanie jest surowo zabronione. Ryzykując życie, ludzie płyną do najniebezpieczniejszej *core zone*, gdzie mieści się ścisły rezerwat tygrysów, założony w 1973 r., by chronić ten zagrożony wyginięciem gatunek.

Pandemia koronawirusa i masowy powrót emigrantów zarobkowych z miast jedynie zwiększyły liczbę osób zdanych na las. Na terenie Sundarbanów brakuje profesjonalnych placówek ochrony zdrowia i rządowej pomocy – zarówno na poziomie władz centralnych, jak i stanowych. Miejscowi „lekarze" wysyłają ludzi w stanie krytycznym do szpitali na stałym lądzie, choć z wielu wysp nie można się tam dostać – nie ma mostów ani dróg. Kobiety rodzą więc na łodziach. Ranni i chorzy umierają na wodzie.

Tygrys to od 1972 r. narodowe zwierzę Indii, a także najważniejsze pod względem wizerunkowym stworzenie kraju.

eprasa.pl 23ffd6e8db

W tym samym czasie rząd reklamuje Sundarbany jako turystyczny azyl pełen zachwycającej roślinności i majestatycznych tygrysów bengalskich, które chętnie oglądają indyjska elita miejska i zamożna klasa średnia.

Oficjalnie tygrysy na terenie Sundarbanów są liczone od 2010 r. W 2021 r. miało ich tam być 96. Rok później – 100. W teorii zasiedlają one 48 wysp ścisłego rezerwatu spośród 102 wysp indyjskich Sundarbanów. Ale tygrysy zapuszczają się również na wyspy zamieszkane przez ludzi. Nylonowa siatka ze względów bezpieczeństwa okalająca wyspy jest forsowana przez zwierzęta lub wcześniej uszkadzają ją wpływający do rezerwatu poławiacze krabów. Wtedy tygrysy są widywane przy domostwach, na polach i drogach. Porywają zwierzęta gospodarskie. Ludzie, których w Indiach rokrocznie przybywa, coraz częściej wkraczają do tygrysiego rezerwatu. Właśnie wtedy stają się pokarmem dzikich kotów, które czasem atakują z lądu, ale znacznie częściej z wody.

Tygrys potrzebuje terytorium. Człowiek potrzebuje ziemi. Tego konfliktu nie udaje się rozstrzygnąć od dziesięcioleci.

O wspomnianych 100 tygrysach mówi ich ostatni rządowy spis z 2022 r. Przeprowadza się go w Indiach co cztery lata. W 2018 r. było ich 88, a cztery lat wcześniej 76. Najczęściej powielany mit głosi, że w Sundarbanach żyje największa na świecie populacja tygrysów. Można o tym przeczytać nawet w pracach naukowych czy na oficjalnej stronie UNESCO, które patronuje tym terenom – na listę światowego dziedzictwa region został wpisany w 1987 r. Prawdą jest natomiast, że Sundarbany to jedyne na świecie lasy namorzynowe zamieszkiwane dziś przez tygrysy.

Metody wykorzystywane w Indiach do spisu tych zwierząt są od lat podważane przez naukowców, a ich nierzetelność i niejawność krytykują specjaliści z całego świata. Oficjalne stanowisko Wildlife Institute of India wspomina o rosnącej liczbie tygrysów w Sundarbanach i ich zagęszczeniu, które wynosi od trzech do pięciu sztuk na 100 km kw. Od czasu wybuchu epidemii COVID-19 obserwowano coraz więcej tygrysów błąkających się w rejonach ludzkich osad. Precyzyjniej: władze dokonały tej nowej obserwacji, gdyż wcześniej konsekwentnie zaprzeczały doniesieniom mieszkańców, którzy regularnie widywali tygrysy. Ale lockdown i masowy powrót pracowników z dużych ośrodków miejskich na rodzinne Sundarbany gwałtownie zaostrzył „konflikt" człowiek-tygrys. Dla tysięcy emigrantów zarobkowych, którzy musieli z dnia na dzień opuścić miasta, praca w lesie stała się jedynym dostępnym źródłem utrzymania. Podejmowali się jej ludzie młodzi, często bez doświadczenia i wiedzy o lesie, stanowiący łatwy łup dla drapieżników. Zapewne nowe dane i stanowisko rządu mają też związek z presją zwiększenia populacji tygrysów w Indiach, którą od lat wywiera sam premier kraju, zaangażowany w 12-letni międzynarodowy program podwojenia liczby tygrysów – „T×2".

Bagh-bidhoba – tygrysia wdowa. W indyjskich Sundarbanach jest ich ponad 3,5 tys. Prócz tragedii i ubóstwa spada na nie społeczny stygmat i ostracyzm.

Rząd ma swój interes w tym, by pręgowane liczby szybowały w górę. Tygrys to od 1972 r. narodowe zwierzę Indii, a także najważniejsze pod względem wizerunkowym stworzenie tego mocarstwa. Kraj ten stanowi dom 75% całej światowej populacji tych dzikich kotów żyjących na wolności. Tygrysy to oczko w głowie premiera Narendry Modiego, który lubi wspominać o cudownym podwojeniu populacji tego gatunku w ciągu zaledwie ośmiu lat i często wykorzystuje temat ochrony tygrysów w swojej nacjonalistycznej narracji.

Ale władzom nie zawsze zależało na tygrysach. W 1883 r. kolonialny rząd wyznaczył nagrodę – 50 rupii indyjskich za zabicie każdego dorosłego tygrysa i 10 rupii za młodego kota. Aby otrzymać nagrodę, należało przedstawić urzędnikowi leśnemu skórę i czaszkę zwierzęcia. W 1906 r. nagrodę zwiększono do 100 rupii za dorosłego tygrysa i 20 za młode. W 1909 r. kwotę za dorosłe zwierzę podniesiono do 200 rupii. Ostatnia podwyżka była spowodowana coraz częstszymi atakami tygrysów na ludzi – w latach 1906–1909 te dzikie koty zabiły w Sundarbanach ok. 500 osób. W latach 1881–1912 zabito tam minimum 2,4 tys. dorosłych

Sundarbany zawsze były izolowanym siedliskiem tych wielkich kotów i miejscem ich ataków na ludzki gatunek.

eprasa.pl 23ffd6e8db

tygrysów (taką liczbę podają roczne raporty departamentu leśnego, które nie uwzględniają zabójstw mających miejsce poza obszarem lasu lub tych niezgłoszonych do departamentu).

Tygrysich wdów indyjska administracja nie liczy – zapewne dlatego, by nie naświetlać rosnącego od lat problemu: takich kobiet jest w Indiach mniej więcej tyle samo, co bengalskich tygrysów, których w 2018 r. naliczono w całych Indiach 2967, a w 2022 r. – 3682. Czasem są to staruszki, częściej młode kobiety, nawet niespełna 20-letnie, z głodnym potomstwem przy piersi i wizją samotnej wegetacji bez środków do życia. Wskazują na to organizacje pozarządowe i niezależni dziennikarze. Ale brak potwierdzenia tego w oficjalnych dokumentach.

Zresztą w jakim celu patriarchalny rząd populistyczny miałby liczyć kobiety, które nie mają wpływów ani rzeczników? Są niepiśmienne, żyją daleko od wielkich miast i potrzebują dużych funduszy, m.in. na gwarantowane przez prawo renty po zmarłych mężach, o które nie potrafią się same upomnieć. Pieniądze defraudują lokalni działacze rządzącej partii.

Taką kobietę w Sundarbanach nazywa się *bagh-bidhoba* – tygrysia wdowa. Prócz tragedii i ubóstwa spada na nią społeczny stygmat i ostracyzm rodziny męża, która niejednokrotnie oskarża tygrysią wdowę o czary i wywołanie śmierci. A tygrysich wdów jest w Sundarbanach tak wiele, że niemal w każdej osadzie znajduje się część zamieszkana wyłącznie przez nie – *bidhoba polli* (sąsiedztwo wdów). Żyją na obrzeżach wioski, wyrzucone poza główną część osady. Zajmują ziemię jałową i niczyją – niebezpieczne osuwiska nad rzekami.

Media głównego nurtu także milczą na temat tygrysich wdów. Nawet mieszkańcy Kalkuty – miasta na stałym lądzie, leżącego najbliższej Sundarbanów – dziwią się, gdy pytam ich o ten problem. „*Tiger widows*? To samice padłych tygrysów?", odpowiada pytaniem zdziwiony pracownik kultowej w tym mieście, księgarni założonej w 1920 r. przy Park Street, gdy bezskutecznie szukam na jej regałach publikacji na ten temat.

Nieoficjalnie na wyspach indyjskiej części delty dochodzi rocznie do ok. 100 śmiertelnych ataków tygrysów (nie licząc incydentów po stronie Bangladeszu, gdzie ma do nich dochodzić równie często).

Potwierdzają to szczegółowe rejestry ofiar prowadzone przez fundacje pomagające tygrysim wdowom. Prowadzi je m.in. Nakul Jana, prezes Sundarban Tiger Widow Welfare Society. Jana od lat zajmuje się szczegółową dokumentacją każdego wypadku, który zgłaszają mu informatorzy z wysp. Bo „wypadek", po angielsku *accident*, to słowo, którego ludzie w Sundarbanach używają do nazywania napaści tygrysa na człowieka. Nikt nie mówi tam „atak", „pożarcie", „zabójstwo", tylko właśnie „wypadek". Już na poziomie języka można zauważyć nieuchronność tej sytuacji i nieobarczanie winą za to wydarzenie zwierzęcia. Ludzie w miastach giną w wypadkach samochodowych, mieszkańcy Sundarbanów w wypadkach leśnych, które – podobnie jak kolizje drogowe – nie są tam ani niczym wyjątkowym, ani szokującym. Zwłaszcza że, jak podkreśla Jana, w ostatnich latach ich liczba rośnie. Giną głównie mężczyźni, bo to oni dzięki pracy w dżungli utrzymują rodziny na tych trudnych przyrodniczo i ekonomicznie, niezurbanizowanych terenach, gdzie nie ma innych sposobów zarobku. Niemal w każdej tutejszej rodzinie jest przynajmniej jedna ofiara tygrysa.

Sundarbany zawsze były izolowanym siedliskiem tych wielkich kotów i miejscem ich ataków na ludzki gatunek, które w kolonialnych pismach szacowano na nawet 700 rocznie. W 1666 r. francuski podróżnik François Bernier zanotował: „Na tych wyspach w wielu miejscach niebezpiecznie jest cumować. Ciągle bowiem zdarza się, że ktoś pada ofiarą tygrysów. Mówi się, że te okrutne zwierzęta bardzo często wchodzą do łodzi, kiedy ludzie śpią, i zabierają ze sobą ofiarę, która – jeśli wierzyć tamtejszym żeglarzom – jest największa i najgrubsza z całej grupy".

Aktualnie oficjalne źródła indyjskie utrzymują, że w Sundarbanach dochodzi do zaledwie kilkunastu śmiertelnych ataków tygrysów rocznie. W rzeczywistości ginie tam dziś nawet kilka osób miesięcznie. Odnajduje się zaledwie 20% ciał. Duża część wypadków nie jest ewidencjonowana, bo ofiary bezprawnie przekroczyły granice ścisłego rezerwatu lub pracowały w dżungli bez pozwolenia. W takich sytuacjach rodzina zataja śmierć w obawie przed karą.

Oficjalnie tygrysy na terenie Sundarbanów są liczone od 2010 r. W 2021 r. miało ich tam być 96. Rok później – 100.

Mimo tak dużej skali problemu nie widać, żeby martwił on ani lokalny, ani centralny rząd, który chce widzieć ten obszar jako atrakcję turystyczną. Rządowe dane, cytowane często przez uprawiające propagandę gazety, mówią o zaledwie 52 ofiarach w latach 2010–2017. Dokument z lutego 2021 r. dotyczący ataków dzikich zwierząt na terenie poszczególnych stanów kraju, opublikowany przez indyjskie Ministerstwo Środowiska, Lasów i Zmian Klimatycznych, podaje, że w Bengalu Zachodnim w 2018 r. miało z tego powodu zginąć 15 osób, w 2017 r. 12, w 2016 r. 14, a w 2019 r. zaledwie trzy osoby.

Fact-checking w Indiach to sport ekstremalny, czasem nawet samobójczy. Wszelkie statystyki i dane zmieniają się w zależności od politycznych celów oraz tego, kto i w jakich mediach je podaje. Wierzyć rządowym, źródłom to jak wierzyć, że indyjski pociąg opuści peron o wskazanym czasie.

Fragmenty książki Marty Sawickiej-Danielak *Oko tygrysa. O bestii, którą stworzył człowiek*. Marginesy, Warszawa 2024

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 23ffd6e8db

Do lasu (odc. 5)

Wojciech Kuczok

Wykoleiły się rzeczy Erysiowi

Zawroty serca, palpitacje głowy, splątanie myśli, oddech niemiarowy, zapał nieznany i krok rozchwiany – już nie stąpał twardo Eryś, bo stracił zmysły od tego kompociku u Ali. Nie zmierzał z inżynierską pewnością ku swoim zadaniom, nie kroczył ku wyznaczonym celom, bo się rozmarzył, a to niezdrowo bardzo. Suchy Karol twierdził, że póki człowiek ma cele zamiast marzeń, idzie w dobrą stronę, ale jak zacznie rozmyślać, czy by nie spróbować sięgnąć niemożliwego, kiedy przechodzi w tryb przypuszczający, wstępuje w niego smętek i z wolna, lecz skutecznie rujnuje sobie życie.

Wykoleiły się rzeczy Erysiowi, jeszcze mu machała z okna Ala na pożegnanie, jeszcze mu Bestyja złorzeczyła tak zajadle, jak się do niego łasiła w zomcysku, jeszcze Eryś pachniał cudzym potem błogim, a już nie wiedział, gdzie się podziać. Wieś, spozierając ku niemu ukradkiem, widziała, że inżynier Eryk z powrotem przemieniony został w głupiego Erysia. Bądź tu mądry, jak cię dziewczyna przeflancuje znienacka, a potem, kiedyś już jej chciał zacząć opowiadać wszystko wszędzie naraz, zachwytami się dzielić, może i życiem od razu, wypycha cię z sypialni, potem z domu, bo jej się przypomniało, że tatko wyjechał tylko na chwilę, a ona ma niedługo próbę taneczną. No i w ogóle nie wie, co w nią wstąpiło, niech Eryś nie myśli, że ona tak zawsze z każdym łatwo, niech Eryś idzie ku swoim, a jutro przyjdzie na występ do amfiteatru, to się potem zobaczą.

Ku swoim – łatwo powiedzieć, kiedy Eryś nagle się poczuł nieswój, cały się poczuł Ali, każdy krok, który go miał od niej oddalać, wydawał mu się pozbawiony sensu. Gdzież tu pójść, ku swoim sprawom, ku swoim ludziom, ku swoim drzewom – nie mógł się Eryś zdecydować i dreptał tak trochę w tę, trochę we w tę, aż przydreptał pod nowy kościół. Suchy Karol niegdyś wyrzeźbił w drewnie Jezusa ołtarzowego na zlecenie farorza. Z fałdami szaty żadnych nie miał problemów, ani z dłońmi rozłożonymi w błogosławieństwie, ani z włosami długimi rozpuszczonymi do ramion, ani z kędziorami brody, ale kiedy przyszło do twarzy, bogobojny Karol się zablokował. Zląkł się, że pospolita ludzka twarz w miejscu oblicza boga to potwarz. Księża już się niecierpliwili, termin zlecenia mijał, odsłonięcie miało być uroczyste, biskup się zgodził osobiście poświęcić ołtarz, a tu posąg wciąż bez twarzy, no bo Karol nie mógł tak z pamięci, jemu się ponbóczek nigdy nie ukazał, a któż by mu miał pozować? Nie ma takiego świętego w okolicy, co by się nadał.

Aż w końcu olśniły Karola baby nieszporne, gdy o zmierzchu poniósł się ich zaśpiew piskliwy o tym, że Bóg jest miłością. Dwie miał Karol miłości na tym świecie: ślubną swoją Hannę (ale jej twarzy nie mógł wyrzeźbić, Chrystus jako kobieta z brodą to koncept, by tak rzec, przesadnie odważny nawet dla metropolitalnych kurii, a co dopiero w mieścinko-wiosce górskiej) i syna swojego Erysia. Nastoletniego co prawda, ale broda postarza, nadaje dostojeństwa – wziął więc Erysia za modela, trochę go przeobraził dłutem, trochę mu odjął cielęctwa, dodał powagi i tak oto ludziska modlili się przez lata do tego, którego mieli za przygłupa, nawet go nie rozpoznając.

Eryś zajrzał do kościoła, żeby ostudzić emocje w chłodzie świątynnym, przysiadł na ławie i tak, spozierając na rzeźbę ołtarzową, mógłby przysiąc, że ona się równo z nim starzeje, to znaczy nie rzeźba, impregnowana woskiem, ale sam Pan Jezus jakoś zmężniał. Z nastolatka zrobił się dorodny młodzieniec, kto wie, może i Suchy ukradkiem rzeźby doglądał i dłutem wciąż korygował oblicze pańskie, tak, by mu przybywało lat. Eryś nie mógł wysiedzieć w kościele, bo wspomnienia miał nieczyste, choć świeżuteńkie, i czuł, że one tu nie na miejscu. Wyszedł więc pośpiesznie i nad kościołem jął się wspinać stromizną ku polanom, tak by wypocić wszystkie złogi miłosne, wydyszeć tęsknotę, na którą było stanowczo za wcześnie, bo przecież dopiero co z Alą się widział, ach, żeby tam widział tylko. A kiedy zaległ Eryś na łące pod Beskidem, nie zaznał chcianego spokoju, bzygi brzęczały mu nad głową jak na autostradzie dla muchówek, każda w ściśle wyznaczonym kierunku, aż mu się przykro zrobiło, że nawet one tak pędzą ku robocie, podczas gdy jego rozłożyło zakochanie.

> Aż mu się przykro zrobiło, że nawet one tak pędzą ku robocie, podczas gdy jego rozłożyło zakochanie.

Nie wiedział jeszcze Eryś, że całkiem go rozłożą dopiero słowa Ali, które usłyszeć miał nazajutrz po występie festiwalowym zespołu, kiedy już z bukietem kwiatów czekał, i czekał, i czekał, aż ona w końcu wyjdzie z tej garderoby, i że więdnąć mu będą w oczach. Aż zwiędnie też on sam, kiedy ją zobaczy wreszcie, chyłkiem idącą pod osłoną koleżanek z zespołu, zastąpi jej drogę z tymi kwiatami i powie:

– Chyba się w tobie zakochałem.

Ala, zakłopotana i roześlona, narażona na szydercze komentarze, wziąwszy go na bok, rzeknie:

– Nie mam czasu ani ochoty na relację romantyczną (cdn.).

■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 23ffd6e8db

JACEK PAŁKIEWICZ

PÓŁ WIEKU REPORTERSKICH PODRÓŻY

Wyprawy w poszukiwaniu osobliwości ginących cywilizacji, niezwykłych krain i ludzi osiadłych w odległych regionach

1

PUSTYNIA ATAKAMA

Księżycowa Dolina w samym sercu pustyni Atakama w Chile zalicza się do najbardziej jałowych miejsc na Ziemi i najmniej gościnnych obszarów świata. Można powiedzieć, że ten żółty pas, o długości 1200 km i szerokości mniejszej niż 100 km, wciśnięty między wody Pacyfiku a kordylierę Andów, jest pustynią doskonałą. Rejestrowana na Saharze średnia roczna opadów atmosferycznych wynosi 100 mm, na Atakamie nie dochodzi nawet do 10 mm, a zdarzają się miejsca, w których nie padało od dziesięcioleci.

Największą atrakcją pustyni jest wielki salar – wyschnięte jezioro, 30 razy większe od naszych Śniardw. Tysiące lat temu z jeziora, silnie nasyconego minerałami, wyparowała woda i dziś leży tu gruba, twarda jak kamień, skorupa solna. Ogromna równina oślepia swoją bielą nawet przybysza w ciemnych okularach.

JACEK PAŁKIEWICZ – reporter, eksplorator, guru survivalowy, odkrywca źródła Amazonki. www.palkiewicz.com

eprasa.pl 23ffd6e8db

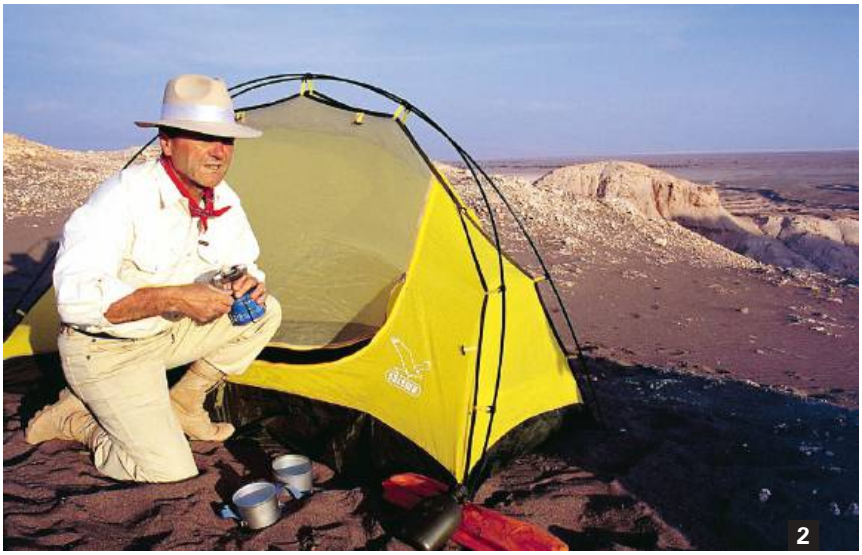
2

5

8

eprasa.pl 23ffd6e8db

1. Nieziemski pejzaż Doliny Księżycowej.
2. Jacek Pałkiewicz, weteran pustyń.
3. Gejzery na płaskowyżu El Tatio.
4. Kolonialny kościół.
5. Pustynia po deszczu.
6. Centrum astronomiczne.
7. San Pedro de Atakama.
8. Południowa sjesta.
9. Jezioro Chaxa u stóp wulkanu Licancabur.
10. Pięciogwiazdkowa Atakama.

ZDJĘCIA Z ARCHIWUM AUTORA

eprasa.pl 23ffd6e8db

JOLKA

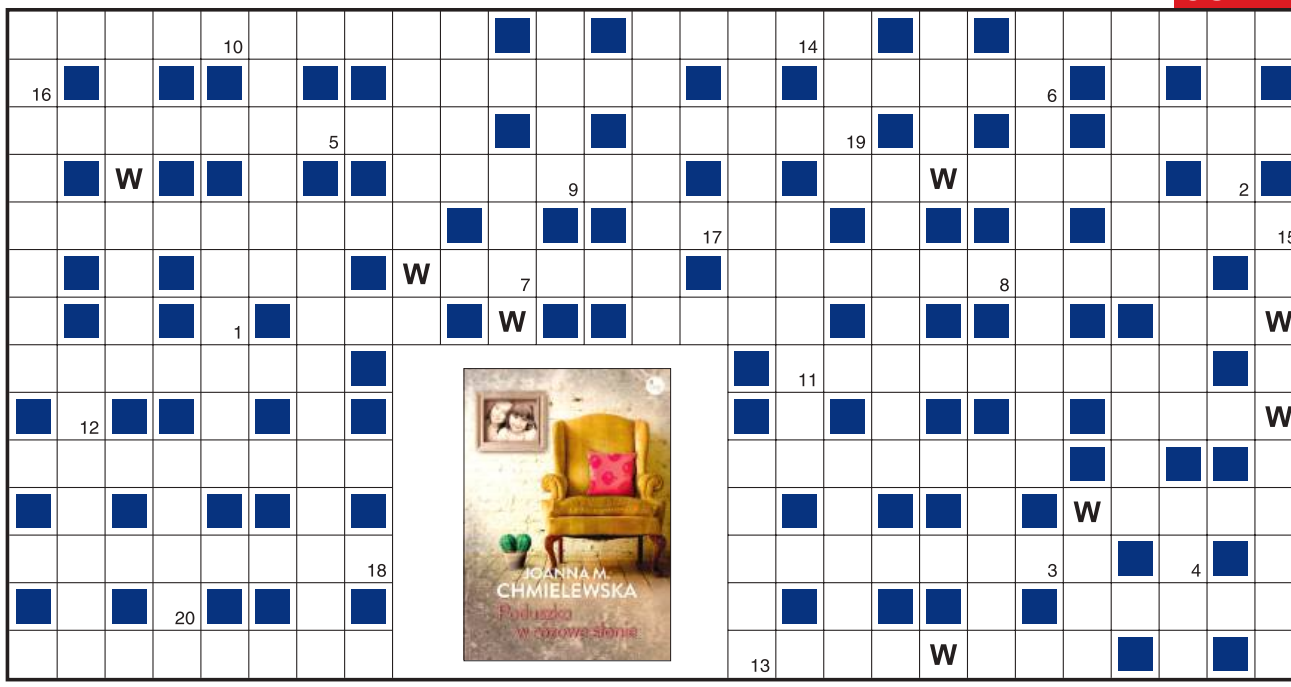

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery W ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- ojciec Kaina i Abla
- gdy je ma, podejrzany uratowany
- gdy spada z oczu, widzi się prawdę
- brak go w stroju topless
- szal z piór
- figlarka, śmieszka
- łobuz, rozrabiaka
- w Sejmie projektu ustawy, w kościele Pisma
- angielska jałowcówka z polska
- chaos, zamęt
- naprzeciw Kairu, słynie z piramid
- jeździectwo
- ma rzesze fanów
- Świątek lub Cembrzyńska
- „…w Gibraltarze” o Sikorskim
- ciało niebieskie z warkoczem
- dziwak jak ufoludek
- osiągnąć coś tanim – bez wysiłku
- policyjna lub Kadłubka
- gdy zranienie, to i…
- futrzany krawiec
- solarna do ogródka lub nocna
- najkrótszy w roku
- syrop powstający przy wyrobie cukru
- atrakcja Sopotu, Międzyzdrojów
- księga liturgiczna
- kapa na kanapie
- przewodzi bodźce czuciowe i ruchowe
- „pomocnik” pamięci
- goryle w garniturach
- też lany jako wróżba
- proces upowszechnienia wiedzy, kształcenia
- wiertnicza lub widokowa
- mebel z wielu półek
- do niego, gdy łamie w kościach
- w śliwce lub świętojański
- uruchomienie urządzenia, zakładu
- prawy dopływ Renu
- air… – pokazy lotnicze
- serwomotor
- malec, szkrab
- efekt żniw na obrazach Moneta
- nie ma aż tylu nóg
- motocykl lub mały okręt wojenny
- kilwater – na wodzie, za statkiem
- w niej tytoń trzymany
- dwuosobowy rower
- góry z Czerwonymi Wierchami
- Abelard lub Melchor Cano
- nazywany fałszywą truflą
- trójka instrumentalistów
- gwiazdozbiór z Małym Obłokiem Magellana
- pod dnem Świny w Świnoujściu
- obsunięcie się ziemi
- odcinek tekstu biblijnego
- lejce
- statek na dnie
- wołanie, wezwanie do czynu

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1180”. Do rozlosowania książki „Poduszka w różowe słonie” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 4 sierpnia 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1177” z nr. 28: *Szczery wzroku nie ukrywa.* Nagrody otrzymują: Aleksandra Szewczyk z Krakowa, Tadeusz Wardziak z Siedlec, Adam Wnęk z Olsztyna.

eprasa.pl 23ffd6e8db

Parada pomyłek

Śmialiśmy się kiedyś w tym miejscu z pisowskiego doradcy szefa MSZ, a potem sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych Przemysława Żurawskiego vel Grajewskiego. Że w roku 2020 pisał do szefa MSZ: w Ameryce wygra Trump, na niego musimy stawiać i tylko na niego, to nasza racja stanu.

Co wyszło – wiemy.

Teraz aktywował się inny prorok. To amerykanista Zbigniew Lewicki, wiele lat temu, w latach 90., dyrektor departamentu amerykańskiego MSZ. Ten sam, który twierdził przed wyborami 1992 r., że wygra je w cuglach George Bush i nie ma sensu zajmować się Billem Clintonem. Przekonywał o tym Krzysztofa Skubiszewskiego z ogniem w oczach.

Takich mieliśmy znawców.

Nawiasem mówiąc, wspominając tamte czasy, Lewicki opowiada, że wspomagał Skubiszewskiego w reformowaniu MSZ, godząc się „na obcowanie z doświadczonymi pracownikami, choć niemal zawsze byli oni obarczeni współpracą ze stosownymi służbami". Proszę, jakie poświęcenie…

Teraz Lewicki przekonuje o dwóch sprawach. Po pierwsze, stara się przekonać ministra Sikorskiego, by nie zmieniał pisowskich ambasadorów, bo wśród nich jest wielu fachowców. Którzy to? O tym nie mówi.

Po drugie, przekonuje, że oto wschodzi nam w polityce amerykańskiej wielka gwiazda – to J.D. Vance, kandydat na wiceprezydenta u boku Donalda Trumpa. I że J.D. Vance za cztery lata będzie pełnym prezydentem, odnowi Amerykę.

Tyle o Ameryce. A teraz o Rosji.

Otóż tenże Lewicki ma tu konika, który nazywa się MGIMO. I o MGIMO napisał tak: „Nie jest to bynajmniej, jak niektórzy usiłują to dziś przedstawiać, »znakomita szkoła językowa«, lecz sowieckiego chowu twór rekrutujący studentów na całym świecie, by tworzyć wspólnotę absolwentów o prosowieckich, a obecnie prorosyjskich przekonaniach. W lutym 2023 r. minister Zbigniew Rau trafnie zauważył, że MGIMO to »inwestycja w funkcjonowanie rosyjskiego imperializmu«. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby znaczna część absolwentów MGIMO nie została w czasie studiów lub po ich ukończeniu skaptowana do współpracy z tajnymi służbami Moskwy".

Czyżby? Mają jakieś na te oskarżenia panowie Lewicki i Rau dowody? Chyba nie mają. Tak sobie gadają. A przecież te ich przypuszczenia są rodem ze stalinowskich czytanek, gdzie jak ktoś rozmawiał z kimś z zagranicy, to już ocierało się o szpiegostwo…

Taką Lewicki i Rau mają sieczkę w głowie.

À propos tej sieczki. W tym czasie, gdy Zbigniew Rau był szefem MSZ, wiceministrem był Arkadiusz Mularczyk, zajmujący się sprawą reparacji, które Polska miała dostać od Niemiec. Mularczyk pisał więc różne listy, które rozsyłał po świecie. I dotarł w ten sposób do ONZ. Tam lobbował m.in. u sekretarza generalnego ONZ, a także u ówczesnego przewodniczącego Zgromadzenia Ogólnego ONZ, którym był Węgier Csaba Kőrösi. Mularczyk bardzo wiele sobie po tym spotkaniu obiecywał. Biedak nie wiedział, że Csaba Kőrösi skończył MGIMO w roku 1984, a potem nieprzerwanie pracował w węgierskim MSZ.

Pytanie, czy gdyby o tym się dowiedział, uznałby go, idąc tropem Zbigniewa Raua, za osobę skaptowaną do współpracy z Rosją? A może by się zaniepokoił, że Węgrzy trzymają na wysokich stanowiskach takich ludzi?

Jest gdzieś bariera politycznego zaangażowania, które odbiera ludziom z profesorskimi tytułami powagę. A i polityków nie oszczędza…

Miłego dnia.

Attaché

Prezydent USA Joe Biden z żoną Jill i synem Hunterem po wygłoszeniu orędzia do narodu, w którym podał do wiadomości decyzję o rezygnacji z ubiegania się o reelekcję oraz wskazał Kamalę Harrris jako swoją następczynię. Waszyngton, 24 lipca 2024 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 23ffd6e8db

POLITYKA

JERZY BACZYŃSKI,
REDAKTOR NACZELNY

Po drobnym – i w gruncie rzeczy nieoczywistym – potknięciu w sprawie drugiego immunitetu posła Romanowskiego padło wiele głosów żądających dymisji w prokuraturze, a nawet ustąpienia samego Adama Bodnara. Takie żądanie nie dziwi w przypadku polityków PiS, dla których Bodnar stał się wrogiem nr 2, tuż po Tusku, ale już politycy koalicji powinni się tu miarkować. Widać, że rozliczenia z PiS tkwią w klinczu między prawem i sprawiedliwością. Wyborcy 15 października, a już na pewno ci, którzy byli w twardej aktywnej opozycji wobec PiS, chcieliby szybkiego i spektakularnego ukarania nadużyć tamtej władzy (to im zresztą obiecywano) – ale zgodnie z prawem i ze stanem polskiego sądownictwa tego się nie da zrobić szybko. Na pewno nie przed wyborami prezydenckimi.

Twój STYL

PROF. CEZARY SZCZYLIK,
ONKOLOG

Czy zdarzył się panu cud?

– Zdarzył mi się wielokrotnie. Bo choroba jest nieprzewidywalna. Ale też dlatego, że lekarz, który pracuje z pasją i dużo czyta, dokształca się, czasem widzi dla chorego ścieżkę, której system nie dostrzega. Dobry lekarz jest kilka lat do przodu przed NFZ z jego refundacjami. Pamiętam przypadek dziewczyny, zdiagnozowano u niej *fibromatosis aggressiva*. To jest nowotwór o wolno dzielących się komórkach, co oznacza, że tradycyjna chemioterapia rzadko na niego działa. Pacjentce zaproponowano amputację ręki i radioterapię. Miesiąc przed jej ślubem. My w klinice już wiedzieliśmy, że jest nowy, skuteczny lek dający doskonałe rezultaty. Niestety, pełnopłatny. Powiedzieliśmy o tym Kasi. Zdecydowała się sprzedać mieszkanie, by sfinansować leczenie. Efekt był spektakularny: całkowita remisja. Dziewczyna wyszła za mąż, urodziła dwoje dzieci, pozwała NFZ do sądu o zwrot kosztów leczenia i wygrała.

TYGODNIK ANGORA

STEFAN NIESIOŁOWSKI,
B. POSEŁ, SENATOR I WICEMARSZAŁEK SEJMU

Na okładce „Gazety Polskiej" Sakiewicza porównano mnie z Goebbelsem, jednym z największych zbrodniarzy. Pozwałem „Gazetę Polską". W drugiej instancji trafiłem na sędziego Piebiaka i przegrałem. Gdyby dłużej rządził Kaczyński, to w sądach byliby tylko tacy ludzie. (…) PiS nienawidzi Bodnara, co powinno być dla niego zaszczytem. Jego współpracowników nazywają bodnarowcami, co kojarzy się z banderowcami. Ale takich określeń mogą używać tylko kreatury. Tymczasem minister Bodnar jest profesjonalny, kulturalny, dbający o poszanowanie prawa i aż za delikatny.

PANI

MAGDALENA CIELECKA,
AKTORKA

Kiedyś potrafiłam wyjechać na dwa miesiące na drugi koniec świata i nie przejmować się niczym. Nie miałam zbyt wiele pieniędzy, ale nie miałam też zobowiązań. Tęsknię za beztroską dezynwolturą, którą w sobie miałam. Potrafiłam wysiąść z taksówki na czerwonym świetle, bo się właśnie z kimś pokłóciłam, i trzasnąć drzwiami. Nie miało dla mnie znaczenia, że być może moja reakcja jest przesadzona. Tęsknię za pewną bezkompromisowością, arogancją, jaką w sobie miałam, a która nie zawsze mi służyła i pewnie zraziła do mnie wiele osób, ale miała w sobie coś romantycznego. Dzisiaj jestem bardziej zachowawcza, dyplomatyczna. Może czasem wręcz konformistyczna, ale też mądrzejsza. Rzadko pozwalam już sobie na przeskalowane reakcje, bo uważam, że nie są potrzebne. I oczywiście tęsknię za młodością.

FOT. SARKA FARKA (3), SEKCJA GIMNASTYCZNA

eprasa.pl 23ffd6e8db

W DWIE STRONY

Poruszając się wzdłuż linii (raz w jedną, raz w drugą stronę) i przeskakując niektóre litery, odczytaj w każdym diagramie dwa wyrazy.

Wyrazy 4-literowe **1**

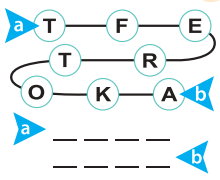

Wyrazy 5-literowe **3**

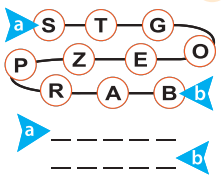

Wyrazy 6-literowe **5**

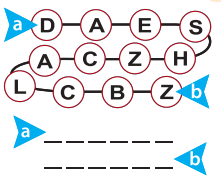

Wyrazy 4-literowe **2**

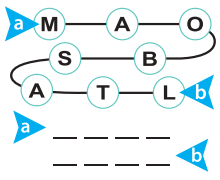

Wyrazy 5-literowe **4**

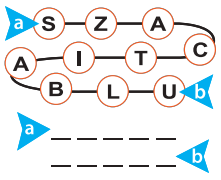

Wyrazy 6-literowe **6**

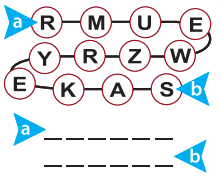

ROZWIĄZANIA: FETA, KORT, MOST, LABA, STOPA, BRZEG, SZTAB, ULICA, DESZCZ, BLACHA, MUZYKA, SERWER

Aby język giętki…

KS. ADAM BONIECKI O KOŚCIELE

Z Kościołem stało się coś takiego, że przez wieki obrósł także w rzeczy, które nie mają wiele wspólnego z Panem Jezusem.

TIMOTHY GARTON ASH O POKOLENIU ERASMUSA

Wciąż mówimy o pokoleniu Erasmusa. A kto ich pyta, czego chcą?

KATARZYNA KASIA O LEWICY

Co poszło nie tak, że lewica stała się bezzębna, niewybieralna i bardzo odległa od oczekiwań polskiego elektoratu?

KRZYSZTOF VARGA O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Mało było w naszej historii ludzi, których by uważano jednocześnie za wszechmocnych i bezsilnych, a Kaczyński jest jednocześnie demiurgiem i dementem.

ANDRZEJ STANKIEWICZ O KRYSTYNIE PAWŁOWICZ

Swoją neoficką agresją wobec obecnej ekipy stara się przesłonić defekty własnej biografii, jak odpowiedzialność za skazanie Kamińskiego i Wąsika.

JANINA OCHOJSKA O PLANACH

Stworzyć fundację im. Janki Ochojskiej. Już zaakceptowałam fakt, że nie chodzę, ale czasami sobie myślę: „kurczę, Janka, zawsze tak walczyłaś, taka byłaś do przodu, a teraz?”.

MIROSŁAW TŁOKIŃSKI O MICHALE PROBIERZU

Nie jest trenerem na miarę reprezentacji. To jest zwykły narcyz i człowiek pychy, butny, uważający się za najmądrzejszego.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Małgorzata Fiejdasz-Kaczyńska m.fiejdasz@tygodnikprzeglad.pl
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 23ffd6e8db

Złociutka rodzinka

Barwny trójkącik

Józef Wilkoń

KONIE W PĘDZIE? COŚ PRZYBĘDZIE

Skrzydlaty dialog

Dwa czy jeden świat

Wystawa malarstwa Józefa Wilkonia „Konie w pędzie? Coś przybędzie" została otwarta w dniu obchodów jubileuszu 25-lecia Galerii Sztuki Wirydarz, które zostały objęte patronatem honorowym Prezydenta Miasta Lublina.

Józef Wilkoń – ilustrator, malarz, historyk sztuki, w latach 1947–1949 uczęszczał do Liceum Sztuk Plastycznych w Krakowie. Jest absolwentem Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (Wydział Malarstwa, dyplom 1955) i historii sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim (dyplom 1954). Zilustrował prawie 200 książek dla dzieci i dorosłych wydanych w Polsce i kilkadziesiąt wydanych za granicą. Zajmuje się również scenografią i projektuje gobeliny. Wilkoń zyskał międzynarodową sławę, był wielokrotnie nagradzany w Polsce i poza jej granicami. Tworzy „przestrzenne ilustracje", czyli zwierzyńce z drewnianych bali i blachy. Inspiracją dla jego prac jest przyroda, a przede wszystkim zwierzęta.

Galeria Sztuki Wirydarz – Piotr Zieliński
Lublin, ul. Grodzka 19
do 8 września

Czy znasz tego osiołka

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 23ffd6e8db

MFF WE FRYBURGU
KONKURS GŁÓWNY
NAGRODA PUBLICZNOŚCI

MFF W VANCOUVER
NAGRODA PUBLICZNOŚCI

MFF W MUMBAJU
NAGRODA PUBLICZNOŚCI

MFF W RZYMIE
NAGRODA SPECJALNA JURY

MFF W TROMSØ
KONKURS GŁÓWNY
NAGRODA SPECJALNA NORWEGIAN PEACE FILM AWARD

ILLUMINATE FILM FESTIVAL
NAGRODA DIRECTOR'S CHOICE

MFF W TORONTO
KONKURS GŁÓWNY

OSCARY® SHORTLISTA

NAJLEPSZY FILM MIĘDZYNARODOWY

NOWY FILM REŻYSERA NOMINOWANEJ DO OSCARA
„LUNANY. SZKOŁY NA KOŃCU ŚWIATA"

MNICH I KARABIN

BUDDYJSKA PRZYPOWIEŚĆ O TYM,
ŻE KLUCZEM DO ZMIANY JEST ZROZUMIENIE PRZESZŁOŚCI

W KINACH OD 2 SIERPNIA

AURORA

30

MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STAROWCE

Warszawa, Rynek Starego Miasta, soboty, godz. 19^{00}
www.jazznastarowce.pl
facebook.com/festiwaljazznastarowce

Organizator

Partnerzy

Patroni Medialni

eprasa.pl 23ffd6e8db